



BARBARA CARTLAND
MIŁOŚĆ W PIRENEJACH



Rozdział pierwszy

ROK 1869

Kwiaty na grobie zaczynały powoli więdnąć.

Teresa zerwała parę zeschniętych goździków z myślą, że za dzień czy dwa wyrzuci wszystkie wiązanki i wieńce. Matka nie znosiła zwiędniętych kwiatów, a Teresie ich widok kojarzył się zawsze z pięknem, które przeminęło bezpowrotnie. Położyła na grobie bukietek pierwiosnków, zerwanych tegoż ranka, wspominając słowa wypowiedane przez matkę każdej wiosny:

- Zaczynają się już pokazywać przebiśniegi i pierwiosniki! Oznacza to, że zima ma się ku końcowi. Czyż nie cudowna jest myśl, iż wkrótce słońce przygrzeje mocniej i będziemy mogły spędzać mnóstwo czasu na dworze?

Ton, jakim matka wypowiadała te słowa, zdawał się sugerować, że znacznie ciekawiej i weselej spędza się czas na dworze niż w domu. Teresa myślała o tym, jak ogromnie będzie jej brakowało przechadzek po lesie w towarzystwie matki, jak bardzo będzie tęskniła za wspólnymi przejażdżkami konno po polach i łąkach. Teresa pamiętała też z dzieciństwa pikniki, które urządzały sobie we dwie nad rzeczką; po jedzeniu pływała zwykle w przejrzystej, chłodnej wodzie.

Wszystkie te wspomnienia były dla niej ogromnie bolesne, ale najbardziej dojmująca okazała się świadomość, że jest teraz sama na świecie! Odszedł ktoś, kto ją kochał i świetnie rozumiał, komu zawdzięczała tyle wspaniałych pomysłów oraz nowych idei.

- Jak mogłaś mnie opuścić, mamo? - spytała. - Jakże zdołam sobie poradzić bez ciebie?

Niełatwo przyszło pohamować łzy, które cisnęły się do oczu ale matka zawsze utrzymywała, że światu należy pokazywać twarz opanowaną i pełną godności.

- Zajmujesz taką pozycję, kochanie - mawiała - że powinnaś być przykładem dla innych. Pamiętaj, iż jeśli zachowasz się niewłaściwie lub bez godności, inni będą się na tobie wzorowali.

Patrząc na grób matki Teresa pomyślała, że dla niewielu ludzi stanowi wzór do naśladowania. Od dnia, w którym ojciec opuścił je obie, osiedlając się za granicą, matka i córka mieszkały w niewielkim domu rodzinnym na terenie posiadłości; zajmowały go pokolenia matek, których synowie dziedziczyli kolejno Denholme Park, nazywany tradycyjnie przez ludzi z miasteczka Rezydencją.

Teresa myślała niejednokrotnie, że niewielki dom dla pań z rodziny, zbudowany w stylu królowej Anny, jest o niebo wdzięczniejszy i miłszy niż

sama Rezydencja, budynek z szarego kamienia, wzniesiony na miejscu starszego domu przez jej pradziadka. Rezydencja była ogromna, zwalista i niewygodna. Natomiast dom rodzinny, w którym mieszkały matka i córka, był zawsze pełen światła i śmiechu.

Nikt poza Teresą nie wiedział, jak strasznie cierpiała matka, gdy mąż opuścił ją ostatecznie. Nieraz zdarzało jej się przepłakać całą noc, o czym upewniały córkę podkrążone na ciemno oczy. Matka starała się jednak nie pokazywać nigdy po sobie udręki i tęsknoty za ukochanym mężczyzną. Dopiero niedługo przed śmiercią, gdy Teresa była już dorosła, matka zwierzyła jej się w zaufaniu z wielu spraw, które pozwoliły córce zorientować się w sytuacji.

- Twój ojciec ożenił się ze mną, ponieważ byłam bardzo majątna - wyznała matka. - Nie zdawałam sobie wcale z tego sprawy, a on był taki przystojny, czarujący i pełen fantazji, że zakochałam się bez pamięci. - Matka odetchnęła głębiej i dorzuciła: - Ach, skarbie, rozważ starannie, komu oddajesz serce. Kochać bez wzajemności jest dla kobiety torturą i niewysłowioną męką.

W głosie matki było tyle bólu, że Teresa zacisnęła dłonie, aż zbieleły jej kostki u nasady palców. Nie odezwała się jednak i po chwili matka przemówiła znowu:

- Pamiętaj, musisz zyskać całkowitą pewność, że jesteś prawdziwie kochana, nim zgodzisz się poślubić jakiegokolwiek mężczyznę. Pieniądze mogą dawać radość, ale potrafią też stać się przekleństwem! - Matka zamilkła na moment, po czym dodała cicho: - A jednak, mimo wszystko, gdybym mogła cofnąć czas, uważałabym nadal, że nawet ten krótki okres, kiedy twój ojciec zdawał się kochać mnie i byliśmy razem szczęśliwi, wart był całego cierpienia, jakie przyszło później.

Na usta Teresy cisnęło się sto następnych pytań, jednak chwila zwierzeń minęła i córka czuła, że błędem byłoby przedłużać ją na siłę. Niemniej stopniowo, powoli, z kolejnych wiadomości, jak z kawałków układanki, zaczął wyłaniać się pełen obraz sytuacji i wiele rzeczy, które wydawały jej się niezrozumiałe w dzieciństwie, połączyło się w logiczną całość. Zmuszona była polegać na strzępkach informacji zasłyszanych od krewnych, na własnych wspomnieniach oraz na plotkach służby, która nie potrafiła, oczywiście, powstrzymać się od wyrażania swoich opinii.

W pamięci Teresy zachowały się dziesiątki podobnych uwag. Dopiero w wiele lat później zrozumiała, że przygody ojca z innymi kobietami musiały się zacząć wkrótce po ślubie z matką. Najpierw były te jego tajemnicze wyprawy do Londynu, które nazywał podróżami „w interesach”, następnie wyjazdy do Paryża. Określano je jako „niebываłe ekstrawagancje z najdroższymi

kokotami". Nie rozumiała tych słów i nie wiedziała, o co chodzi. Wkrótce jednak skandalizujące wieści o tym, co się odbywa w najweselszym mieście świata, przeniknęły do Anglii. Do uszu Teresy doszły pogłoski o pięknych kobietach, które zwabiały do siebie mężczyzn z całej Europy, nakłaniając ich do składania fortun u swych stóp.

We wspomnieniach z dzieciństwa pojawiał się obraz małej Teresy, bawiącej się w salonie zabawkami, a później czytającej gdzieś w rogu pokoju i dobiegające ją szepty dotyczące nieodmiennie Paryża i tego, co się tam działo.

- Naturalnie, skoro przewodzi temu sam cesarz, trudno się dziwić, że wszyscy idą za jego przykładem - brzmiała jedna z uwag.

- Podobno La Priva, która jest najdroższa z nich wszystkich, nosi biżuterię wartości dwóch milionów funtów - głosiła inna.

Teresa nie rozumiała, co oznacza określenie „najdroższa z nich wszystkich”, ale gdy ojciec wrócił z pierwszego wyjazdu do Paryża, słyszała matkę płaczącą gorzko i mówiącą ze łzami:

- Dlaczego miałbyś wydawać moje pieniądze na te kobiety? Żadna z nich nie zostałaby dopuszczona do towarzystwa w naprawdę cywilizowanym świecie.

Teresa usłyszała tylko tyle, kiedy jednak ojciec wybrał się znów do Paryża, matka nie płakała, ale chodziła po domu błada, z zaciśniętymi ustami. Teresa rozumiała, że ojciec raz jeszcze zabrał pokaźną sumę pieniędzy, by opłacić swoje ekscesy.

Patrząc na grób i myśląc, jak wiele musiała wycierpieć matka przez tyle lat, Teresa powiedziała do siebie cicho, ale zdecydowanie: . - Nie wyjdę nigdy za mąż!

Była całkowicie pewna, że dotrzyma tej obietnicy. Nie dopuści, by została poniżona i musiała cierpieć katusze, jak matka.

Stosunki między rodzicami pogorszyły się znacznie w ciągu kilku ostatnich lat, kiedy ojciec bywał już bardzo rzadko w domu. W tym czasie nieodpartą atrakcją stanowiła dla niego pewna dama w Londynie. Pomimo tylu plotek i pogłosek Teresa nieprędko dowiedziała się, że pani ta jest żoną jednego z wysoko postawionych arystokratów z otoczenia króla.

Nie ulegało kwestii, że ojciec jest zakochany. Kiedy przyjeżdżał do domu, a Teresa wiedziała teraz, że wracał wyłącznie po pieniądze, była w nim jakaś szczególna fantazja i dziarskość. Miał też w oczach specyficzny błysk, który rozpoznała jego całkiem już spora córka: podobnie podekscytowany bywa lew, który ściga swoją ofiarę. Ojca otaczała przy tym aura agresywnej męskości, choć Teresa w swej niewinności nie potrafiła jej zidentyfikować ani docenić jej znaczenia.

Choć córka potępiała sposób, w jaki ojciec traktował matkę, nie umiała jednak nie podziwiać go i nie radować się gorzką lecz zarazem pełną słodczy świadomością, że oto ojciec jest w domu razem z nimi.

- Nie wyjeżdżaj, papo - prosiła, kiedy pojawił się po raz ostatni. - Zostań z nami! Tak lubię nasze wspólne przejażdżki konno i opowiadasz mi zawsze tyle ciekawych rzeczy!

Ojciec spojrział na nią i odparł:

- Dorastasz, Tereso, i wkrótce będzie z ciebie piękna panna.

Powiedział to takim tonem, jakby dopiero w tej chwili dostrzegł własną córkę.

- Właśnie dlatego jesteś mi teraz potrzebny, papo - oznajmiła Teresa.

- Żałuję, kochanie - odrzekł ojciec - ale nie jestem osobą, która nadawałaby się do wprowadzania w świat debutantki, o czym zapewni cię niewątpliwie twoja własna matka i mnóstwo innych ludzi!

W głosie ojca zabrzmiała nutka żalu, ale już w następnej chwili jego wzrok poweselał.

- Każdy człowiek ma swe własne życie, ty również, o czym przekonasz się sama. Nie pozwól, by ktoś ci je ograniczał i staraj się być zawsze sobą.

- Nie pragnę niczego innego, papo - odparła Teresa. - Ale muszę się jeszcze tak wiele nauczyć, a my z mamą żyjemy tu bardzo na uboczu.

Ojciec rozejrzał się po salonie i wypowiedział słowa, których Teresa nie zrozumiała.

- To jest dla mnie zbyt wąskie, zbyt ograniczone. Nigdy nie potrafiłem tkwić w za ciasnych ramach. Pragnę i potrzebuję swobody, by móc żyć tak, jak zechcę.

Gwałtownie wyrzucił to z siebie, ale widząc, że córka patrzy na niego z pewnym zdziwieniem, dodał:

- Moje drogie dziecko, zapomnij o mnie. Nie mogę nic dla ciebie zrobić i znacznie lepiej poradzisz sobie bez mojej pomocy.

- Ach nie, papo!

Ale ojciec pocałował Teresę i odjechał nowym powozem, który przywiózł go wcześniej z Londynu. Z kapeluszem przekrzywionym zawadiacko na bok, elegancka postać ojca wyglądała tak fantazyjnie i buńczucznie, że Teresa wiedziała, czemu stary lokaj potrząsa głową, patrząc za oddalającym się panem.

- Z Jego Lordowskiej Mości to był zawsze zawadiaka! - mruknął do siebie.

Teresa wróciła do pustego salonu, domyśliła się więc, że matka zamknęła się w sypialni, gdzie płacze rozpaczliwie. Tak też było istotnie; dopiero po kilku tygodniach matka przyznała, że ojciec opuścił je na dobre.

- Jak to, mamo, czy to znaczy, że on już do nas nigdy nie wróci? - spytała Teresa. - Jakże mógł zrobić coś podobnego?

- Osiadł na stałe we Francji - odparła matka zduszonym głosem. - Znalazł tam bogatych protektorów, wobec czego nie jestem mu już potrzebna i wątpię, żebyśmy go jeszcze kiedyś ujrzeli. - Ależ... mamo!

W oczach Teresy stanęły łzy. Walcząc z nimi usłyszała słowa matki wypowiedziane półgłosem, jakby mówione do siebie:

- Cierpienie jest zawsze udziałem opuszczonych kobiet. Po tym matka nie wspomniała nigdy więcej imienia ojca. Teresa wyglądała listów, ale nie dostała żadnego, nie otrzymała też prezentu nawet na Gwiazdkę. Jednakże docierały do niej pewne wieści, zwykle przekazywane przez krewnych, którzy odwiedzali samotne panie, zdaniem Teresy bardziej z ciekawości niż chęci niesienia pomocy matce.

- Podobno towarzyszą całą grupą młodemu Napoleonowi, a nawet samemu cesarzowi, kiedy cesarzowej nie ma w pobliżu! Nasza droga królowa nie usankcjonowałaby nigdy podobnie skandalicznego zachowania!

W rok później Teresa weszła kiedyś do salonu akurat w chwili, gdy ktoś zauważył:

- To prawda! Porzuciła go! Ale znalazł zaraz pociechę u jednej z najgłośniejszych i najbardziej krzykliwych kurtyzan w Paryżu. Wydaje dla niej przyjęcia, które, jak powiadają, są bardziej rozpasane, niż orgie starożytnych Rzymian! Ciekawe tylko, skąd bierze na to pieniądze.

W tej chwili osoba mówiąca te słowa dostrzegła Teresę w drzwiach pokoju i umilkła.

Wreszcie przed pół rokiem nadeszła od adwokata rodzinnego wstrząsająca wiadomość, że ojciec Teresy, hrabia Denholme, zmarł w Paryżu. Nie wiązało się to z żadnym dramatycznym wydarzeniem w rodzaju pojedynku. W stolicy Francji zapanowała epidemia, która pochłonęła ogromną liczbę ofiar, wśród nich również ojca Teresy. Jego ciało zostało przewiezione do Anglii i złożone w rodzinnym grobowcu, który mieścił się w pobliżu kościoła należącego do posiadłości.

W tych smutnych okolicznościach Teresa po raz pierwszy zorientowała się, jak liczną posiada rodzinę, której członkowie, nastawieni nieprzychylnie do osoby ojca, latami ignorowali jej matkę i ją samą. Obecnie zjawili się tłumnie, przy czym większość była wiekowa, a wszyscy niesympatyczni. Teresa zaczęła

rozumieć, dlaczego ojciec uważał ich za nudziarzy i nie mógł myśleć o życiu pod pręgierzem rodzinnej dezaprobaty. Teresa miała im za złe, że mówią o niej, „biedne dziecko”, ponieważ jest córką takiego ojca, oczywiście też było, że uroda Teresy jest w oczach tych ludzi czynnikiem obciążającym. Słyszała niemal, jak szepczą do siebie, że w jej żyłach płynie ojcowska krew, wobec czego z pewnością napyta sobie jakiejś biedy. Za całkowicie niewybaczalny uznała jednak ich stosunek do matki, która do dnia śmierci była wielką pięknoscią. Pojęła wówczas, że rodzina Holme'ów traktowała matkę z pewną dozą podejrzliwości i dezaprobaty, ponieważ miała ona w sobie domieszkę krwi francuskiej.

Teresa zrozumiała również, choć wydawało jej się to absurdalne, że kara za przewiny dotyka nie tylko grzesznika, ale również osoby z nim związane. Babka Teresy, ze strony matki, była z urodzenia Comtesse de Chaufour. Poślubiła ona dziadka Teresy, ponieważ sięw nim zakochała; nie było to wcale tak częste we Francji małżeństwo zaplanowane przez rodziców. Młodzi ludzie spotkali się, gdy Lord Greystone piastował przez krótki czas godność ambasadora angielskiego w Paryżu. Był wówczas wdowcem. Matka opowiadała Teresie nieraz, że zakochał się w młodej Comtesse bez pamięci od pierwszego wejrzenia z pełną wzajemnością. W tym czasie rodzice babki omawiali sprawę jej zaręczyn z będącym dobrą partią młodym Francuzem, którego ziemie graniczyły z posiadłością Chaufourów.

- Trudno było jednak znaleźć jakąkolwiek obiekcję przeciw temu małżeństwu, może poza tym, że Lord Greystone był o szesnaście lat starszy od niej - powiedziała matka. - Ale nigdy nie spotkałam dwojga podobnie szczęśliwych ludzi.

Nuta smutku w głosie matki i jej zamglone spojrzenie wskazywały wyraźnie, że ona sama spodziewała się znaleźć podobne szczęście w małżeństwie, nim nadeszło gorzkie rozczarowanie. Lord Greystone umarł przed osiągnięciem przez córkę dorosłości, a ponieważ nie miał innych dzieci, odziedziczyła ona okazałą fortunę.

- Tak, byłam wówczas bardzo posażną panną - powiedziała matka Teresie, a z jej tonu łatwo było odgadnąć, że bogactwo stało się dla niej źródłem nieszczęścia.

Wracając z cmentarza Teresa uprzytomniła sobie nagle, że ona sama również nie ma braci ani sióstr, a więc wszystko, co posiadała matka, jest obecnie jej własnością. Dopiero teraz zastanowiła się, jakie znaczenie mogą mieć dla niej te pieniądze i ponownie przyrzekła sobie nie poślubić nigdy żadnego mężczyzny, by nikt nie mógł poniżyć jej traktując tak, jak ojciec

traktował matkę. Lekarze twierdzili, że przyczyną śmierci hrabiny Denholme był nowotwór złośliwy, z powodu którego cierpiała przez dłuższy czas, nim się do tego przyznała. Teresa nie wierzyła im, uważając w głębi duszy, że po śmierci ojca matka straciła na zawsze nadzieję na jego powrót i zarazem ochotę do życia.

- Nigdy nie będę cierpiała tak, jak mama - powtórzyła raz jeszcze, idąc pod porastającymi park dębami. - Nie dopuszczę, by jakikolwiek mężczyzna zabrał mi serce, a potem je zdeptał, nie zaufam nigdy żadnemu, choćby był nie wiem jak przystojny czy fascynujący!

Myślała przy tym o ojcu i uwodzicielskim błysku w jego oku oraz ogarniającym go podekscytowaniu, kiedy wracał do kolejnej kochanki.

. - Był okropny, okrutny i zły! - zawołała Teresa. - Nienawidzę papy! Nienawidzę wszystkich mężczyzn!

Wracała zamyślona tak głęboko, że przemierzając krótką alejkę prowadzącą do głównego wejścia domu rodzinnego, nie zauważyła w pierwszej chwili stojącego na podjeździe powozu. Spostrzegłszy go, domyśliła się do razu, że oto przyjechał stryj, którego widziała uprzednio na pogrzebie. Gdy zajmował miejsce w pierwszej ławce w kościele, gdzie zasiadł jako nowy hrabia of Denholme.

Po skończonym pogrzebie stryj zwrócił się do niej, zapowiadając:

- Mam zamiar przeprowadzić się niebawem do Rezydencji, Tereso, i przy tej okazji złożę ci naturalnie wizytę.

Teresa, która walczyła dzielnie ze łzami, starając się nie okazywać swoich uczuć na widoku publicznym, kiwnęła wówczas w milczeniu głową. Teraz zdziwiła się nieco, że stryj zjawia się po tak krótkim czasie, niemniej jednak był obecnie głową rodziny i Teresa rozumiała, że trzeba mu okazać należyte względy.

Wszedłszy do domu, zastała w holu starego lokaja, który przeniósł się z Rezydencji w ślad za paniami.

- Jego Lordowska Mość czeka w salonie, Milady - obwieścił na jej widok.

- Przyjechał sam? - spytała Teresa. - Tak, Milady.

Teresa przeszła do salonu. Były w nim zgromadzone skarby matki, między innymi urocze mebelki, intarsjowane i inkrustowane, sprowadzone z Paryża po śmierci jej własnych rodziców. Wisiało tu także kilka cennych francuskich obrazów, pełnych koloru i światła, różniących się ogromnie od ponurych portretów rodzinnych, zapelniających ściany Rezydencji.

Hrabia stał przy kominku, na którym palił się niewielki ogień. Zbliżając się do stryja Teresa miała wrażenie, że patrzy na nią okiem kupca, który ocenia zalety rumaka, nim zdecyduje się go nabyć.

- Dzień dobry, stryju Edwardzie! - powiedziała podchodząc do hrabiego i dygając. - Nie spodziewałam się stryja tak wcześnie.

- Upłynie zapewne tydzień lub dwa, zanim sprowadzę się do Rezydencji - odparł. - Ponieważ jednak chciałem spotkać się z zarządcą majątku, pomyślałem, że skorzystam z okazji, by porozmawiać również z tobą, Tereso.

- To bardzo miło ze strony stryja. Czy mogę zaproponować coś do wypicia?

- Powiedziałem już lokajowi, żeby przyniósł mi kieliszek czerwonego wina - poinformował ją hrabia. Rozejrzał się przy tym po pokoju, zatrzymując wzrok na francuskich meblach i jednym z obrazów Fragonarda. - Widzę, że urządziłyście sobie przytulne gniazdko. Uważam, że twoja matka postąpiła bardzo rozsądnie, przenosząc się tu z Rezydencji, która była o wiele za obszerna dla dwóch kobiet.

Teresie przyszło na myśl, że stryj w ostatniej chwili powstrzymał się przed dodaniem: „po wyjeździe pana domu”.

- Byłyśmy również tego zdania - odparła siadając na kanapie.

- Jednakże zdajesz sobie chyba sprawę - kontynuował stryj - że teraz, po śmierci matki, nie możesz mieszkać tutaj sama.

- Tak, myślałam już o tym - potwierdziła szybko Teresa - i chcę poprosić jedną z moich byłych guwernantek, pannę Robinson, którą ogromnie lubiłam, żeby zamieszkała razem ze mną.

- To bardzo rozsądnie z twojej strony - pochwalił stryj. - Jednakże masz już osiemnaście lat i powinnaś być wprowadzona do towarzystwa oraz zaprezentowana na Dworze.

- Wcale nie mam na to ochoty - pospieszyła zapewnić go Teresa. - Poza tym jestem oczywiście w żałobie.

- Pamiętam o tym - stwierdził hrabia nieco rozdrażnionym tonem. - Ale nie możesz nie pokazywać się nigdzie do końca lata, a na jesieni będziesz już dziewiętnastoletnią panną. W związku z tym mam dla ciebie pewną propozycję.

Teresa pomyślała, że wie, o co stryjowi chodzi i zeszywniała lekko. Nie pragnęła wcale wprowadzenia do sfer towarzyskich, które jej ojciec określił kiedyś mianem „małżeńskiego targowiska” i gdzie przypięto by jej niewątpliwie etykietkę „posażna dziedziczka”. Porobiła sama pewne plany na przyszłość, projektując podróże, być może w towarzystwie panny Robinson, jeśli uzyska na to jej zgodę, lub też z jakąś inną stosowną opiekunką.

Teresa pragnęła gorąco zobaczyć Grecję, może również Egipt. Nie zamierzała jednak zdradzać się z tak samodzielnymi pomysłami przed stryjem i czekała cierpliwie na sugestie z jego strony, z góry zdecydowana przeciwstawić im się stanowczo.

- Zdajesz sobie sprawę - zaczął stryj bez ogródek - że obecnie, po śmierci obojga twoich rodziców, jestem głową rodziny, a co za tym idzie, twym prawnym opiekunem. Występując w tej roli, po uważnym przemyśleniu sprawy, doszedłem do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem byłoby dla ciebie jak najszybsze zamążpójście.

Teresie nie przyszło do głowy w najśmielszych marzeniach, że stryj mógłby wysunąć podobną propozycję.

- Stryju Edwardzie! Czy dobrze zrozumiałam, że stryj mówi o... małżeństwie...?

- Tak właśnie powiedziałem i będę przy tym obstawał! - odparł hrabia. - Jesteś urodziwą panną, a do tego posiadasz wcale ładną fortunę, jak dowiedziałem się dziś rano w firmie prawniczej, która zajmowała się sprawami twojej matki. Jesteś chyba dostatecznie rozsądna, by zrozumieć, że będą się ubiegać o twą rękę mężczyźni, którym zależy przede wszystkim na owym majątku!

Stryj przerwał na moment i Teresa miała niemiłe wrażenie, że hrabia myśli o jej ojcu.

- W związku z tym - podjął po chwili - wybrałem ci, jako twój prawny opiekun, męża, którego z pewnością zaakceptujesz i którego ja oczywiście aprobuję bez zastrzeżeń.

- Stryj... wybrał mi męża... - powtórzyła Teresa tonem niedowierzania.

- Nie miałaś do tej pory okazji poznać mojego syna - kontynuował tymczasem hrabia, - ale nie wątpię, że uznasz go za czarującego i inteligentnego młodego człowieka, a przy tym doskonałego sportsmena. Dla niego także małżeństwo jest ważnym krokiem, ponieważ kiedyś odziedziczy po mnie tytuł. - Hrabia urwał na chwilę, po czym dorzucił: - Naturalnie musicie się spotkać. Ale jeśli oboje dojdziecie do porozumienia, nie widzę powodu, żeby wasz ślub nie miał się odbyć jeszcze tego lata, pod warunkiem, iż będzie cichy.

Teresa słuchała stryja w osłupieniu, mając chwilami wrażenie, że cała ta scena musi się rozgrywać w jej własnej wyobraźni. A jednak hrabia rzeczywiście zapowiedział, we właściwy sobie suchy i rzeczowy sposób, że Teresa ma wyjść za mąż za zupełnie nieznanego człowieka tylko dlatego, iż jest posiadaczką dużego majątku. W pierwszym odruchu chciała zapewnić, że ona

nigdy, przenigdy się na to nie zgodzi, że zresztą nie ma zamiaru poślubić kogokolwiek, a już zwłaszcza członka własnej rodziny.

Jednakże Teresa była mądrą dziewczyną i w następnej chwili rozumiała, że nastawianie do siebie nieprzychylnie stryja, którego musi tak czy owak zaakceptować jako prawnego opiekuna, byłoby poważnym błędem. Zapanowała więc nad sobą, co zyskałoby niewątpliwie pochwałę matki i spuściła powieki, by hrabia nie dostrzegł gniewu w jej oczach, mówiąc przy tym spokojnie:

- Jestem zaskoczona, stryju Edwardzie. Nie spodziewałam się ze strony stryja podobnej propozycji!

- Możliwe, niemniej po przemyśleniu sprawy zrozumiesz bez wątpienia, że kieruję się wyłącznie twoim dobrem - odparł hrabia. - Przyznasz, że moja propozycja jest rozsądna. Będziecie mogli zamieszkać w Rezydencji, co oznacza, że wszystkie atrakcje i wygody tej posiadłości pozostaną do waszej dyspozycji, a przy tym, znajdując się w pobliżu, oboje ze stryjenką roztoczemy nad wami opiekę i zawsze chętnie posłużymy radą.

Z tonu jakim stryjenka mówiła o matce Teresy, łatwo było wywnioskować, że niechęć żywiona do szwagra obejmuje również jego żonę oraz zapewne córkę. Teresa była świadoma, że od razu poczuła do stryjenki Alicji antypatię i nie umiała sobie wyobrazić, by syn dwojga takich rodziców mógł być choć trochę pociągający czy atrakcyjny.

- Pierwsze co należałoby zrobić - oznajmił tymczasem stryj, podejmując decyzję apodyktycznie, co musiało leżeć w jego zwyczaju - to posłać bezzwłocznie po pannę Robinson, o ile dobrze zapamiętałem nazwisko, która może zamieszkać tu z tobą, dopóki wszystko w Rezydencji nie będzie gotowe. - Stryj przerwał, a po krótkiej chwili namysłu kontynuował: - Wówczas przeniesiesz się do nas i pozostaniesz pod naszą opieką do dnia ślubu. Stryjenka będzie służyła ci radą i pomocą w skompletowaniu wyprawy i, jak już powiedziałem, możecie się pobrać w końcu czerwca czy na początku lipca, o ile ślub będzie cichy. Nie widzę powodu, by przedłużać bez potrzeby okres narzeczeństwa.

Prawdziwą przyczyną pośpiechu była żywiona przez stryja obawa, że narzeczona rozmyśli się i umknie od małżeństwa, które było z jego punktu widzenia bardzo korzystne - z tego Teresa zdawała sobie w pełni sprawę.

Na samą myśl, że mogłaby zostać zmuszona do intymnych stosunków z człowiekiem, którego nie widziała nigdy na oczy, Teresa czuła, że wzbiera w niej histeryczna chęć do krzyku: stryj musiał być szalony, by projektować coś podobnego. Teresa wiedziała jednak doskonale, że krzyk niczego nie załatwi,

wywołując najwyżej pogardę ze strony stryja, który takie właśnie uczucie musiał żywić do jej ojca i gotów się tym bardziej zawziąć, by dopiąć swego.

„Muszę rozegrać tę sprawę inteligentnie”, pomyślała Teresa. Po chwili namysłu powiedziała:

- To bardzo miło, że stryj troszczy się tak dalece o moje dobro, ale byłabym wdzięczna, gdybym mogła mieć trochę czasu na oswojenie się z myślą o stracie matki w tak krótki czas po śmierci ojca.

- To zupełnie naturalne - zgodził się hrabia. - Oczywiście możesz mieszkać tu spokojnie z panną Robinson przez kilka tygodni. Tak czy inaczej uporządkowanie Rezydencji i dokonanie w niej koniecznych zmian potrwa jakiś czas.

- Rozumiem - potwierdziła Teresa.

- Wobec tego sprawa jest załatwiona - oświadczył stryj. W tejże chwili drzwi otworzyły się i ukazał się w nich stary lokaj niosący srebrną tacę, na której stał kieliszek oraz butelka znakomitego czerwonego wina, dostarczonego specjalnie na polecenie stryja z piwnic. Lokaj postawił tacę na bocznym stoliku i napełnił kieliszek podając go hrabiemu.

Stryj wypił łyk i mlasnąwszy z zadowoleniem zawyrokował:

- Wyśmienite, doprawdy wyśmienite! Zapewne wybór ojca?

- Papa zgromadził w piwnicach duży zapas win, żeby dojrzały - odparła Teresa.

- Bardzo rozsądnie z jego strony! - pochwalił hrabia. - Rupert, jak każdy młody człowiek, musi się jeszcze wiele nauczyć, nim stanie się znawcą win. Bądź jednak pewna, że osiągnie tę wiedzę z czasem.

W głosie stryja brzmiało zadowolenie i Teresa wiedziała, że hrabia myśli z przyjemnością o własnym udziale w uszczuplaniu zapasów wina. Wzmogło to jej antypatię do stryja tak dalece, że musiała zmusić się, by zwrócić się do niego z szacunkiem.

- Cieszę się, że nasze wino stryjowi smakuje. Hrabia opróżnił kieliszek, a kiedy lokaj opuścił pokój i zostali znów we dwoje, zwrócił się do bratanicy:

- Doradca prawny twojej matki - jakże on się nazywa? Mayhew? - odwiedzi cię jutro rano. Mówiłem mu, że nie jest to konieczne, ponieważ widziałem osobiście testament, ale on twierdzi, że powinnaś wiedzieć dokładnie, co zostawiła ci matka.

- Owszem, chciałabym się w tym orientować.

Teresa była przekonana, że suma musi być pokaźna, skoro stryj wolał, żeby bratanica jej nie znała. Po chwili hrabia przemówił ponownie.

- Oczywiście w przyszłości będę ci doradzał i pomagał, objaśniając, na co możesz wydać, a na co nie. Nie powinnaś w żadnym wypadku brać przykładu z takiego szastania pieniędzmi, jak to czynił twój nieszczęsny ojciec. Co nie znaczy, że będzie ci ich brakowało! - Tu stryj roześmiał się, jakby to był dowcip i wychyliwszy drugi kieliszek wina ciągnął: - Jesteś niewątpliwie dobrze sytuowaną młodą kobietą, lecz nie pozwól, żeby ci to uderzyło do głowy. Pomyśl raczej, że masz szczęście posiadać nie tylko majątek, ale również rodzinę, która uchroni cię przed zrobieniem błędnego kroku i dostaniem się w towarzystwo niepożądanych osób.

Dziewczyna wiedziała, że stryj ma na myśli mężczyzn polujących na bogate dziewcziczki, którzy gotowi byli ożenić się z Teresą dla posiadanej przez nią fortuny, co zresztą zamierzał przecież zrobić własny syn hrabiego. Wstała, zwracając się do niego spokojnie:

- Stryju Edwardzie, dziękuję stryjowi za wizytę i wszystkie plany, które stryj z myślą o mnie porobił. Dziś po południu poślę powóz po pannę Robinson, która mieszka zaledwie około piętnastu mil stąd. Widziałam ją na pogrzebie mamy; panna Robinson wie, że będę wdzięczna, jeśli zamieszka tu ze mną na jakiś czas.

- Świetnie! Znakomicie! - odparł hrabia. - Ale nie zapomnij, że kiedy tylko stryjenka urządzi wszystko, co trzeba w Rezydencji, angażując dostateczną liczbę służących, by zapewnić odpowiednią wygodę, zamieszkas z nami jako członek rodziny, którym staniesz się zresztą istotnie zaraz po ślubie.

- Dziękuję, stryju Edwardzie.

Hrabia poklepał bratanicę po ramieniu i ruszył pierwszy do drzwi. Teresa poszła jego śladem. Stryj przeciął hol i zszedł po schodach do powozu, który czekał na podjeździe. Wsiadł do niego i jakby odgadując myśli Teresy, zwrócił się do bratanicy, mówiąc:

- Kiedy przyjadę, żeby tu zamieszkać, będę musiał sprawić sobie parę nowych wehikułów, przede wszystkim nowy pojazd do własnego użytku. Poza tym wasze stajnie świecą zapewne pustkami. - Nie czekając na odpowiedź chwycił lejce, dodając: - Do widzenia, Tereso. Uważaj na siebie.

Z tymi słowami odjechał, a patrząca za stryjem Teresa pomyślała, że zastosuje się dosłownie do jego rady. Będzie na siebie uważała, to znaczy nie zrobi nic z tego, co hrabia dla niej zaplanował.

Teresa wróciła przez hol do salonu. Pragnęła побыć przez chwilę sama. Musiała spokojnie pomyśleć. Rozejrzała się wokół po pokoju, który matka urządziła tak przytulnie. W jej głowie dźwięczało coraz głośniejszym i natarczywiejszym pytaniem: „Co robić? Boże drogi, i co ja mam począć?”

Czuła się jak w potrzasku. Oczami duszy ujrzała, jak zmuszają ją do opuszczenia domu, w którym żyła szczęśliwie z matką i zabierają do posepnej Rezydencji po drugiej stronie parku. Stamtąd nie będzie już ucieczki, zostanie zmuszona, bez żadnej możliwości wyboru, do poślubienia swojego kuzyna, gdyż nie tylko on, ale także jego ojciec pragnął pieniędzy Teresy.

- Wolę umrzeć niż znosić podobny los - powiedziała sobie Teresa, - i choćbym nawet nie kochała go tak, jak mama ojca, pozycja taka byłaby jednym wielkim upokorzeniem i poniżeniem: zostałabym opuszczona w domu, gdzie wszyscy, nie wyłączając służby, litowaliby się nade mną!

Raz jeszcze zadźwięczało jej w głowie pytanie: „Co począć?”

Teresa wiedziała doskonale, jaka jest odpowiedź. Musiała uciekać, i było całkowicie nieważne, dokąd pojedzie i jak uda jej się tego dokonać. Musi wyjechać i stworzyć sobie sama własne życie. W dodatku będzie to od niej wymagało przemyślności. Pewna była, że stryj nie zrezygnuje tak łatwo ze swoich planów. Miał wszystko zaprojektowane, opracowane i ułożone we własnej głowie i nie wypuści z rąk jej fortuny, jeśli tylko będzie to możliwe.

Rozdział drugi

Ocknąwszy się z zadumy, w której siedziała pogrążona przez długi czas, Teresa weszła wolno po schodach i przemierzyła korytarz kierując się do pokoju do szycia, gdzie spodziewała się znaleźć Genevieve. Garderobiana miała obecnie ponad pięćdziesiąt lat, a przyjechała z Francji z matką Teresy, którą opiekowała się i którą otaczała miłością, odkąd Teresa mogła sięgnąć pamięcią. Była w Anglii dostatecznie długo, by nawet służba zapomniała, że jest Francuzką. Nazywano ją Gennie, a to za sprawą samej Teresy, która obdarzyła służącą tym imieniem gdy była tak maleńka, że nie potrafiła wymówić Genevieve.

Zgodnie z przewidywaniami Teresy, garderobiana siedziała przy kwadratowym stole roboczym, stojącym na środku pokoju, zajęta naprawianiem koronki przy jednej z koszul nocnych Teresy i tak pogrążona w pracy, że nie zwróciła na początku uwagi na wejście swojej pupilki. Po chwili podniosła jednak wzrok i widząc Teresę powitała ją uśmiechem.

Był to miły uśmiech malujący się na dobrotliwej twarzy, ale oczy Genevieve miały wyraz zatroskania, a kiedy Teresa podeszła do stołu i usiadła po jego przeciwnej stronie, garderobiana spytała:

- Milady, czego chciał stryj panienki? Teresa wciągnęła głęboko powietrze.
- Przyjechał obwieścić, że mam poślubić jego syna, Ruperta, co ma mnie ochronić przed konkurentami polującymi na bogate panny. Ale tak naprawdę chodzi o to, że stryjostwo potrzebuje moich pieniędzy.

Gennie opuściła ręce na kolana, wykrzykując: - Niemożliwe!

W jej głosie, w którym zachował się jeszcze ślad francuskiego akcentu, zabrzmiało przerażenie. Spojrzała zaszokowana na Teresę, sądząc może, że źle ją zrozumiała.

- Zapewniam cię, że to prawda! - potwierdziła Teresa. - I właśnie dlatego będziesz mi musiała pomóc, Gennie.

- W jaki sposób?

- Jestem zmuszona wyjechać i ukryć się gdzieś! Rozumiesz chyba, że przyglądając się, jak ojciec traktuje matkę, znenawidziłam wszystkich mężczyzn!

- Ma petite, kiedyś zmieni panienka tę opinię - powiedziała Gennie pocieszająco - tylko musi upłynąć trochę czasu.

- Stryj Edward nie zamierza zostawiać mi czasu na cokolwiek - odparła Teresa gwałtownie. - Ustalił już, że mój ślub odbędzie się w końcu czerwca lub na początku lipca!

- Mon Dieu!

Słowa zostały wypowiedziane bardzo spokojnie, jednakże znać było, że stara panna jest wstrząśnięta, nie tylko planami małżeństwa pod przymusem, ale i faktem, iż okres żałoby po ukochanej matce zostanie tak bardzo skrócony.

- Właśnie dlatego muszę stąd uciec jak najszybciej - wyjaśniła spokojnie Teresa. - A ty, Gennie, jesteś jedyną osobą, którą mogę poprosić o pomoc.

- Panienska wie, że zrobię, co panienska każe - odparła Gennie, - ale proszę posłuchać, panienska jest naprawdę za młoda, żeby dawać sobie radę sama. Trzeba poszukać schronienia u kogoś z krewnych.

- Czy sądzisz, że którykolwiek z nich przyjąłby mnie pod swój dach, narażając się stryjowi Edwardowi? - spytała Teresa. - Nie mówiąc o tym, że każdy z krewnych byłby zadowolony, z pozostania pieniędzy mamy w rodzinie.

Gennie kiwnęła głową ze zrozumieniem. Teresa nie musiała jej wyjaśniać, jak dalece potrzebował tych pieniędzy hrabia, jeśli chciał mieszkać w Rezydencji i żyć na pewnym poziomie. Nie mogąc usiedzieć spokojnie, Teresa wstała zza stołu i zaczęła przechadzać się po pokoju mówiąc:

- Mama cierpiała przez całe życie z powodu swojego bogactwa i niezależnie od wstrętu, ogarniającego mnie na myśl o małżeństwie z nieznanym człowiekiem, zrobię wszystko, co mogę, by zapobiec wydawaniu tych pieniędzy przez Holme'ów, którzy nie zamierzają nawet skonsultować się ze mną na ten temat. - Teresa podniosła o ton głos, w którym zabrzmiała emocja. - Pod koniec życia papa wracał do domu jedynie wtedy, kiedy potrzebował kolejnej partii pieniędzy mamy. Ponadto nikogo z moich krewnych nie zainteresowało, jak bardzo byłyśmy obie samotne i odosobnione aż do dnia śmierci mamy. A teraz ich uwaga skupiła się na mnie, ponieważ stałam się bogata!

Teresa podeszła do okna i stanęła walcząc ze łzami, które zakręciły jej się w oczach. Dopiero po dłuższym czasie odwróciła się i podeszła ponownie do stołu mówiąc:

- Musimy coś przedsięwziąć, Gennie.

- Ale co możemy zrobić, Milady? Poza wszystkim, jeśli panienska ucieknie od stryja, on zostawi panienkę bez środków do życia.

- Myślałam już o tym - odparła Teresa. - Musimy wziąć ze sobą jak najwięcej gotówki oraz zarobić tyle, żeby móc żyć we względnym komforcie.

- Zarobić? - głos Gennie wzniósł się niemal do pisku. - Panienska nie może zarabiać pieniędzy! Panienska jest damą, która nigdy w życiu nie pracowała!

- To prawda - zgodziła się Teresa. - Niemniej musi być coś, co mogłabym robić, wzięwszy pod uwagę bardzo staranne wykształcenie, na które należała

mama! - Teresa usiadła, opierając brodę na rękach. - Podejźmy do sprawy praktycznie i zastanówmy się, czy mam jakieś talenty.

Teresa myślała przez chwilę, po czym zaczęła wolno wyliczać:

- Przede wszystkim mówię znakomicie po francusku - mama o to zadbała! Po drugie, umiem szyć - może nie tak świetnie, jak ty, ale umiem. Po trzecie, potrafię jeździć konno lepiej niż większość kobiet, prawie tak dobrze jak jeździł papa. Po czwarte... - Teresa urwała na chwilę. - Musi być jeszcze coś, co potrafię robić i czym mogłabym zapracować na życie!

Z tymi słowy Teresa spojrzała na Gennie, która patrzyła na nią w oszołomieniu.

- Czy panienka ma rzeczywiście zamiar zarabiać na życie wykorzystując swoje umiejętności? C'est impossible!

- Ależ nie, to wcale nie jest niemożliwe - oznajmiła Teresa zdecydowanie - A ponieważ tak się składa, że nie zamierzam mieć męża ani dzieci, muszę wymyślić sobie jakieś zajęcie, bo w przeciwnym razie mój mózg ulegnie degeneracji. - Widząc, że Gennie nie rozumie ostatniego słowa, Teresa wyjaśniła: - To znaczy, że moja głowa przestanie pracować, skurczy się, zacznie wyrodnieć i obumierać, aż stanę się równie niemądra, jak większość moich krewnych oraz młodych kobiet należących do tak zwanego eleganckiego towarzystwa; papa utrzymywał zawsze, że prócz myśli o zdobyciu męża na „małżeńskim targowisku”, te istoty mają całkowicie pusto w głowach.

Powtarzając słowa ojca, Teresa zdała sobie sprawę, że on sam myślał prawie wyłącznie o zdobywaniu kobiet. Wspomnienie o nim rozżłościło Teresę na nowo, więc podjęła prędko:

- Naprawdę przyjemnie będzie mieć jakąś pracę, zwłaszcza jeśli zapewni to choć trochę komfortu nam obu, ponieważ nie możemy raczej polegać na moim majątku.

- Tak nie może być, to zupełnie nie w porządku! - powiedziała Gennie z przekonaniem. - Musi panienka porozmawiać z Jego Lordowską Mością i wytłumaczyć, że to co zaplanował jest nie do przyjęcia. Poza tym będzie panienka przecież nosiła żałobę po mamusi co najmniej przez rok!

- Posłuchaj mnie uważnie, Gennie - odparła Teresa stanowczo - żebyś nie musiała znów do tego wracać. Wedle prawa angielskiego stryj jest moim opiekunem, a opiekun może zmusić swoją podopieczną do wszystkiego, czego sobie zażyczy, w tym przypadku do poślubienia kuzyna Ruperta, z którym będę musiała żyć jako żona we własnym domu rodzinnym.

Wiedząc, że Gennie, jako Francuzka, nie jest tak zbulwersowana myślą o z góry zaplanowanym małżeństwie, jak ona sama, Teresa dodała szybko:

- Przysięgam nie poślubić nigdy mężczyzny, który będzie zainteresowany wyłącznie moją fortuną, a jeśli nie zechcesz mi towarzyszyć, Gennie, pozostanie mi jechać samotnie.

Słyszając to, służąca zawołała przerażona: - Non, non, do tego nie można dopuścić! Z urodą panienki byłoby to ogromnie niebezpieczne.

- W takim razie musisz się mną opiekować - stwierdziła Teresa. - Przestańmy się więc spierać i pomyślmy praktycznie. Co ja właściwie potrafię robić?

Zapadła chwila milczenia.

- Ależ tak! - zawołała nagle Gennie - to przecież oczywiste! Musi panienka pojechać do rodziny w Paryżu! I chociaż nie widziała ich panienka od wielu lat, jestem pewna, że Chaufourowie okażą się lojalni i przyjmą panienkę z ochotą.

- Jestem przekonana, że postąpiłoby tak ze względu na Grandmere oraz na mamę - odparła Teresa, - ale kiedy stryj Edward zorientuje się, że mnie nie ma, będzie to jedno z pierwszych miejsc, w których rozpocznie poszukiwania.

- To znaczy, że może panienkę zmusić do powrotu?

- Ma po swojej stronie prawo, i nie powstrzymają go żadne argumenty moich francuskich krewnych.

- Tak nie powinno być! - westchnęła Gennie z tęsknym wyrazem twarzy.

Teresa miała świadomość, że garderobiana marzyła o powrocie do Francji. Ponieważ jednak był to kraj, w którym osiadł ojciec Teresy, matka, jakkolwiek samotna i nieszczęśliwa, nie zdobyła się nigdy na odwiedzenie rodziny od śmierci jej własnych rodziców, hrabiego i hrabiny de Chaufour.

- Gdyby tylko Grandmere żyła - powiedziała Teresa półgłosem, - jestem pewna, że ukryłaby mnie i wyzwała stryja Edwarda, by spróbował mnie znaleźć.

Gennie zaśmiała się.

- Madame la Comtesse była zawsze dzielna i każdy, kto się znalazł w kłopotach, mógł liczyć na jej pomoc.

Słowa Genevieve przywołały przed oczy Teresy wizerunek Comtesse takiej, jaką ją wnuczka widziała po raz ostatni. Babka słynęła z piękności i nie przestała być urodziwa również w starszym wieku; niezwykle starannie uczesane srebrne włosy otaczały twarz o cerze świetlistej, mimo zmarszczek wokół oczu - oczu, które nadal pełne były blasku i lśniły miłością, gdy babka mówiła o córce lub snuła wspomnienia o szczęśliwym życiu u boku ukochanego męża.

- Tak, Grandmere by mnie zrozumiała - szepnęła Teresa, przytakując własnym myślom.

- Pamiętam, że kiedy gotowała tutaj z nami, zawsze nas rozśmieszała - powiedziała Gennie. - A kiedy uczyła panienkę sztuki kulinarnej, jeszcze w dzieciństwie, zaśmiewała się panienka tak bardzo, że cała kuchnia huczała radością.

Gdy Gennie skończyła mówić, Teresa wydała cichy okrzyk.

- Gotować! - powtórzyła. - Gennie, to umiem robić! Potrafię gotować! - Widząc zdumienie w oczach służącej, Teresa wyjaśniła: - Wszyscy lubią dobrze jeść! Pamiętasz chyba, że kiedy babka przyjechała do nas ostatnim razem, gotowałyśmy dla niej we dwie, szykując dania, których nauczyła mnie sama w dzieciństwie, a Grandmere je wychwalała.

- Przypominam sobie, że kucharka była z tego ogromnie niezadowolona - odpowiedziała Gennie. - Przez wiele dni chodziła z obrażoną miną, bo uważała, że spotkał ją afront.

- Grandmere nie tknęłaby angielskich dań, które lubił papa, a mama tolerowała jedynie przez wzgląd na niego.

Po chwili Teresa dorzuciła innym tonem:

- W każdym razie ja umiem gotować co najmniej tak dobrze, jak ona, może nawet lepiej - a Grandmere powtarzała wielokrotnie, że gdyby była biedna, otworzyłaby własną restaurację, z której zasłynęłaby wkrótce w Paryżu.

Gennie wpatrywała się nadal w Teresę, jakby próbowała ogarnąć to, co mówi jej młoda pani.

- Widzisz, Gennie - ciągnęła Teresa - ja nie będę sobie mogła pozwolić na otwarcie restauracji od razu, to są plany na przyszłość. A zacznę od objęcia posady szefa kuchni w jakiejś eleganckiej rezydencji prywatnej, gdzie będzie nam obu bardzo dobrze i gdzie stryjowi Edwardowi nie przyjdzie nawet do głowy mnie szukać.

- Milady, to niemożliwe. Nie może panienka zrobić czegoś podobnego! - stwierdziła Gennie zdecydowanie.

- Ale dlaczego? - obstawała przy swoim Teresa. - Gotuję znakomicie, a ty mi chyba pomożesz, jak to robiłaś tyle razy w przeszłości. Poza tym, przebywając w kuchni, nie będę przynajmniej narażona na awanse mężczyzn zainteresowanych jedynie moim majątkiem!

Patrząc na Teresę Gennie pomyślała, że jej młoda pani będzie zawsze obiektem zainteresowania mężczyzn, niezależnie od swojego stanu majątkowego. Nie wypowiedziała tego jednak głośno, ograniczając się do stwierdzenia:

- Milady, nie zamierza panienka chyba stać się służącą! Rozważanie takich absurdów nie ma najmniejszego sensu!

- To nie są wcale absurdy, tylko zupełnie trzeźwe plany - odparła Teresa. - Gotowanie w Anglii, gdzie ludzie nie chcą niczego prócz pieczeni wołowej i szarlotki, nie ma większej przyszłości, musimy więc jechać do Francji. Ale ponieważ ty jesteś Francuzką, a ja mam w sobie francuską krew, nie wątpię, że zadomowimy się tam od razu i będzie nam bardzo dobrze.

- Zadomowimy? - głos Gennie podniósł się niemal do krzyku. - Czy naprawdę myśli panienka spędzić życie urabiając ręce po łokcie jako prosta służąca, zamiast zająć właściwe panience miejsce jako dama z wyższych sfer?

- Jako dama z wyższych sfer - odparła Teresa gwałtownie - albo raczej jako dama z fortuną, byłabym zmuszona poślubić za cztery miesiące zupełnie nieznanego mi człowieka, który nie jest mną zainteresowany i pragnie jedynie zanurzyć swoje chciwe ręce w moich pieniądzech.

Teresa mówiła z taką pasją, że garderobiana cofnęła się o krok, jakby bała się o własną skórę. Rozumiejąc jednak, że młoda pani traktuje całą sprawę niezmiernie poważnie, Gennie odezwała się proszącym tonem:

- Ma petite, doprawdy nie powinna panienka tego robić. Co by na to powiedziała matka panienki, Panie świeć nad jej duszą?

- Mama powiedziała by mi, że bym nie wychodziła za kuzyna Ruperta.

Zapadła chwila ciszy, a następnie Gennie odezwała się ponownie:

- Jedźmy więc do Francji, jeśli Jego Lordowska Mość nam w tym nie przeszkodzi. Ale tam, na miejscu, poszuka panienka kogoś z rodziny i poprosi tę osobę, by ją ukryła.

- A jeśli ona odmówi? - spytała Teresa. - Co wówczas zrobimy? Wrócimy posłusznie do Anglii wiedząc, że powtórna szansa ucieczki nigdy się nie trafi? Nie, Gennie, jeśli mamy zamiar jechać, musimy się zdecydować na zupełnie nowe życie, ale przecucie mi mówi, że wszystko świetnie nam się uda. - Teresa uśmiechnęła się, wyciągając ręce do garderobianej. - Pojedź ze mną, droga Gennie, strzeż mnie i opiekuj się mną, jak zwykle. Możesz wierzyć lub nie, ale jestem przekonana, że mama pochwaliłaby moje projekty.

W oczach starej służącej pokazały się łzy i Teresa zrozumiała bez słów, że wygrała.

Następnego ranka przyjechał do Teresy pan Mayhew. Dziewczyna zaplanowała dokładnie z góry, co mu powie. Przyjęła doradcę w salonie pytając, czy wolałby pokrzepić się po podróży filiżanką kawy czy też może kieliszkiem wina, po czym przeszli do rzeczy.

- Lady Tereso, testament pani matki jest bardzo prosty - zaczął pan Mayhew.

- Przekazała pani wszystko, co posiadała, z zastrzeżeniem, że może pani

korzystać wyłącznie z procentów od kapitału, natomiast sam kapitał zapisany jest imiennie pani dzieciom.

- A jeżeli nie będę miała dzieci?

- W takim wypadku pieniądze mają być rozdzielone wśród rodziny Chaufour we Francji.

Zapis ten zdawał się potwierdzać przekonanie Teresy, że matka nigdy nie lubiła swoich powinowatych - rodziny Holme - chociaż nie przyznawała się do twego głośno.

- Istnieje jednak kilka wyjątków - ciągnął pan Mayhew. - Tak więc jeśli chciałaby pani kupić kiedykolwiek dom, może pani przeznaczyć na ten cel pieniądze będące częścią samego kapitału. Może pani do nich również sięgnąć, jeśli zechce pani, powiedzmy, utworzyć fundusz powierniczy z myślą o przyszłej edukacji czy małżeństwie dzieci.

Prawnik przerwał na chwilę, uśmiechając się lekko, po czym podjął:

- Pani matka była niezmiernie bogata, więc przekona się pani, jak sędzę, że dochody w postaci procentów od majątku są bardzo pokaźne i z pewnością pokryją wszelkie pani potrzeby, nawet te największe.

Teresa była świadoma, że matka postanowiła nie dopuścić, by przyszły mąż córki mógł czerpać większe sumy z jej majątku, jak to czynił ojciec Teresy. Jednocześnie dziewczynie przyszło na myśl, że posiadanie własnej restauracji przestało być tak nierealne, jak jej się początkowo wydawało. Restauracja podpadała niewątpliwie pod „dom”, toteż Teresa będzie mogła pomyśleć o stworzeniu własnego interesu, kiedy tylko uwolni się od presji, wywieranej przez stryja, by wyszła za mąż za kuzyna Ruperta.

Wiedziała jednak doskonale, że nie może wtajemniczyć w te projekty pana Mayhew, który byłby przerażony i udałby się niewątpliwie do stryja Edwarda, by opowiedzieć o pomysłach Teresy. Ograniczyła się więc do potulnego stwierdzenia:

- Jestem pewna, że mama miała na względzie wyłącznie moje dobro i winna jej jestem za to wielką wdzięczność.

- Będzie panią bez wątpienia stać na wszelkie rzeczy, o których posiadaniu pani zamarzy - odparł pan Mayhew. - Poza tym pani matka sporządziła listę zatrudnionych przez siebie osób, którym pozostawiła darowizny, zaznaczając przy tym, że może pani dopisać do niej wszystkie osoby, jakie uzna pani zapominięte.

Wziąwszy listę z rąk prawnika Teresa przekonała się, że matka obdarowała hojnie całą służbę, a zwłaszcza, jak się należało spodziewać, Genevieve. Studiując uważnie spis spostrzegła:

- Owszem, przychodzi mi na myśl parę osób, które powinny dostać odpowiednie sumy pieniędzy. Ponadto chciałabym poprosić pana, panie Mayhew, o sporą kwotę do własnego użytku, ponieważ będę musiała udać się do Londynu i zaopatrzyć w stroje na okres żałoby.

- Ależ oczywiście, Lady Tereso - zgodził się pan Mayhew. - Proszę mi tylko powiedzieć, ile pani potrzeba.

- Chciałabym dostać pięćset fontów na darowizny i drugie pięćset na swoją garderobę - odparła Teresa prędko.

- Chyba byłoby znacznie wygodniej - zauważył prawnik, - gdyby poleciła pani, żeby odesłano rachunki do mnie, a ja je wszystkie zapłacę.

Teresa uśmiechnęła się.

- Rzeczywiście, byłoby to z pewnością ułatwienie, ale wie pan przecież jak rzadko wyjeżdżałyśmy z mamą z tego domu w ciągu ostatnich trzech lat. W rezultacie nie jestem znana w londyńskich sklepach i uzyskanie w nich kredytu wymagałoby mnóstwa kłopotliwych wyjaśnień. Toteż o wiele prościej będzie zapłacić za wszystko gotówką.

- Rozumiem panią- odparł doradca Mayhew - ale nie podoba mi się myśl, że będzie pani miała przy sobie tak wiele pieniędzy.

- Jeśli martwi się pan o to, mam inną propozycję - powiedziała Teresa, której właśnie przyszło coś do głowy. - Może najlepiej byłoby otworzyć mi konto w londyńskim banku, ponieważ mam zamiar w przyszłości często odwiedzać stolicę. Czy mógłby pan złożyć jak najszybciej sumę pięciu tysięcy funtów w banku położonym blisko miejsca, gdzie się zatrzymam? W ten sposób będę mogła wypisać czek w dowolnym terminie i na dowolną kwotę, w miarę potrzeby.

- Doskonale - zgodził się pan Mayhew. - Będę przy tym spokojny, że jest pani bezpieczna i że nie padnie pani łupem złodziejasków, których pełno na ulicach Londynu.

- Jestem przekonana, że pana obawy są płonne - odpowiedziała Teresa. - Niemniej jednak będę wdzięczna, jeśli załatwi pan to wszystko możliwie szybko, ponieważ zamierzam wyruszyć do Londynu pojutrze.

Pan Mayhew schował dokumenty do teczki.

- Polecę jednemu z moich urzędników, żeby stawił się u pani jutro rano z pieniędzmi, których potrzebuje pani na wypłaty darowizn.

- Dziękuję - odparła Teresa. - Doceniam trud, który pan sobie zadaje; to bardzo miłe z pana strony.

- Zajmowałem się zawsze z największą przyjemnością interesami pani matki, Lady Tereso, i mam nadzieję, że w przyszłości będę mógł sprawować pieczę również nad pani sprawami.

Teresa domyśliła się, że prawnik orientuje się w zamierzeniach stryja względem jej osoby, wiedziała też, że sam hrabia zatrudnia inną firmę prawniczą.

- Może pan być pewien, panie Mayhew, że zwrócę się zawsze z prośbą o pomoc i radę właśnie do pana, tak jak robiła to mama.

Prawniki wysłuchał jej słów z wyraźnym zadowoleniem i Teresa zrozumiała, że obawiał się stracić swą bogatą klientkę. Po chwili milczenia odezwała się ponownie:

- Mam jednak do pana pewną prośbę, panie Mayhew. - Słucham panią.

- Chciałabym, żeby wszelkie zawierane między nami umowy były sprawą poufną i znaną wyłącznie nam dwojgu.

- Naturalnie, Lady. Tereso, jeśli tego sobie pani życzy.

- Tak, zdecydowanie tego sobie życzę. Prawdę powiedziawszy, byłam mocno zaskoczona, gdy dowiedziałam się od stryja, że ujawnił mu pan treść testamentu mojej matki, zanim ja sama miałam ją okazję poznać.

Pan Mayhew czuł się wyraźnie nieswojo.

- Jeśli uraziłem tym panią, pozostaje mi prosić o wybaczenie - powiedział. - Ale pan hrabia nalegał stanowczo, mówiąc że jako pani oficjalny opiekun, ma prawo wiedzieć dokładnie, jakie są pani widoki na przyszłość.

- Czy oznacza to, że stryj może zmienić moje polecenia lub życzenia, chociaż sam nie zatrudnia pańskiej firmy?

Pan Mayhew zorientował się nagle, o co pyta Teresa i odpowiedział:

- Lady Tereso, mam pełne prawo odmówić panu hrabiemu, gdyby żądał wyjawienia jakiegokolwiek sprawy poufnej - chyba że jako pani prawny opiekun otrzyma na to odpowiednie pozwolenie sądowe - stwierdził doradca, dodając po krótkiej przerwie: - Ale uzyskanie takiego pozwolenia jest sprawą kłopotliwą, przewlekłą i kosztowną.

Teresa uśmiechnęła się. Miała zupełną pewność, że o ile nie zajdzie coś nadzwyczajnego, stryj nie będzie naciskał pana Mayhew, by prawnik zdradził mu coś, co Teresa będzie chciała utrzymać przed hrabią w tajemnicy. Zresztą dowiedział się już tego, na czym mu najbardziej zależało, mianowicie wielkości majątku bratanicy, oraz zdecydował, w jaki sposób najskuteczniej położyć na nim rękę.

Teresę zaskoczyła i zdumiała ilość pieniędzy, jaką przekazała jej w spadku matka. Kapitał był naprawdę ogromny, nie do wiary, że ojciec mógł tak szybko

i łatwo wydawać sumy stanowiące procent od majątku i powracać tak często po następne okazałe kwoty, będące już częścią samego kapitału. W tejże chwili Teresa przypomniała sobie opowieści o kobietach w Paryżu, dla których mężczyźni w rodzaju jej ojca urządzali orgie dorównujące rzymskim, rzucając przy tym fortuny do ich stóp.

Na myśl o tym ogarnęło Teresę znajome uczucie nienawiści, ale ani wyraz twarzy, ani ton głosu nie zdradził jej wzburzenia, gdy zwróciła się do prawnika:

- Mam nadzieję, panie Mayhew, że z moim dziedzictwem nie będą się wiązały żadne kłopoty czy nieprzyjemności. Wdzięczna jestem, że mogę zwrócić się do pana w razie jakichkolwiek trudności i że wszystko, o czym będziemy rozmawiali, pozostanie między nami.

- Naturalnie, Lady Tereso - przytaknął pan Mayhew - i czuję się bardzo zaszczycony pokładaniem we mnie zaufaniem.

Pożegnawszy prawnika przy drzwiach frontowych, Teresa pogratulowała sobie, chwalać w duchu własną przemyślność. Uzyskała właśnie okazałą kwotę niezbędną do ucieczki i życia we względnym komforcie, przynajmniej przez jakiś czas dla siebie samej oraz Gennie.

Teresa zdawała sobie sprawę, że zdoła się uniezależnić w pewnym stopniu od machinacji stryja dopiero wtedy, gdy Rupert ożeni się z jakąś inną panną. Rodzina Holme'ów potrzebowała pieniędzy tak dalece, że jeśli Teresie udałoby się pozostać w ukryciu przez, powiedzmy, trzy czy cztery lata, stryj, nagłony potrzebą, znalazłby najprawdopodobniej inną dziedziczkę. W takim wypadku Teresa mogłaby ewentualnie powrócić do Anglii.

W międzyczasie jednak pan Mayhew zadba, by wzrastał jej majątek, którego nie mógł tknąć nikt prócz samej Teresy.

Nazajutrz urzędnik z biura pana Mayhew dostarczył Teresie pięćset funtów. Pieniądzom towarzyszył list, w którym prawnik przestrzegał Teresę, by postępowała z nimi rozważnie, przekazując ustalone sumy tym, których pragnie obdarować, w jak najszybszym czasie.

W domu zajmowanym przez panię pracowało istotnie kilka osób, które nastały tam już po spisaniu testamentu przez matkę. Teresa wręczyła im odpowiednie kwoty uważając, by nie przewyższały one darowizn dla służących pracujących dłużej. Sumy były jednak wystarczające, żeby uszczęśliwić obdarowanych i zapewnić, że nie zostaną bez grosza w przypadku, gdyby stryj postanowił się ich pozbyć podczas nieobecności młodej pani.

Teresa napisała list, który zamierzała wysłać z Londynu po wyjeździe swoim i Gennie. Prosiła w nim pana Mayhew, żeby w czasie jej nieobecności utrzymywał dom rodzinny na jej koszt, płacąc pensję służącym, którzy

pracowali dla pań przez tak wiele lat, obiecała też powiadomić prawnika o wszelkich ewentualnych zmianach decyzji. Nie wyjaśniła natomiast, dlaczego wyjeżdża, ani gdzie zamierza się udać. Wiedziała, że doradca usłyszy o tym nieuchronnie, a jako człowiek inteligentny domyśli się niewątpliwie powodów, dla których zdecydowała się ukryć. Ufając panu Mayhew bez zastrzeżeń, Teresa obawiała się jednak, że stryj jakimś sposobem zdoła wydostać od niego informacje na temat swojej bratanicy, jeśli będzie przypuszczał, iż prawnik wie coś o miejscu jej pobytu. Jako hrabia of Delholme, stryj Teresy zajmował obecnie bardzo ważną pozycję w hrabstwie i nawet znana firma prawnicza mogłaby ucierpieć, gdyby postanowił się na nich zemścić.

- Nie mogę narażać pana Mayhew na podobne ryzyko bez absolutnie koniecznej potrzeby - powiedziała Teresa.

Myślała też z satysfakcją o dużej sumie pieniędzy, która będzie złożona w londyńskim banku i pozostanie do jej dyspozycji.

Nazajutrz Gennie spakowała niemal wszystkie stroje Teresy, a także sporo ubrań należących do matki.

- Nie będziemy kupowały nic poza rzeczami niezbędnymi - oznajmiła Teresa. - Myślę też, Gennie, że nie powinnam chodzić w głębokiej żałobie, kiedy znajdziemy się we Francji.

Widząc zaskoczony wzrok garderobianej, Teresa wyjaśniła:

- Żałoba stwarza aurę ponurości, której nikt nie lubi u własnych pracowników. Poza tym jeśli stryjowi Edwardowi przyjdzie do głowy, że pojechałam do Francji i postanowi mnie tam szukać, będzie z pewnością pytał o młodą kobietę w żałobie, więc ułatwiłabym mu po prostu zadanie.

- Ależ to by oznaczało brak poszanowania dla pamięci ukochanej matki! - zaproponowała Gennie.

- Kochałam mamę gorąco i nigdy nikogo nie pokocham równie mocno - odparła Teresa. - Wiem jednak, że ona sama zrozumiałaby to od razu, podobnie zresztą jak Grandmere; pojęłyby, iż w tej chwili sprawą najważniejszą jest ucieczka od stryja Edwarda i od człowieka, którego mi wybrał na męża.

- Nie powinna panienska robić czegoś podobnego tuż po śmierci matki - mruknęła Gennie.

- Nie ma znaczenia, teraz czy później - odrzekła Teresa - ponieważ nie mam zamiaru wyjść kiedykolwiek za mąż. Toteż, jak ci powiedziałam, jedyne, co mi pozostało, to zacząć nowe życie i kiedy tylko znajdziemy się we Francji, Gennie, będę Francuzką!

Służąca spojrzała na swoją panią ze zdziwieniem.

- Muszę więc wymyślić sobie nazwisko - ciągnęła Teresa. - Może masz jakiś pomysł? Naturalnie nie mogę się nazywać Chauffeur!

Gennie zastanawiała się przez chwilę.

- To niełatwe - zauważyła w końcu. - Poza tym będę stale zapominała, że nie mogę mówić do panienki Milady.

- Rozzłościł mnie, jeśli się zapomnisz- stwierdziła Teresa. - Czy zdajesz sobie sprawę, że jeżeli nas znajdą i odeślą do Anglii, będziesz musiała mieszkać w Rezydencji i jadać codziennie do końca życia wielkie kawały pieczeni wołowej?

Gennie uniosła ręce, wyrażając tym gestem przerażenie i Teresa wybuchnęła śmiechem. Pamiętała, że w czasach, gdy ona sama szykowała wymyślne potrawy dla matki, Gennie miała zwyczaj kończyć półmiski z komentarzem:

- To jest strawa dla osób prawdziwie cywilizowanych! Kiedy Teresa powtórzyła słowa Gennie matce, ta odparła:

- Wcale mnie to nie dziwi, najmilsza! Wszyscy Francuzi, począwszy od najbiedniej szych wieśniaków, uważają a gotowanie za prawdziwą sztukę. Trzeba też przyznać, że w tej dziedzinie są oni najbardziej cywilizowanym narodem Europy!

Teresa była jeszcze zupełnie małą dziewczynką, kiedy nauczyła się robić nieporównanie lekkie suflety - wydawało się niemal, że uniosą się w powietrze przy pierwszym podmuchu wiatru. Babka nauczyła też Teresę przygotowywać dania rybne tak, by rozplływały się w ustach, a jej ciasto francuskie nie miało sobie równych. Potrafiła wreszcie szykować potrawy z dziczyzny, które stanowiły ucztę dla oka, a także naturalnie, dla podniebienia, z racji swego niepowtarzalnego smaku, nieosiągalnego dla angielskiego kucharza.

- Gdzie nauczyłaś się tak dobrze gotować, Grandmere! - zapytała kiedyś babkę Teresa.

- Pochodzę z licznej rodziny - odparła Comtesse - a mój ojciec, który był wielkim smakoszem, mawiał zawsze, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Zadbał więc, by wszystkie córki nauczyły się od domowego kucharza, jak przygotowywać potrawy, które zdobyłyby jego uznanie, a trzeba ci wiedzieć, że był bardzo wymagający!

- A kiedy wyszłaś za mąż, Grandpapa lubił twoją kuchnię?

- Twój dziadek był w służbie dyplomatycznej i spędzał więcej czasu za granicą niż w Anglii. Znał potrawy z Grecji, Turcji i różnych wschodnich krajów, ale powtarzał zawsze, że raduje go nade wszystko każdy pobyt w Paryżu. A kiedy został ambasadorem, ludzie ciągnęli do ambasady, by rozkoszować się jedzeniem.

Babka roześmiała się i mówiła dalej:

- Rozumiesz sama, że kiedy wycofał się z czynnego życia, musiałam dbać o to, by posiłki były równie dobre co w czasach, kiedy przygotowywał je dla nas kucharz najwyższej rangi, w związku z czym często gotowałam sama dla nas obojga. A robiłam to, przyznam szczerze, tak dobrze, że dziadek zażądał, aby nie zajmował się tym nikt poza mną, co nie zostawiało mi wiele czasu na inne sprawy. - Tu babka roześmiała się ponownie, dodając: - Jeśli chodzi o ciebie, skarbie, jesteś urodzoną kuchareczką, co oznacza, że podobnie, jak urodzonemu ogrodnikowi zieleni się każdy listek, tak wszystko, co wyjdzie spod twojej ręki, smakuje przewybornie!

Teresa była przejęta i zachwycona pochwałą babki. Obecnie dołączyła się do tego świadomość, że ten talent oraz umiejętności, które nabyła, uchronią ją od życia w nędzy i upokorzeniu.

- Będę musiała postępować bardzo mądrze i roztropnie - stwierdziła w myślach - inaczej stryj Edward może się domyślić, co zamierzam zrobić i udaremnić moje plany.

Po przyjeździe do Londynu Teresa i Gennie zatrzymały się w domu należącym do rodziny Holme'ów, który stał zamknięty od kilku lat, odkąd ojciec Teresy wyjechał na stałe do Francji. Poprzednio był on jedynym użytkownikiem rezydencji, w której matka bywała bardzo rzadko. Obszerny i brzydki dom stał przy Charles Street, odchodzącej od Berkeley Square. Zajmowało się nim zaledwie kilkoro służby, przywykłych do nieróbstwa przez lata, kiedy tak rzadko ktoś w nim mieszkał.

Służący - z czego Teresa zdała sobie szybko sprawę - byli przerażeni, że teraz, po śmierci jej matki, nowy hrabia zechce przypuszczalnie zrezygnować z ich usług.

- A co się z nami stanie, Milady, jeśli będziemy musieli stąd odejść? - zagadnął stary lokaj.

- Wolelibyście tu zostać? - spytała Teresa łagodnie.

- Myśleliśmy, żeby skończyć ze służbą, Milady, o ile byłoby to możliwe, ale nie mamy gdzie się podziać i nie odłożyliśmy pieniędzy.

- Nie macie żadnych oszczędności?

- Nasz syn narobił sobie kłopotów, Milady i musieliśmy mu pomóc.

Teresa napisała list do pana Mayhew z poleceniem, by znalazł dla starego lokaja i jego żony niewielki domek w majątku i wypłacał im co tydzień hojną pensję. Na końcu zamieściła dopisek:

Niech pan łaskawie dopilnuje, żeby stryj nie wyrzucił ich z nowego domku. W przypadku jakichkolwiek kłopotów proszę kupić ów dom na ich nazwisko, tak by stał się własnością tych ludzi i nie mógł być im odebrany.

Następnie Teresa powiedziała lokajowi i jego żonie, co zrobiła, wręczając im ponadto sto funtów, które, jak wyjaśniła, są darowizną pozostawioną przez matkę. Para starych służących była uszczęśliwiona, wyglądało też na to, że będą dość rozsądni, by nie wtajemniczać w nowe okoliczności syna. W każdym razie oboje poczuli się bezpieczni.

Stajnią przy londyńskiej rezydencji zarządzał stajenny, który zajmował się końmi, kiedy ojciec Teresy przebywał w Londynie. Jego żona była w domu sprzątaczką. Oboje urodzili się w stolicy i czuliby się nieszczęśliwi z dala od niej. Jednakże byli stosunkowo młodzi, więc Teresa powiedziała im, że jeśli stryj nie chciałby ich dłużej zatrudniać, mają się zgłosić do pana Mayhew, który zajmie się nimi i zadba, by dostawali pensje, póki nie znajdą nowej pracy.

Teresa rozpatrywała niezwykle starannie pozycję każdego zatrudnionego przez siebie człowieka, ponieważ była pewna, że kiedy ona zniknie i Rupert nie będzie mógł się z nią ożenić, stryj zostanie zmuszony do poczynienia znacznych oszczędności.

Nowy hrabia, napuszony i nadęty, zadowolony z wagi swojej pozycji w rodzinie, dołoży z pewnością wszelkich starań, by mieszkać w Rezydencji, jak wszyscy dotychczasowi hrabiowie z rodziny. Było to jednak praktycznie niewykonalne bez ogromnej ilości pieniędzy, a Teresa wiedziała doskonale, że żadnemu z Holme'ów nie powodzi się dobrze.

- W tej sytuacji wydawałoby się, że zrobią, co mogą, by trzymać się blisko mamy - myślała sobie Teresa. - Zwłaszcza kiedy opuścił ją papa i wszyscy wiedzieli, jak bardzo jest nieszczęśliwa.

Ale w następnej chwili uświadomiła sobie, że trzymali się z dala, bo obca im była francuska krew matki - mimo, że w ich interesie byłoby postąpić odwrotnie.

- Okrutna, nikczemna rodzina! - wykrzyknęła Teresa gniewnie. - Nienawidzę ich, podobnie jak nienawidzę papy i każdego krewnego-mężczyzny!

Podczas pobytu w Londynie Teresa nie poszła do żadnego sklepu. Udała się natomiast do banku, żeby sprawdzić, czy pieniądze, o które prosiła, zostały wpłacone na jej konto. Była zresztą dostatecznie rozsądna, by nie wziąć całej kwoty. Ograniczyła się do trzech tysięcy funtów, co stanowiło sumę na tyle pokąsną, by kierownik banku spytał ją z troską i obawą, czy postępuje rozważnie podejmując tak ogromną ilość pieniędzy.

- Niestety - odpowiedziała mu Teresa, - okazało się, że muszę zapłacić zalegające długi, o których istnieniu dowiedziałam się dopiero teraz i wolę uregulować je osobiście.

Sposób, w jaki to oznajmiła, nasunął kierownikowi banku przypuszczenie, że chodzi o długi ojca, zgodził się więc bez dyskusji wypłacić Teresie żądane pieniądze w dużych banknotach, o które prosiła. Teresa ukryła starannie część z nich w specjalnych skrytkach w bagażu, a resztę wręczyła Gennie, która schowała pieniądze w pasie noszonym wokół talii pod suknią.

- Nie dopuszczę, żeby jakiś złodziej splądrował mi kieszenie - oświadczyła agresywnym tonem stara służąca. - Skoro panienka powierzyła coś mojej pieczy, przechowam to bezpiecznie, Milady!

- Wiedziałam, że mogę ci zaufać, Gennie - roześmiała się Teresa. - Powierzam ci więc następną część pieniędzy z prośbą, żebyś nie wypadła za burzę, kiedy będziemy płynęły przez Kanał, bo inaczej ryby miałyby z ciebie wyjątkowo kosztowną ucztę!

Roześmiała się z własnego żartu, ale Gennie odparła poważnie:

- Natychmiast po przyjeździe do Paryża wpłacimy te pieniądze do banku, gdzie będą bezpieczne i przestaniemy się narażać na jakiekolwiek ryzyko.

- Nie narazimy się na nie, jeśli nikt nie będzie wiedział, kim jestem - powiedziała Teresa. - Więc nie zapomnij, że nazywam się Mademoiselle Beauvais i mówimy po francusku, zamiast po angielsku.

- Będę pamiętać! - oznajmiła Gennie z przekonaniem i z chwilą znalezienia się na pokładzie statku, którym miały przepłynąć przez Kanał, zaczęła mówić w swoim rodzimym języku.

Teresa, nerwowa i spięta przez cały czas od momentu wyruszenia z dworca Victoria, rozluźniła się dopiero, gdy statek zawinął do Calais. Pomyśleć tylko, co by się stało, gdyby jakimś przedziwnym trafem zobaczył ją i rozpoznał któryś z przyjaciół ojca! Pomyśleć, że mogłaby spotkać swoich znajomych, którzy powiedzą stryjowi, że widzieli ją w drodze do Francji! Teresa miała nadzieję, że hrabiego zmyli wiadomość, której udzieliła na wyjeździe służbie w domu rodzinnym. Powiedziała im:

- Kiedy zaopatrzę się w czarne suknie w londyńskich sklepach, pojedę z Gennie na północ, bo mam zamiar odwiedzić jedną z moich przyjaciółek. Zatrzymam się u niej nie dłużej, niż kilka tygodni, ale po prostu czuję, że muszę na jakiś czas zmienić otoczenie.

Sądząc, że Teresa mówi o pustce, która otacza ją w domu po śmierci matki, pozostali służący pospieszyli zapewnić:

- To bardzo dobry pomysł, Milady. Znajdzie się panienka wśród nowych ludzi, w towarzystwie rówieśników.

- Czuwajcie nad wszystkim w czasie mojej nieobecności - powiedziała Teresa. - Dam wam znać, kiedy zamierzam wrócić.

Do Londynu pojechała obszernym, należącym do rodziny powozem, zmieniając konie w czasie drogi. Spędziwszy noc w mieście, wyruszyła w dalszą podróż następnego dnia wczesnym rankiem. Staremu lokajowi i jego żonie w londyńskim domu powiedziała to samo, co służbie w majątku. Wiedziała, że stryj zasięgnie wiadomości w obu tych miejscach, kiedy zacznie się poważnie zastanawiać, co się z nią stało.

Miała nadzieję, iż zyskała co najmniej trzy lub cztery tygodnie - że stryj nie zacznie szukać jej wcześniej, o ile nie zajdzie coś nieprzewidzianego. Toteż upewniwszy się, że najpierw w pociągu, a następnie na statku nie ma żadnej znajomej twarzy, Teresa poczuła się bezpieczna, a po dotarciu do Calais ogarnęło ją wręcz cudowne uczucie wolności.

Pociąg do Paryża czekał na nabrzeżu. Teresa i Gennie wsiadły do przedziału pierwszej klasy. Teresa zdecydowała się na podróżowanie pierwszą klasą nie tylko ze względu na wygodę, ale również dlatego, że chciała być z Gennie sama; nie postano wiła jeszcze, co zrobią, kiedy znajdą się w Paryżu. Mimo sprzeciwów garderobianej obstawała jednak przy swoim zamiśle, by zacząć od poszukania posady mistrza kucharskiego.

- Musimy być praktyczne - zwróciła się do Gennie. - Pieniądze, które mamy, nie wystarczą nam do końca życia, a choć teraz wydaje się, że jest ich dużo, wydamy je, zanim się obejrzymy, a wówczas będziemy zmuszone poprosić pana Mayhew o więcej, co może okazać się ryzykowne.

- Ale, Milady, przecież nie może panienka pracować jako służąca!

- Nie Milady, tylko Mademoiselle - poprawiła Teresa. - Jeśli nawet będę służącą, to przynajmniej wysokiej rangi. Szefowie kuchni, jak sama wiesz, stanowią odrębną kategorię służby. Mama nieraz mi opowiadała, jak niezwykłym poczuciem godności odznaczał się ich domowy kucharz, przed którym żyła w strachu cała reszta domowników.

- Ale to był mężczyzna, Mademoiselle.

- Mnie również będą się bali! - odparła Teresa. - Przekonasz się, że osiągnę, co postanowię, poczekaj tylko!

Teresa widziała, że Gennie absolutnie w to nie wierzy, co umocniło ją tylko w postanowieniu, by realizować plan, na który się zdecydowała. Jeszcze przed wyjazdem do Francji Teresa wypisała sobie wspaniałe referencje na papierze opatrzonym herbem rodzinnym. Jedne z nich miały pochodzić od jej własnej

matki, hrabiny of Denholme, drugie od babki, Comtesse Marie de Chauffour. Te ostatnie stwarzały pewien problem, ponieważ Teresa wyglądała zbyt młodo, by służyć u babki w czasach paryskich. Poradziła sobie z tym wyjaśniając w liście zawierającym referencje, że po śmierci męża, Lorda Greystone, byłego ambasadora w Paryżu, zatrudniła ona Mademoiselle Teresę Beauvais, która okazała się niezrównaną kucharką, kontynuującą tradycje najwykwintniejszej francuskiej sztuki kulinarnej.

Epistoła była tak elegancko zredagowana i tak niezwykle pochlebna, że skończywszy pisać Teresa wybuchnęła śmiechem.

- Będę zdziwiona - oznajmiła - jeśli nie zapewni mi to posady u cesarza w pałacu Tuilleries!

- Słyszałam zawsze, że jedzenie w pałacu Tuilleries wcale nie jest dobre - odparła Gennie. - Cesarzowa Eugenia jest Hiszpanką i nie zna się na francuskiej kuchni.

- Za to cesarz powinien się znać! - zawyrokowała Teresa z przekonaniem. - W każdym razie jestem pewna, że z tymi referencjami zaangażuje mnie chętnie nawet największy smakosz we Francji!

Teresa nie zauważyła, że Gennie westchnęła głęboko z mocno sceptyczną miną. Wierna garderobiana była przekonana, że jej pani, jako kobiecie, niełatwo przyjdzie znaleźć posadę szefa kuchni; Gennie żywiła ogromne obawy co do przyszłości, choć nie śmiała wypowiadać ich głośno. Zdawała sobie przy tym w pełni sprawę z tego, jak młoda, niewinna i niedoświadczona jest Teresa, toteż powzięła nieugięte postanowienie towarzyszenia swojej pani i opiekowania się nią w każdej sytuacji.

Gennie uwielbiała hrabinę od momentu, kiedy ujrzała ją po raz pierwszy i uważała matkę Teresy za najpiękniejszą kobietę na świecie. Przy tym młoda pani była tak dobra i miła w stosunku do Gennie, która nie pochodziła ze szczęśliwej rodziny, że służąca pokochała ją całym sercem. Gdy hrabina wyszła za mąż, Gennie gotowa była pojechać z nią nawet na biegun północny, gdyby pani tego zażądała. Nie zdradzając się ze swymi uczuciami, Gennie cierpiała mieszkając w Anglii, której nie znosiła. Inni służący nie rozumieli jej, śmiejąc się często i drażniąc z garderobianą tylko dlatego, że nie była taka jak oni. Z wielką ulgą przyjęła Gennie przenosiny z Rezydencji. Wierna służąca nigdy nie wybaczyła hrabiemu sposobu, w jaki traktował jej ukochaną panią. Podczas gdy Teresa nie cierpiała ojca za to, co zrobił matce, Gennie, choć nikt tego nie podejrzewał, żywiła do niego głuchą nienawiść, gotowa zamordować go z zimną krwią, gdyby tylko trafiła się po temu okazja. Serce jej krwawiło za każdym razem, gdy widziała rano ciemne sińce pod oczami swojej uroczej pani

wiedząc, że są one oznaką przepłakanej nocy. Nie mogła jednak zrobić nic poza troskliwym zajmowaniem się panią i opiekowaniem małą Teresą.

Z upływem lat Gennie zaczęła ukrywać swoje uczucia, a także godzić się z losem. Toteż obecnie, choć ogarniało ją przerażenie na myśl, co przyszłość szykuje dla Teresy, była dość mądra, by nie zdradzać się ze swymi obawami. Jedyłą pociechę stanowiła myśl, że jeśli napotkają trudności nie do pokonania, ona, Gennie, zajmie się osobiście odszukaniem krewnych pani z rodziny Chaufour i poprosi ich o pomoc.

Wagon kolejowy, w którym siedziały obie kobiety, był bardzo wygodny. Myślały właśnie, że pociąg powinien zaraz ruszyć, kiedy drzwi się otworzyły i wsiadła nowa pasażerka. Była to młoda kobieta, bardzo ładna oraz niezmiernie elegancko i modnie ubrana. Robiła wrażenie niemal zbyt szykownej, z kosztownymi sobolami przerzuconymi przez ramię. W rękę trzymała okazałych rozmiarów szkatułkę na klejnoty, którą umieściła pieczołowicie na siedzeniu tuż obok siebie. Napiwek, jakim obdarzyła tragarza, nie był zapewne bardzo szczodry, ponieważ został skwitowany zwykłym Merci, zamiast Merci beaucoup, Madame.

Drzwi zamknęły się, konduktor dał sygnał gwizdkiem i rozpoczął się następny etap podróży.

Teresa nie mogła oderwać oczu od nieznajomej, mając przy tym niemiłą świadomość, że zachowuje się niegrzecznie. Po chwili spostrzegła ze zdziwieniem małego pieska, wyglądającego zza sukni pasażerki. Zauważyła, że pani trzyma go na smyczy zbyt krótko, co sprawia, że pies jest do niej przyciśnięty i ma zadartą głowę. Kiedy jednak pociąg nabrał prędkości, młoda kobieta puściła smycz i pies natychmiast odsunął się od niej, otrzepał, po czym wskoczył na siedzenie obok. Był to bardzo ładny, niewielki spaniel angielski o rudobrazowej sierści i dużych, wyrazistych oczach. Usiadłszy, zaczął natychmiast wykręcać się i obracać, usiłując dosięgnąć tylnych łap, aż pani zwróciła się do niego ostro po francusku:

- Przestań! Uspokój się zaraz, ty okropne zwierzę! Jeśli masz pchły, wyrzuć cię na następnej stacji!

Powiedziała to z taką zawziętością, że Teresa pochyliła się w stronę psa, mówiąc:

- Przepraszam, Madame, czy mogę spojrzeć na pani psa? Zdaje mi się, że to nie pchły mu dokuczają, tylko coś innego.

- Cokolwiek by to było, niech przestanie się drapać - odparła nieznajoma. - Zresztą tak czy owak nie lubię psów. Nie ma z nich żadnego pożytku tylko zawracanie głowy!

Teresa prawie nie słuchała. Przeszła na drugą stronę przedziału, poklepała i pogłaskała psa, żeby go uspokoić, po czym zbadła tylne łapy zwierzęcia i odkryła, że istotnie przyczyną podrażnienia nie są pchły, ale rzep. Wyjęła go i pokazała młodej kobiecie na przeciwległym siedzeniu.

- To go uwierało!
- Wygląda okropnie. Cóż to takiego?
- To rzep, lepki i kłujący owoc pochodzący z krzewu rosnącego w Anglii na polach.
- W takim razie nie powinien złapać następnego.
- Jedzie pani do Paryża?
- Tak, i mam tam mieszkanie, nawet bardzo eleganckie, gdzie wcale nie chcę trzymać psa!
- Więc czemu pani go ze sobą wiezie? - spytała Teresa z ciekawością.
- Dostałam to zwierzę w prezencie od przyjaciela, od bardzo bliskiego przyjaciela i nie mogłam odmówić.

Teresa zajęta była głaskaniem psa, który odwzajemniał pieszczoty tuląc się do ręki i trącając ją nosem.

- Co za śliczny spaniel - powiedziała. - A jak się wabi?
- Ma angielskie imię - odparła j ego właścicielka - więc oczywiście będę musiała je zmienić. Brzmi ono Rover.

Wymówiła je tak zabawnie, że Teresa roześmiała się, komentując:

- Rover, czyli włóczęga - bardzo odpowiednie imię. Spaniele ogromnie lubią włóczęgi i wędrówki, są też znakomitymi psami myśliwskimi.
- To mnie zupełnie nie interesuje, a o włóczeniu się w Paryżu może zapomnieć! Niewykluczone zresztą, że po prostu się go pozbędę.

Teresa zawahała się przez chwilę, po czym wiedząc, że jest nierozsądna, zaproponowała:

- Jeśli pani chce, mogę go od pani kupić.
- Właścicielka Rovera spojrzała na nią ze zdziwieniem.
- Kupić? - wykrzyknęła, a potem zaśmiała się krótko. - Tego naprawdę nie spodziewałam się usłyszeć!
 - Kocham psy - wyjaśniła Teresa, - i sędzę, że byłoby mu ze mną dobrze
- Właścicielka Rovera namyśliła się widać nagle, gdyż oświadczyła:
- Pies należy do pani. Daję go pani w prezencie! I proszę mi nie dziękować, jestem zadowolona, że się go pozbyłam!
 - Ależ dziękuję pani ogromnie! - odparła Teresa. - I obiecuję dbać o niego troskliwie.

- To mnie niewiele interesuje - oznajmiła młoda kobieta. - Nie lubię zwierząt, lubię ludzi!

- A mnie przyszło właśnie do głowy - powiedziała Teresa - że o wiele bardziej lubię zwierzęta!

Współpasażerka roześmiała się spontanicznie.

- To bardzo niemądra uwaga, Mademoiselle, w ustach kogoś, kto ma taką twarz, jak pani.

Teresa spojrzała na nią zdziwiona. . - Zwierzęta, zwłaszcza psy i koty, są nieporządne, brzydkie i brudne! - młoda kobieta roześmiała się ponownie, kończąc: - Dla pani i dla mnie istnieją znacznie bardziej interesujące stworzenia! A choć należą one również do gatunku zwierząt, nazywamy je mężczyznami!

Rozdział trzeci

Nienawidzę mężczyzn!

Okrzyk, który wyrwał się z ust Teresy, był mimowolny. Zaraz potem pojawiła się myśl, że nie powinna rozmawiać tak szczerze z osobą nieznaną. Siedząca naprzeciw kobieta przyglądała jej się ze zdziwieniem.

- Nienawidzi pani mężczyzn? - powtórzyła. - Ale w takim razie kto będzie pani sprawiał futra, klejnoty, piękne suknie i zapewni wszelkie inne luksusy życiowe?

Teraz z kolei na twarzy Teresy pojawił się wyraz zdziwienia. W następnej chwili zorientowała się jednak, że jej towarzyszka podróży musi być jedną z tych wykwintnych kurtyzan, o których słyszała tak wiele i dla których jej ojciec wydostawał ogromne sumy pieniędzy od matki. Przyjrząwszy się uważniej stwierdziła, że młoda kobieta jest bardzo mocno umalowana, o wiele mocniej, niż można by oczekiwać, choć prawdę mówiąc wszystkie modne panie używały pudru i pomadki do ust.

Poza tym nieznaną była niezwykle sztywnie ubrana. Na jej kapeluszu, noszonym prowokacyjnie na bakier na wijących się, ciemnych włosach, kłębiła się niezliczona ilość piór. Miała też na sobie suknię z turniurą, która od jakiegoś czasu wyparła krynolinę, przy czym jej strój był ostatnim krzykiem mody. Następną rzeczą, która uderzyła Teresę, była ogromna ilość biżuterii ozdabiającej młodą kobietę. W jej uszach lśniły diamenty, podobny blask rozsiewał naszyjnik widoczny spod kołnierza aksamitnego żakietu. Na palcach miała pierścionki, na przegubach rąk bransoletki; cała była uosobieniem ekstrawagancji i szyku.

Świadoma zainteresowania Teresy, nieznaną odezwała się z lekkim rozbawieniem:

- Proponuję, żebyśmy się poznały. Jestem Celeste St. Clair i przekona się pani po przyjeździe do Paryża, że moje nazwisko jest tam dobrze znane.

Widząc, że pasażerka czeka na odpowiedź, Teresa powiedziała z pewnym wahaniem: . - Nazywam się... Teresa Beauvais.

- Ogromnie mi miło poznać panią Mademoiselle - odparła Celeste St. Clair - ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego nienawidzi pani mężczyzn! Nie będzie to pusty komplement, jeśli powiem, że jest pani bardzo ładna.

- Dziękuję - odrzekła Teresa. - Nie chcę rozwodzić się .s nad moimi uczuciami, powiem tylko, że pragnę dojechać do Paryża i znaleźć prędko posadę kucharki.

- Kucharki? - słowo to wydarło się z umalowanych warg Celeste niemal z piskiem. - Na miły Bóg, z pani wyglądem szukać posady kucharki?

Po chwili namysłu Teresa odpowiedziała ostrożnie:

- Muszę zarobić na własne utrzymanie. A ponieważ posiadam doświadczenie w zawodzie i prowadziłam kuchnię u wielu ważnych osób, mam nadzieję, że znajdę bez trudności pracę w kraju, gdzie ceni się dobre jedzenie.

- O tak, to prawda - zgodziła się Celeste. - A chociaż Milord, u którego gościłam w Anglii, miał kucharza Francuza, potrawy nie dorównywały temu, co się jada w Paryżu.

. Teresa milczała chwilę, po czym zauważyła:

- W każdym razie pani przyjaciel ma dobry gust, jeśli chodzi o psy!

- W jego domu jest ich pełno - stwierdziła Celeste pogardliwym tonem. - Tak, za dużo psów, za to nie dość kominków. Już choćby z tego powodu będę bardzo szczęśliwa, znalazłszy się na powrót w Paryżu!

Z jej wypowiedzi można się było domyślić, że istnieje wiele innych powodów. Po chwili Celeste, jakby chcąc zrobić wrażenie na Teresie, dorzuciła:

- Ponieważ pochodzi pani również z Anglii, być może słyszała pani o moim przyjacielu. Nazywa się Lord Ludgrove, ma ogromny dom na wsi w Hertfordshire i drugi, znacznie wygodniejszy, w Londynie.

Teresa potrząsnęła przecząco głową.

- Mieszkałam daleko od miasta i niestety nie znam zbyt wielu możliwych i ważnych osobistości.

- Wobec tego mam nadzieję, że będzie się pani podobało w Paryżu - oznajmiła Celeste - gdzie, zapewniam panią, znajdzie się wielu mężczyzn, którzy będą pani proponowali coś znacznie ciekawszego niż gotowanie im posiłków!

Jej słowa miały podtekst, a w ciemnych oczach migotał błysk, którego Teresa nie rozumiała. Usiłowała sobie w tym momencie przypomnieć, czy słyszała kiedykolwiek o Lordzie Ludgrove, zastanawiała się też, czy ma rację sądząc, że Celeste St. Clair jest jedną z najbardziej poszukiwanych „paryskich dam”. Ale jeśli tak, to czemu Celeste wyjechała do Anglii?

Jakby czytając w jej myślach, Celeste odezwała się:

- Milord był bardzo bogaty i szalenie hojny, ale stary, więc rozumie pani, że ja, która mam młodość i cały Paryż u stóp, marnowałam w Anglii życie.

Teresa wybuchnęła śmiechem.

- Rozumiem panią i pewna jestem, że Paryż jest tak wesoły, jak mi zawsze mówiono.

Wypowiadając te słowa myślała jednocześnie, że wszelkie opowieści o tym, jak ojciec zabawiał się w Paryżu z pięknymi paniami, przypominającymi zapewne Celeste, budzą w niej odrazę. A kiedy pomyślała, jak zachowywał się wobec matki i jak ją traktował, wzruszyła lekko ramionami, odwracając umyślnie oczy od sobolowego futra i skrzących się diamentów Francuzki.

Przez jakiś czas podróżowały w milczeniu, które przerwała wreszcie Celeste.

- Tak sobie rozmyślałam i sądzę, że jestem w stanie pani pomóc, jeśli chodzi o posadę kucharki.

Teresa odpędziła natychmiast myśli o ojcu, pytając:

- Naprawdę? To bardzo miło z pani strony. Szczerze mówiąc, nie znam w Paryżu nikogo.

Celeste przyjrzała się jej uważnie, jakby postanowiła wydobyć z Teresy całą prawdę.

- Czy rzeczywiście nienawidzi pani mężczyzn? - spytała.

- Z całej duszy! - odparła Teresa. - Są okrutnymi i bezwzględnymi egoistami! Ślubowałam, że nigdy nie wyjdę za mąż i nie dopuszczę, żebym przez kogoś z nich miała cierpieć tak, jak... ktoś... kogo kochałam.

Przy ostatnich słowach głos jej zadrżał, bo omal nie powiedziała: „moja matka”. Nie zauważyła też dziwnego wyrazu malującego się na twarzy Celeste, która wyglądała, jakby coś ją rozbawiło i zarazem zadowoliło.

- Zaraz pani powiem, co zrobię, Mademoiselle - powiedziała Francuzka. - Napiszę do sekretarza Marquis de Sare. - Widząc, że Teresa słucha z wielką uwagą, ciągnęła: - To czarujący człowiek, który dogląda wszystkich rezydencji i majątków markiza, a w każdym z nich pracuje doświadczony szef kuchni, uznany przez markiza za znakomitość w swoim zawodzie.

Teresa odetchnęła głęboko.

- I pani sądzi, że on zechce mnie zaangażować?

- Samego markiza pani nie zobaczy, przynajmniej dopóki nie będzie pani dla niego pracowała, ale Mowsieur Henri Brantome zaangażuje panią, jeśli będzie sądził, że jest pani dość dobra, by zadowolić jego pana.

- To ogromnie, ale to ogromnie miło z pani strony! - odpowiedziała Teresa. - Zupełnie nie wiem, czym zasłużyłam sobie na taką wielkoduszność i tyle dobroci.

- To drobny rewanż za uwolnienie mnie od Rovera - oświadczyła Celeste. - Uprzedziłam Milorda, że nie lubię psów, ale żaden Anglik nie jest w stanie tego zrozumieć. Psy, podobnie jak konie, są dla nich daleko ważniejsze od kobiet!

Zdanie zostało wypowiedziane ze śmiechem, w tonie młodej kobiety krył się jednak cień goryczy. Po chwili dodała w zadumie, jakby mówiła do siebie:

- Wszyscy mężczyźni są tacy sami; nie umieją prawdziwie kochać ani szanować nikogo prócz siebie! - tutaj w jej głosie pojawiła się wyraźnie cyniczna nuta. - Marquis odpowiada dokładnie pani wizerunkowi mężczyzny: jest okrutnym i bezwzględny egoistą. Myśli jedynie o sobie i nie obchodzi go w najmniejszym stopniu, że ktoś może przez niego cierpieć!

- I pani chciała mnie posłać do takiego człowieka? - spytała Teresa, która słuchała Francuzki z szeroko otwartymi oczami.

- Przecież nie do niego - poprawiła Teresę Celeste z pogardą w głosie - tylko żeby mu pani gotowała. Jeśli kiedykolwiek odkryje, że szefem jego kuchni jest kobieta, przeżyje, jak sędzę, potężny wstrząs na myśl, iż mamy jakieś inne zainteresowania prócz dokładania starań, by go zabawić!

Teraz w głosie młodej kobiety słychać było wyraźnie zawziętość, nawet mściwość. Słuchająca jej Teresa domyśliła się, że Marquis de Sare musiał w jakiś sposób zranić Celeste, która stała się jego wrogiem.

Francuzka otworzyła torebkę i wyjęła z niej małe, złote pudełeczko na wizytówki, w rogu ozdobione monogramem z diamentów. Na odwrocie wydobytego ze środka bilecika, na którym widniało wydrukowane jej nazwisko i adres, Celeste napisała kilka słów dość niewyrobioną ręką, objaśniając:

- Niech pani wręczy to Monsieur Brantome. Znajdzie go pani w Sare House na Champs Elysees - każdy pani powie, gdzie to jest.

- Jestem pani doprawdy niesłychanie wdzięczna - powiedziała Teresa biorąc od niej wizytówkę. - Jest pani nadzwyczaj dobra dla mnie. Mam nadzieję, że ja również zdołam się pani kiedyś przysłużyć w podzięce za okazaną pomoc.

Celeste roześmiała się.

- Już pani to zrobiła. Zobacz pani, że Rover zadomowi się bez trudu w jednym z zamków markiza, gdzie przypuszczalnie zostanie pani posłana.

Teresa popatrzyła na małego pieska. Snując plany ucieczki nie śmiała nawet marzyć, że znajdzie pracę nie w Paryżu, ale gdzieś na wsi. Ustaliły obie z Gennie, że najlepiej będzie, jeśli pojedą do Francji, to jest najpierw do Paryża, chociaż z powodu ojca Teresa nienawidziła samego miasta i wszystkich, którzy się z nim łączyli. Jednakże gdyby Teresie udało jej się wyjechać wraz z Gennie i Roverem, by pracować gdzieś na wsi, oznaczałoby to nie tylko przyjemniejsze i lepsze warunki dla nich trojga, ale także zmniejszało znakomicie szansę odkrycia jej przez stryja.

Celeste uznała widać, że wszystko jest załatwione, bo ziewnęła i wyciągnęła się na swoim siedzeniu, opierając głowę na sobolowym futrze.

- Jestem zmęczona - stwierdziła. - I trudno się temu dziwić, skoro Milord nie mógł się ze mną rozstać.

Ziewnęła ponownie, a Teresa, zaciekawiona, zagadnęła spontanicznie:

- Czy on panią kocha?

- Kocha? Cóż to znaczy: kocha? - spytała Celeste. - Powiedzmy, że uważa mnie za niezmiernie ponętą i zupełnie różną od tych zarozumiałych Angielek, które patrzą na wszystko z góry i mają grube nogi od całego tego chodzenia!

Teresa roześmiała się.

- Takie ma pani pojęcie o Angielkach?

Oczy Celeste zamykały się, a jej ciężkie od tuszy rzęsy wydawały się bardzo ciemne na tle policzków.

- Milord miał słuszość: Angielki są stworzone do wydawania na świat dzieci, a Francuzki do rozkoszy!

Ostatnie słowo było prawie tchnieniem, ale Teresa dosłyszała je i w tejże chwili zorientowała się, że Gennie usłyszała je także. Wierna służąca, która siedziała w drugim końcu przedziału, przywołała ją gestem i Teresa zbliżyła się do niej ostrożnie, żeby nie przeszkadzać Celeste. Gdy usiadła obok, Gennie zwróciła się do niej po angielsku:

- Milady, jak panienka może rozmawiać z taką kobietą? A co by na to powiedziała biedna mama panienki, to już sama nie wiem!

- Ona była naprawdę bardzo miła - odparła Teresa szeptem - i skierowała mnie gdzieś, gdzie mogę znaleźć pracę i miejsce dla Rovera.

Piesek poszedł za nią, kiedy się przesiadła, po czym wskoczył na siedzenie obok i położył Teresie głowę na kolanach. Patrzył na nią wielkimi, brązowymi, pełnymi miłości oczami, jakby błagał, żeby była dla niego dobra. Głaszcząc pieska pieszczotliwie, Teresa odezwała się do Gennie:

- Wszystko świetnie się ułoży, tylko pamiętaj, nie zwracaj się do mnie „Milady”. Jesteśmy dwiema zwykłymi Francuzkami, które szukają pracy.

- Zwykłymi! - mruknęła Gennie pod nosem.

Teresa domyślała się, że służąca miała ochotę protestować dalej, obwołując Celeste kobietą nieskromną i niemoralną. Być może Gennie miała rację, Teresie jednak przyszła do głowy myśl, że w opinii wyrażonej przez Celeste o Angielkach kryje się ziarenko prawdy.

Na pogrzebie matki przyjrzała się swoim krewnym z rodziny Holme stwierdzając, że są wyjątkowo brzydcy i nieatrakcyjni. Żadna z kobiet nie umiała poruszać się z wdziękiem, a czerń, którą przywdziały w charakterze żałoby po zmarłej, zdawała się wydobywać ziemistość cery i podkreślać wszystkie mankamenty urody. Upewniła się wówczas w przekonaniu, że krewni ojca odnosili się krytycznie do matki Teresy nie tylko dlatego, że była pół-Francuzką, ale także z powodu jej urody i, oczywiście, bogactwa.

- Wymażę ich z pamięci, mamó! - postanowiła w duchu.

Jednakże pomimo udawania, że jest Francuzką, Teresa nie przestała myśleć i czuć jak Angielka, co oznaczało, że Celeste jest niemoralną i zepsutą kobietą, z którą nie należy się zadawać. Z drugiej strony podróżowały razem pociągiem i miały przed sobą jeszcze wiele godzin, nim dojadą do Paryża; nie sposób było nie zareagować na przyjazny, otwarty sposób bycia Celeste i na coś, co nawet Teresa umiałaby nazwać nieodpartym urokiem.

Krył się on w jej sposobie mówienia i patrzenia, w aurze miękkiej kobiecości, która nieodparcie pociągała mężczyzn.

Teresa próbowała wmawiać sobie, że są to jej fantazje i wyobrażenia, ale matka nauczyła ją patrzeć uważnie, ufać własnej intuicji, a przede wszystkim starać się dojrzeć prawdziwą osobowość i naturę człowieka. Celeste mogła być kobietą niemoralną, choć Teresa nie wiedziała dokładnie, co kryje się za tym określeniem, prócz tego, że chodzi o osobę zepsutą, postępującą bardzo niewłaściwie; niemniej jednak Celeste była młoda, pełna radości życia i szalenie pociągająca.

Dojeżdżając do Paryża Teresa myślała, że teraz rozumie w pewnym stopniu, dlaczego jej ojca szybko nudziło życie na wsi i wołał spędzać czas w towarzystwie takich kobiet, jak Celeste. Przebywając z nimi, musiał śmiać się często, nie mówiąc o tym, że miały inne powaby, których wołała nie rozpatrywać.

W tym momencie Teresa powiedziała sobie, że musiała chyba oszaleć, ponieważ nic nie może usprawiedliwić karygodnego zachowania ojca, którego będzie nienawidziła i którym będzie pogardzała do śmierci.

Kiedy pociąg dojechał do Gare du Nord, Celeste, która przespała sporą część podróży, oświadczyła, że czuje się wyczerpana i zamierza iść prosto do łóżka, by pogrążyć się we śnie na dwadzieścia cztery godziny.

- Niech pani posłucha mojej rady, Mademoiselle, i postąpi tak samo - powiedziała. - Trudno zrobić wrażenie osoby wielce kompetentnej, kiedy ktoś jąka się przy co drugim słowie i nie pamięta połowy pytań, na które przyjdzie mu odpowiedzieć.

- Z pewnością ma pani rację - odparła Teresa pokornie. - A ponieważ jest już bardzo późno, prawie północ, zastanawiam się, gdzie mogłybyśmy wraz z moją przyjaciółką znaleźć przyzwoitą i spokojną gospodę.

- Bez wątplenia istnieje mnóstwo takich miejsc - odrzekła Celeste, - ale będzie wam o wiele lepiej w hotelu. Znam taki na Rue St. Honore i choć może się okazać trochę drogi na waszą kieszeń, nie będziecie przynajmniej narażone na żadne nieprzyjemności ze strony mężczyzn, których pani tak nie lubi!

Teresę ogarnął strach. Dotychczas nie poświęciła nawet myśli ewentualnemu zetknięciu z mężczyznami, którzy zechcą, być może, zagadnąć ją i zawrzeć bliższą znajomość.

- Pojedźcie do Hotel du Louvre - powiedziała Celeste. - Zapewniam panią, że obsługa i opieka w tym hotelu warta jest pieniędzy, które na niego wydacie.

- Dziękuję, Mademoiselle, zastosuję się do pani rady.

- Ponieważ na dworcu ktoś będzie na mnie czekał - dorzuciła Francuzka, - powiemy sobie do widzenia tutaj.

Widząc zdziwioną minę Teresy, Celeste roześmiała się.

- Moja miła, jest pani stanowczo za ładna, żebym ryzykowała, że on panią zobaczy!

Gdy obie kobiety odjeżdżały ze stacji wynajętym powozem, kierując się w stronę Hotel du Louvre, z Roverem siedzącym obok, Gennie odezwała się:

- Mam nadzieję, Milady, że podrze panienka wizytówkę tej kobiety! Chyba nie życzy sobie panienka tego rodzaju listów polecających?

- Oczywiście, że sobie życzę! - odparła Teresa ostro. - Cóż to znów za głupoty, Gennie! Nie wiedziałybyśmy, dokąd się zwrócić, ani nawet gdzie pytać o pracę, której szukamy.

- Ta kobieta to nic dobrego i z jej poleceniem nie znajdzie panienka drogi do przyzwoitego domu - mruzczała gniewnie Gennie.

- Szefa kuchni, niezależnie od tego, czy jest mężczyzną czy kobietą, nie dotyczy w żaden sposób styl życia i zachowanie pracodawcy - odparła Teresa. - Poza tym, jeśli wierzyć słowom naszej towarzyszki podróży, nie będziemy raczej widywały Monsieur le Marquis, o ile zostaniemy wysłane na wieś!

- Mam nadzieję, że rzeczywiście tak się stanie, Milady - powiedziała Gennie. - Ciągle myślę, że może lepiej dla panienki byłoby zrobić to, czego sobie życzył stryj i pozostać w Anglii, gdzie jest panienki miejsce.

- Nie będę nawet próbowała odpowiedzieć ci na to, bo stracę cierpliwość i wpadnę w gniew - stwierdziła Teresa. - Plany stryja dotyczące mojej przyszłości są nikczemne, zresztą, jak ci mówiłam, nie mam zamiaru wychodzić za mąż za nikogo, a już zwłaszcza za kogoś z rodziny Holme. Ignorowali mnie całkowicie, póki nie przekonali się, że jestem bogata!

Teresa nie dodała nic więcej widząc, że Gennie jest bardzo zmęczona. Istotnie, gdy dojechały do Hotel du Louvre, który był spokojny i przyzwoity, służąca ziewała raz po raz. Zaprowadzono je do dwóch może nie luksusowych, ale z pewnością wygodnych pokoi. Teresa rozebrała się, położyła do łóżka i prawie zaraz zasnęła. Zdążyła jeszcze zauważyć, że Rover zwinął się w kłębek

w nogach łóżka i pomyślała, że będzie się nią opiekował i bronił swej pani w razie potrzeby.

- Jakkolwiek się sprawy ułożą- powiedziała, głaszcząc psa na dobranoc, - jestem ogromnie wdzięczna Celeste St. Clair za to, że mi cię ofiarowała.

Następnego ranka Teresa obudziła się późno.

Zadzwoiła na chłopca hotelowego, żeby zabrał Rovera na spacer, po czym ubrała się i zjadła z przyjemnością śniadanie składające się z rogalików i gorącej kawy, radując się wiosennym dniem, gotowa na każdą przygodę, która mogłaby pojawić się na jej drodze.

Teresa uważała, że nie powinna brać ze sobą Rovera na spotkanie z Monsieur Brantome, więc zmuszona była zostawić go w hotelu, sama natomiast wsiadła do powozu, polecając się zawieźć do domu Marquis de Sare na Champs Elysees. Zgodnie z jej przewidywaniami, była to okazała rezydencja, nie uszły też uwagi Teresy zakończone złoto pręty ogrodzenia, które ją otaczało i ogród za wysoką bramą z kutego żelaza. Zauważyła także, że jest to wyjątkowo duża siedziba, jak na dom w mieście. Ogród pełen był wiosennych kwiatów, na gałęziach kasztanów otwierały się pąki.

Gdy woźnica wysiadł, by zadzwonić do drzwi z istic francuską galanterią, Teresa pomyślała, że jeśli wiejski dom markiza, gdzie miała nadzieję znaleźć pracę, jest równie piękny, będzie jej tam wspaniale. Tymczasem spytała służącego, który otworzył drzwi, czy mogłaby się zobaczyć z Monsieur Brantome i została niezwłocznie poprowadzona przez pięknie urządzone hol oraz szeroki korytarz, gdzie na ścianach wisiały wspaniałe obrazy. Następnie

wprowadzono ją do pokoju, który, jak się zorientowała, musiał być rodzajem gabinetu czy biura. Za biurkiem siedział mężczyzna zbliżający się do średniego wieku, który podniósł na nią wzrok z zatroskanym wyrazem twarzy.

- Jakaś pani do pana, Monsieur - zaanonsował służący, gdy Teresa przeszła przez próg.

Monsieur Brantome podniósł się z za biurka. Teresa pomyślała, że ma miłą twarz i wyciągnęła do niego wizytówkę Celeste, mówiąc:

- Monsieur, przysłała mnie tu do pana Celeste St. Clair, kiedy powiedziałam jej, że szukam pracy jako szef kuchni.

Monsieur Brantome wziął wizytówkę i nie rzuciwszy nawet na nią okiem stał przyglądając się bez słowa Teresie jakby nie rozumiał, co powiedziała. Czując, że musi wyj aśnić sprawę, Teresa dodała szybko:

- Spotkałam Mademoiselle St. Clair wczoraj w pociągu, jadąc do Paryża i kiedy powiedziałam jej, że szukam pracy, poleciła mi zwrócić się do pana.

- Pracy jako szef kuchni? - w głosie Monsieur Brantome zabrzmiało nieskrywane zdziwienie.

Teresa uśmiechnęła się.

- Monsieur, zapewniam pana, że jestem bardzo dobrym szefem kuchni i mam referencje na potwierdzenie moich słów.

Monsieur Brantome wydawał się nadal tak oszołomiony, że zapomniał widać poprosić ją, by usiadła, wobec czego Teresa niepytana zajęła twarde krzesło stojące przed biurkiem i otwierając torebkę wyjęła z niej napisane przez siebie referencje. Podała papiery Monsieur Brantome, który usiadł również, żeby je przeczytać. Studiował listy starannie i Teresa odniosła wrażenie, iż żywi jakieś podejrzenia; musiał myśleć, że są nieprawdziwe, albo też że osoba Teresy i jej prośba są częścią jakiejś maskarady. Wreszcie położył listy przed sobą na biurku, mówiąc:

- Proszę wybaczyć, Mademoiselle, ale trudno uwierzyć, żeby ktoś tak młody starał się o stanowisko szefa kuchni u dżentelmena tak wybrednego i tak znającego się na rzeczy, jak Marquis!

- Zapewniam pana, Monsieur Brantome - odpowiedziała Teresa - że obie osoby, u których pracowałam uprzednio, a już zwłaszcza Madame la Comtesse Marie Chaufour, wymagały przy stole perfekcji i wielce sobie chwaliły moje osiągnięcia.

Monsieur Brantome uśmiechnął się niespodziewanie i wyraz strapienia zniknął z jego twarzy.

- Mademoiselle St. Clair musi być jasnowidząca - oświadczył - albo też wie po prostu, że od jakiegoś czasu nawet we Francji niełatwo jest o dobrego kucharza.

- Nie do wiary!

- A jednak to prawda – potwierdził Monsieur Brantome. - Co więcej takich, którzy skłonni są wyjechać z Paryża, nie spotyka się praktycznie wcale.

Teresa splotła dłonie na kolanach.

- Mademoiselle St. Clair wspominała, że Monsieur le Marquis może potrzebować kucharza w jednym ze swoich chateaux, a ja wolę wieś od każdego miasta!

- Nie może być! - zdumiał się Monsieur Brantome. Teresie wydało się, że powstrzymał się ostatniej chwili przed dodaniem: „Z pani wyglądem?”

- Naprawdę - zapewniła. - Muszę też panu powiedzieć, że przyjechałam z pomocnicą, pięćdziesięcioletnią Francuzką i że mamy ze sobą pieska, angielskiego spaniela.

Mówiąc to Teresa pomyślała, że jeśli nie będzie mogła wziąć Rovera ze sobą, poszuka pracy gdzie indziej. Mały psiak zdążył jej się wkraść do serca i ukoić w pewnej mierze ból, który odczuwała od chwili, kiedy musiała pożegnać swoje konie w domu rodzinnym.

- Więc pani lubi wieś? – zapytał Monsieur Brantome.

- Szalenie - odrzekła Teresa z naciskiem.

- W takim razie być może spodoba się pani w zamku markiza znajdującym się w Basses Pyrenees, choć uprzedzam, że jest to mało prawdopodobne. Będę z panią szczerą i wyznam, że jeden kucharz po drugim opuszczał chateaux, nie mogąc znieść tego, co nazywali wiejska nudą, oraz minimalnej ilości pracy.

- Czy to oznacza, że bywa tam niewielu gości?

- Monsieur bardzo rzadko odwiedza swój zamek, wpadając na kilkudniowe wizyty, zwykle w ciągu lata. Wymaga jednak, by zamek był otwarty również przez całą zimę na wypadek, gdyby przyszła mu fantazja się tam udać. Jednakże mimo znakomitych pensji tylko starzy służący uważają warunki za znośne, a młodszy odchodzą na ogół już po paru miesiącach. - Monsieur Brantome umilkł na chwilę, po czym dodał: - Mam nadzieję Mademoiselle, że pani nie podziela tych uczuć?

- W żadnym wypadku - odparła Teresa. - Marzę o życiu na wsi. Nie lubię miast i nie pragnę być w Paryżu.

Jej ton nabrał mimo woli ostrości na myśl o tym, jak matka nienawidziła wszystkiego, co uosabiał Paryż. Widząc jednak, że Monsieur Brantome patrzy na nią ciekawie, pospieszyła dorzucić:

- Monsieur, obiecuję, że jeśli wyśle mnie pan na wieś, nie zawiodę pana i nie wrócę skarżąc się po kilku miesiącach czy nawet roku. Im spokojniejsze i cichsze okaże się moje otoczenie, tym bardziej będę zadowolona.

Francuz obrzucił ją przenikliwym spojrzeniem, jakby podejrzewał, że Teresa ma powód, by szukać schronienia. Potem popatrzył na leżące przed nim referencje i oddał je Teresie.

- Kiedy byłaby pani gotowa wyjechać, Mademoiselle Beauvais?

- Prędko, Monsieur- odpowiedziała Teresa. - Zatrzymałam się wraz z moją pomocnicą w Hotel du Louve, który jest dość drogi, tak że chętnie podjęłybyśmy pracę w miarę szybko.

Miała nadzieję, że jej słowa brzmią przekonująco. Monsieur Brantome wziął do ręki pióro, mówiąc:

- Pani godność jest mi już znam, Mademoiselle, poproszę więc tylko o nazwisko pani pomocnicy.

Zapisawszy je w notatniku leżącym przed nim na biurku, odezwał się ponownie:

- Przekona się pani z pewnością, że starzy służący z zamku dołożą wszelkich starań, żeby było pani wygodnie. A ponieważ chciałbym ogromnie, aby zadomowiła się pani na dobre w nowym miejscu, mam nadzieję, że wyrazi pani od razu ewentualne specjalne życzenia czy prośby.

Teresa miała na to z góry przygotowaną odpowiedź.

- Chciałabym pana prosić, Monsieur, o oddzielne sypialnie dla mnie i dla mojej pomocnicy oraz, jeśli to możliwe, o niewielki salonik, gdzie mogłybyśmy przebywać same.

Prośba została podyktowana nie tylko tym, że Teresa nie miała ochoty spędzać wolnego czasu w towarzystwie innych służących, ale również ze względu na Gennie, która będzie zdania, że jej młoda pani nie powinna się poniżać przebywaniem wśród ludzi kwalifikujących się z racji pozycji społecznej do usługiwania Teresie.

- Tylko jaka jest obecnie moja własna pozycja? - zastanowiła się w tym momencie Teresa nie bez goryczy. - Jestem uchodźcą z własnego kraju! Uciekam od prawnego opiekuna i przy okazji od wszystkich innych mężczyzn!

Tutaj wyobraźnia podsunęła jej wizerunek własnej postaci kluczącej jak lis, który umyka przed sforą psów myśliwskich.

Monsieur Brantome zaczął znów mówić:

- Zamek jest bardzo duży, Mademoiselle, więc pani prośbę da się spełnić bez najmniejszego kłopotu. Napiszę kilka słów na ten temat do Maitre'a d'Hotel, który jest osobą odpowiedzialną za wszystko, kiedy ja przebywam tutaj. Ponadto podejrzewam, że nie znają panie Francji, więc pošlę z paniami kuriera, który zadba o wygodę w podróży i dopilnuje, by wszystko na miejscu było jak należy.

- Pan jest bardzo dobry, Monsieur - powiedziała Teresa wstając z krzesła.

Monsieur Brantome odparł z uśmiechem: - Nie jest pani osobą praktyczną, Mademoiselle. Nie zapytała pani nawet o wysokość zarobków.

- Rzeczywiście - przyznała Teresa prędko - zupełnie o tym zapomniałam!

- To dość niezwykle, jak na francuskiego kucharza - zauważył jej rozmówca.

- Przede wszystkim muszę panią spytać, jakiej pensji spodziewa się pani sama.

Teresa usiłowała sobie przypomnieć, ile jej matka płaciła szefowi kuchni w dawnych czasach w Rezydencji, ale na próżno.

- Monsieur, przyjechałam świeżo do Paryża spędziwszy jakiś czas poza własnym krajem, więc myślę, że pozostawię tę kwestię panu wierząc, że

zdecyduje pan mądrze i sprawiedliwie i da mi tyle, ile pańskim zdaniem jestem warta.

Monsieur Brantome roześmiał się.

- Przyznaję, że jestem zdziwiony, Mademoiselle, ale wedle pani określenia, postaram się być „mądry i sprawiedliwy”. A jeśli wywiąże się pani dobrze z podjętych obowiązków, nie będzie problemu z podwyższeniem pani zarobków do odpowiedniego poziomu.

Co powiedziawszy, Monsieur Brantome wymienił sumę, która wydała się Teresie zupełnie spora, dodając, że Gennie dostanie połowę tej kwoty. Teresa zaakceptowała warunki z radością, myśląc przy tym, iż nie musi się więcej troszczyć o najbliższą przyszłość i że ten stan rzeczy zawdzięcza wyłącznie Celeste St. Clair.

Gdy Teresa podniosła się ponownie, by pożegnać swego rozmówcę, Monsieur przemówił z wahaniem, jakby ważył każde słowo:

- Mam nadzieję, że nie poczyta pani tego za impertynencję, Mademoiselle, ale jest pani bardzo młoda i choć była mowa o doświadczeniu, zupełnie pani na to nie wygląda. W tej sytuacji proponuję, żeby unikała pani towarzystwa gości, którzy od czasu do czasu odwiedzają zamek.

Jego ton sugerował niedwuznacznie, że ma na myśli mężczyzn. Teresa zeszywniała, odpowiadając twardym głosem, różniącym się całkowicie od tego, którym przemawiała wcześniej:

- Monsieur, może pan być pewien, że nie mam zamiaru przebywać w czymkolwiek towarzystwie i bez wątpienia będę trzymała się stosownego dla mnie miejsca, którym jest kuchnia!

Teresa nie czekała na wyraz zdziwienia, który musiał się pojawić w oczach Monsieur Brantome, ale ruszyła zdecydowanie ku drzwiom. Monsieur pospieszył, by je dla niej otworzyć i przemierzili razem korytarz. Doszedłszy do holu Monsieur spytał:

- Jaka była pogoda, gdy opuszczała pani Anglię?

- Szara, przygnębiająca i zimna - odparła Teresa, rzucając okiem na skąpane w blasku słońca kwiaty widoczne przez otwarte drzwi.

- W takim razie Francja powinna być pożądaną odmianą- stwierdził Monsieur Brantome, dodając: - Mam nadzieję, Mademoiselle, że będzie pani szczęśliwa w zamku. Pociąg odjeżdża o dziesiątej rano, więc polecę kurierowi, żeby stawił się po panie w Hotel du Louvre godzinę wcześniej. Będzie oczywiście miał ze sobą bilety kolejowe i zadba o wszelkie wygody dla pań w czasie podróży.

- Dziękuję panu, Monsieur, bardzo panu dziękuję!

Uściskawszy mu dłoń, Teresa wsiadła do powozu, który zgodnie z jej wcześniejszymi instrukcjami, był pojazdem otwartym. Gdy woźnica ruszył, zamachała Monsieur Brantome na pożegnanie i oparła się o poduszki powozu. Jadąc po Champs Elysees miała ochotę wołać głośno z radości, iż udało jej się osiągnąć to, o czym marzyła: nie dość, że dostała pracę, posada wiązała się z wyjazdem na wieś.

- Mam naprawdę wyjątkowe szczęście! - stwierdziła, powtarzając to samo Gennie, gdy opowiadała jej o efektach porannej rozmowy.

Ponieważ żadna z nich nie czuła się zmęczona po powrocie do hotelu, Teresa zaproponowała:

- Może poszłybyśmy dziś zjeść kolację do restauracji? Wiem, że nie byłoby to właściwe zachowanie w Anglii, ale kto będzie wiedział, co robiłyśmy w Paryżu?

- Nie zrobimy niczego podobnego, Milady! - stwierdziła Gennie ostro. - Zjemy kolację w hotelu i nie będziemy ryzykowały narażania się na żadne nieprzyjemności.

- Jakże znów nieprzyjemności? - spytała Teresa.

- Ze strony mężczyzn - powiedziała Gennie. - Nie zauważyła panienka, jak ci Francuzi na panienkę patrzyli?

- Nie, w ogóle ich nie widziałam! - odparła Teresa.

Gennie w ostatniej chwili powstrzymała słowa, które cisnęły jej się na usta. Była świadoma bardziej niż kiedykolwiek, że uroda Teresy przyciąga oczy wszystkich mężczyzn w pobliżu. Chociaż jej młoda pani nie była może klasyczną piękną, jak matka, jednakże było w niej coś specyficznego, rodzaj świeżości i blasku, które pulsowały niemal jak rozżłoczone słońcem powietrze.

- Im szybciej znajdziemy się na wsi, tym lepiej! - oznajmiła stanowczo Gennie. - A dziś zjemy kolację tutaj, Milady i na tym dość!

Zostawiła Teresę i wróciła do własnej sypialni, zamykając za sobą drzwi zdecydowanym ruchem. Teresa usiadła na łóżku.

- Czyż to nie smutne, Rover - zagadnęła małego pieska, który się do niej łąsił - że zabraniają nam wszystkiego, co naprawdę ciekawe, aż staniemy się za starzy, by mieć z tego jakąkolwiek radość?

Teresa przytuliła psiaka do siebie, dodając:

- Za to i ty, i ja będziemy się cieszyć wsią. Czekają nas długie spacerunki, na których będziesz mógł polować na króliki. Co lepsze, nikt nam nie przeszkodzi, nie wytrąci z równowagi i nie zmusi do robienia czegoś wbrew naszej woli.

Teresa zastanawiała się, ile czasu upłynie, nim stryj zorientuje się, że wyjechała z domu na dobre i nie zamierza do niego wracać. Doszła do wniosku, że minie tydzień, może nawet dziesięć dni, przed wprowadzeniem się stryja do Rezydencji i zapewne dopiero wówczas zacznie się on interesować miejscem jej pobytu.

Teresa myślała też z ulgą, że dzięki pensji, pobieranej za gotowanie dla markiza, nie będzie zmuszona sięgać do pieniędzy odłożonych „na wszelki wypadek”, to jest tych schowanych przez nią samą i przez Gennie. Zastanawiała się, czy nie umieścić ich w banku w Paryżu, ale zdecydowała, że daleko wygodniej będzie wpłacić pieniądze do banku w mieście znajdującym się w pobliżu zamku, żeby były łatwo dostępne na wypadek, gdyby potrzebowała ich niespodziewanie. Przy czym „niespodziewanie” mogło oznaczać, że w zamku wydarzyło się coś, czego ona nie pochwala.

W tym momencie przypominała sobie, jak Monsieur Brantome ostrzegł ją, żeby unikała towarzystwa gości odwiedzających niekiedy zamek. Myśląc o tym teraz doszła do wniosku, że Marquis musi być człowiekiem nieżonatym - sytuacja dość niezwykła, jak na francuskiego arystokratę, ponieważ na ogół małżeństwa wśród tego rodzaju rodzin ustalane bywały bardzo wcześnie.

Poza tym, jeśli markiz utrzymywał stosunki z osobami typu Celeste St. Clair, będzie się przypuszczalnie zachowywał oraz postępował podobnie do jej własnego ojca. Teresę przeszedł dreszcz na myśl, że musi bardzo, ale to bardzo uważać, żeby nie wejść mu w drogę. A następną ostrożnością, której nie wolno zaniedbać, będzie dostateczna ilość pieniędzy pod ręką, by móc opuścić zamek w każdej chwili.

- Może rozsądniej będzie trzymać pieniądze przy sobie - pomyślała - póki nie przekonamy się, że nie może nas tam spotkać nic złego.

Nieco później, niedługo przed zejściem na kolację, do pokoju Teresy przyszła ponownie Gennie.

- Milady, muszę z panią pomówić - oświadczyła. Teresa, która właśnie skończyła kąpiel i czesała włosy przed lustrem, obejrzała się z uśmiechem.

- O co chodzi, Gennie? I przestań mnie tytułować Milady.

- W tej chwili tak właśnie o panią myślę - odparła Gennie z przekonaniem. - Zdecydowałam, że popełniłybyśmy wielki błąd, wyjeżdżając jutro do zamku.

Teresa odwróciła się powtórnie od lustra, patrząc na nią zdumionym wzrokiem. - Błąd? A to dlaczego?

Zapadła chwila ciszy; Gennie wyraźnie szukała właściwych słów, aż w końcu oznajmiła:

- Rozmawiałam na dole ze służbą hotelową i dowiedziałam się różnych rzeczy o Marquis de Sare.

- Domyślam się, co ci o nim naopowiadano - odrzekła Teresa, - i wcale nie chcę tego słuchać!

Gennie zbliżyła się do Teresy, mówiąc:

- Milady, musi mnie panienka wysłuchać. Nie jest ani słuszne, ani stosowne, żeby panienka przebywała pod jednym dachem z człowiekiem, który zasłynął ze swoich przygód miłosnych i którego utrzymanką była w swoim czasie ta wymalowana kobieta spotkana przez nas w pociągu!

- Domyślałam się tego - powiedziała Teresa. - I musiał ją następnie porzucić, bo była pełna goryczy mówiąc na jego temat.

- Więc panienka się domyśliła? - wykrzyknęła Gennie oburzona. - Co by powiedziała mama, gdyby wiedziała, o czym panienka myśli? Milady, wracajmy do Anglii! - dodała stara służąca niemal ze szlochem. - To nie jest w porządku, żeby panienka zadawała się z kobietami z rynsztoka czy z Marquis de Sare.

- Nie mam zamiaru się z nim zadawać - odparła Teresa spokojnie. - Zamierzam dla niego gotować. Nie będę oglądała, jak zjada to, co przygotowałam i wątpię, czy kiedykolwiek zetknę się z markizem osobiście.

Widząc, że Gennie zamierza się spierać, Teresa dorzuciła gniewnie:

- Nie bądź niemądra, Gennie! Czy widziałas kiedyś, żeby papa spojrzął na jakąś służącą, kiedy mieszkał w Rezydencji, czy w ogóle żeby zrobił coś na terenie domowym, co można by uznać za naganne? - Po chwili namysłu ciągnęła: - Sam powiedział kiedyś, pamiętam dobrze, kiedy człowiek, którego znaleźmy, uciekł z guwernantką, że nikt przyzwoity nie będzie kłał własnego gniazda.

Gennie wciągnęła gwałtownie powietrze.

- Wszystko pięknie, Milady, ale ojciec panienki był Anglikiem, i chociaż zachował się okropnie wobec mamy panienki, wiadomości na ten temat nie powinny były dotrzeć do naszych uszu. Ale tutaj panienka mieszkałaby pod tym samym dachem, co markiz.

- Jeśli zamek jest równie duży co Rezydencja, będziemy miały wrażenie, że mieszkamy w innym kraju! - odparła Teresa. - Pamiętam doskonale, jak narzekałaś, że jest tak bardzo daleko z kuchni do sypialni mamy, a pokój do szycia znajdował się o dwa piętra wyżej! - Widząc, że Gennie uspokaja się powoli, Teresa mówiła dalej: - Zanim do mnie przyszedłaś, myślałam o tym, że jeśli coś sienie ułoży, albo markiz zniechęci nas w jakiś sposób, mamy

mnóstwo pieniędzy, których nie umieszczę w banku, póki nie będę całkowicie pewna, iż jest nam dobrze i że chcemy tam zostać.

Teresa skończyła układać włosy i dodała:

- Jeśli cokolwiek nas stamtąd wystraszy, moja kochana Gennie, nic nam nie broni wskoczyć do pociągu i pojechać gdzieś, choćby do Włoch. Zawsze chciałam zobaczyć Rzym.

Gennie roześmiała się mimo woli.

- Milady, ja już naprawdę nie wiem, jak do panienki przemówić! Próbuję tylko myśleć, jak będzie najlepiej i opiekować się panienką. Ale obawiam się poważnie, że trafi panienka z deszczu pod rynnę i dopiero sobie panienka prawdziwej biedy napyta!

- Jeśli rzeczywiście tak się stanie - powiedziała Teresa beztróskim tonem - jestem pewna, że uratujesz mnie z opresji.

Mówiąc to wstała i podeszła do okna, z którego roztaczał się widok na dachy Paryża i słońce zachodzące w całej chwale swego blasku.

- Czekaj nas przygoda, Gennie. Jestem wolna i nikt nie zmusi mnie do zrobienia czegokolwiek wbrew mojej woli. W głębi serca mam pewność, że mama czuwa nade mną, a pod jej i twoją opieką może mi się stać nic złego.

Po jej słowach zaległa cisza. Teresa odwróciła się i spostrzegła, że po policzkach starej służącej spływają łzy. Objęła ją serdecznie, zapewniając:

- Wszystko jest dobrze, Gennie. Zobaczysz, że życie nam się ułoży! No i przecież wyjeżdżamy razem, a do tego z Roverem!

Rozdział czwarty

Le Marquis de Sare upił łyk wina z kieliszka, zdając sobie nagle sprawę, że jest znudzony. Znajdował się na jednym z najbardziej egzotycznych i ekstrawaganckich przyjęć, w jakich zdarzyło mu się uczestniczyć, a jednak teraz, kiedy miało się już ku końcowi, wydawało mu się równie niestrawne, jak nadmiar tłustego pasztetu.

Przyjęcie zostało wydane na cześć jednej z najszlachetniejszych „grandes horizontales” przez możnego pana, który zabiegał o względy aktualnej kochanki księcia Napoleona. Pod względem ekscesów i pomysłowości prześcignęło wszystkie dotychczasowe orgie. Na kolację podano potrawy pochodzące z różnych części świata, a każda z nich była równie oryginalna, jak pawie języki, które pobudzały apetyt Rzymian.

Potem nastąpiły Les Tableaux Plastiques, przy których Kamasutra wydałaby się traktatem religijnym, zaś parkiet do

tańca zasłany był najdroższymi storczykami, jakie można było znaleźć w Paryżu. Markiz przypomniał sobie, że zadbano też o wyrafinowane szczegóły w rodzaju banknotów o wartości pięciu tysięcy franków, które umieszczone zostały pod kieliszkiem sorbetu podanego każdej obecnej pani. Na uczestników zabawy czekała również złota waza, z której można było czerpać diamentowe cacka opatrzone numerami odpowiadającymi numerom gości przy stole.

Na przyjęciu podawano naturalnie wyłącznie najprzedniejsze gatunki win, które podobnie jak Les Tableaux Plastiques rozpałały zmysły gości. Rozglądając się po pokoju o dyskretnie przyćmionych światłach, Marquis zorientował się, że praktycznie wszyscy uczestnicy przyjęcia poza nim samym znajdowali się w sytuacjach intymnych, które, w jego opinii, powinny mieć miejsce wyłącznie za zamkniętymi drzwiami. Był przy tym w pełni świadomy, że jego partnerka przy stole, która była także aktualną kochanką markiza, usiłowała skusić go wszelkimi znanymi sobie sposobami, by pogrążył się w podobnych praktykach, umilając czas jej i sobie. Markiz znał doskonale cały repertuar sztuczek swojej kochanki, ale zachowywał nadal opanowanie i pełną godności postawę, która była dla niego charakterystyczna. Co więcej, w miarę, jak obserwował krytycznie to, co się wokół niego odbywa, cyniczne bruzdy na jego twarzy biegnące od nosa do ust pogłębiły się, a w oczach pojawił się nieomylnie pogardliwy błysk.

- Cheri - zagadnęła Jeanne, dotykając ręki markiza długimi, szczupłymi palcami i unosząc ku niemu uroczą twarzyczkę z ustami wydętymi prowokacyjnie.

Markiz obrócił na nią wzrok i przy tej okazji dostrzegł kątem oka banknot wartości pięciu tysięcy franków, który Jeanne, podobnie jak większość obecnych na przyjęciu kobiet, schowała za stanik sukni i który zakrywał teraz częściowo przepiękną linię jej piersi. Widok ten uraził z niewiadomego powodu jakiś kapryśny rys w jego naturze, a uczucie takie pojawiało się zazwyczaj w niedogodnych chwilach i wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewał.

Markiz zrozumiał w tym momencie, że nie tylko nuży go zmysłowy i lubieżny charakter przyjęcia, ale również, że skończył ze swoją dotychczasową kochanką. Wiedział już, że nazajutrz poleci Brantome'owi, by wysłał tej kobiecie bardzo hojny czek i poprosił ją zarazem o możliwie szybkie opuszczenie należącego do markiza domu na skraju Lasku Bulońskiego..

Markiz hołdował nieodmiennie zasadzie, że nie podejmuje swoich kochanek w domu przy Champs Elysees, chyba, że oficjalnie w salonie. Jeśli wydawał przyjęcia w stylu obecnego, nie odbywały się one nigdy w miejscu, o którym myślał jako o domu rodzinnym. Powodem tej sztywnej reguły było uczucie rozdrażnienia na myśl, że przodkowie markiza mogliby patrzeć z dezaprobatą na jego poczynania i ośmielać się go krytykować.

W tym momencie markiz podniósł się energicznie.

- Nie zamierzasz chyba wychodzić, Fabianie? - wykrzyknęła na ten widok Jeanne.

- Robi się późno - odparł Marquis - poza tym jestem zmęczony.

- Non! Non! Mon cher, zostańmy tu jeszcze chwilę. Jest tak zabawnie, a ponadto z pewnością przy gotowano jakieś inne atrakcje!

Markizowi przeszło przez myśl, że trudno byłoby znaleźć coś jeszcze bardziej śmiałego w swojej lubieżności niż sceny, których byli świadkami. Nie wypowiedział jednak swojej myśli, idąc w milczeniu w kierunku drzwi. Kochanka markiza podążyła za nim wciąż jeszcze protestując i potykając się co kilka kroków o kunsztowną, przesadnie ozdobną suknię. Nikt nie zwrócił uwagi, że oboje opuścili pokój. Kiedy znaleźli się w holu, Jeanne odezwała się tonem skargi:

- Nie mam pojęcia, dlaczego postanowiłeś wyjść w połowie najlepszego i najdroższego przyjęcia, jakie kiedykolwiek wydano w Paryżu!

- Powiedziałbym raczej: ostentacyjnie kosztowna, rozpasana orgia w najgorszym guście! - zauważył markiz.

Powiedział to ostro i Jeanne, która zorientowała się zapewne, że nie należy się z nim spierać w tym nastroju, wsunęła kochankowi rękę pod ramię, mówiąc:

- W takim razie pojedziemy do domu, moncher, co w gruncie rzeczy będzie dla nas daleko ciekawsze.

Markiz domyślił się natychmiast, że Jeanne czuje się nieco dotknięta, ponieważ nie próbował jej uścisnąć, ani nawet objąć, chociaż wszyscy obecni na przyjęciu panowie zachowywali się znacznie śmieiej w stosunku do swoich dam. Mimo że Jeanne była kochanką markiza od kilku miesięcy, nie wiedziała nic o jego gwałtownej niechęci do wszelkiego typu ekshibicjonizmu, zwłaszcza jeśli dotyczył on jego własnej osoby.

Gdy znaleźli się oboje w pobliżu drzwi wejściowych, służący pospieszyli, by okryć ramiona markiza czerwono podbitą wieczorową peleryną i podać mu cylinder, rękawiczki oraz laskę, gdy tymczasem inni odszukali i przynieśli obrzeżoną gronostajem pelerynkę dopasowaną do sukni Jeanne.

Podczas całego tego zamieszania markiz stał nieporuszony. Zareagował dopiero na dobiegający z zewnątrz głos służącego:

- Powóz dla Monsieur le Marquis de Sare!

Markiz podszedł do drzwi wejściowych, a idąca za nim Jeanne zachwiała się i przez chwilę groziła jej utrata równowagi. Nieco bezwzględne wargi markiza zacisnęły się, tworząc wąską linię, a on sam utwierdził się w przekonaniu, że nie pragnie mieć żadnych więcej kontaktów z Jeanne Tourbey, mimo jej niezaprzeczalnej urody. Nim doszło do związku z markizem, jej kochankiem był Duc de Morny. Zabranie Jeanne księciu, który szalał z zazdrości i gniewu na myśl o stracie kochanki, stanowiło rodzaj wyzwania. Podobnie jednak, jak przy okazji tylu poprzednich podbojów, markiz przekonał się, że to, co rozsiewało szlachetny blask z daleka, z bliska okazywało się zwykłym blichtrzem.

Markiz pomógł Jeanne wsiąść do powozu. Kiedy konie ruszyły, młoda kobieta przyłgnęła do niego gwałtownie.

- Nareszcie sami, cheril

Zachowywała się teatralnie, co wypływało niewątpliwie stąd, że martwił ją trochę oczywisty brak entuzjazmu markiza na temat przyjęcia; obawiała się też, że jest to w jakimś sensie jej własna wina, choć nie była dość inteligentna, by sprecyzować, w jakim. Nie miała pojęcia, że ich związek się skończył - ale markiz wiedział doskonale, że gdyby jej to oznajmił, wywołałby jedynie łzy, histerię, błagania i obwiniania, a miał najszczerzy zamiar uniknąć tego wszystkiego.

Inni panowie zrywali stosunki ze swoimi kochankami bez wielkich problemów i praktycznie bez zbędnych słów, niezależnie od tego, czy panie te należały do eleganckiego świata, czy też do półświatka. W przypadku markiza

sprawy miały się jednak inaczej. Nie będąc zarozumiałą, wiedział, że przy pożegnaniu kobiety cieszące się jego łaskami nie tylko traciły lukratywną pozycję, ale zostawiały też swoje serce, choć żadna nie miała takiego zamiaru.

Było sprawą oczywistą, zwłaszcza we Francji, że kiedy zawodowa *experte de sciences galantes* przechodziła pod protekcję jakiegoś dżentelmena, on obdarowywał ją hojnie, a ona była wierna, dbała i gotowa zrobić wszystko, czego pan od niej zażąda. Kiedy zaś dżentelmen decydował zakończyć związek, przyjmowała to spokojnie i traktowała całą sprawę praktycznie, upewniając się jedynie, że została odpowiednio wynagrodzona za przyjemności, których dostarczała. Jednakże w przypadku markiza rozstanie nie bywało nigdy spokojne ani nie ograniczało się do materii praktycznych.

Jadąc w kierunku domu przy Lasku Bulońskim, markiz wiedział doskonale, że nazajutrz, na wieść o jego decyzji, Jeanne zrobi niewątpliwie scenę, o której usłyszy cały Paryż. Jako jedna z La Gardę, a było dwanaście takich, które obwołano królowymi tej właśnie profesji, Jeanne mogła wybierać sobie kochanków wedle uznania. Wracając pamięcią wstecz, markiz uzmysłowił sobie, że kiedy Jeanne zorientowała się w jego zainteresowaniu jej osobą, opuściła skwapliwie i bez żalu księcia de Morny. A ponieważ markiz był poniekąd człowiekiem despotycznym i forsującym swoją wolę, Jeanne zgodziła się nawet opuścić swój dom, który był jej własnością i wyposażony został przez księcia de Morny. Kochała ten dom tak bardzo, że nikt poza markizem nie namówiłby jej do zamieszkania gdzie indziej.

Panie tworzące La Gardę rywalizowały ze sobą, prześcigając się w ekstrawagancjach umeblowania, komforcie salonów i zadziwiających szczegółach wyposażenia łazienek. W rezydencji słynnej La Priva wannę zrobiono z litego onyksu, a trzy złote krany wysadzane były drogimi kamieniami. Powiadano też, że zamki przy drzwiach jej domu warte są dwa tysiące franków każdy, a wewnętrzne schody - stopnie i poręcz - zrobione zostały również z onyksu.

Jeanne Tourbey nie aspirowała jeszcze do takiego poziomu. Niemniej jednak jeśli markiz życzył sobie przeprowadzić kochankę z jej własnego otoczenia i umieścić w swoim, rozumowała Jeanne, będzie go to oczywiście odpowiednio kosztowało, wobec czego zdążyła już zamówić projekt schodów z kryształu, złota i hebanu. Ale przed ewentualnymi zmianami w domu należało pomyśleć o klejnotach, co wiedziała każda przedstawicielka tejże profesji!

Oscar Massin, jeden z najslawniejszych jubilerów w Paryżu, zaliczał do swoich klientek nie tylko cesarzową Eugenię, ale również les Grandes Horizontales, zaopatrując je w kwiaty z drogich kamieni, kłosa zboża, gałązki

dzikiej róży czy łądźki konwalii. Massin miał konkurentów, Lemonniera i Fontenaya, którzy byli twórcami przepysznych naszyjników, bransolet i kolczyków; panie chwaliły się nimi, obnosząc klejnoty co najmniej z takim zapałem, jak żołnierz niosący do domu flagę zdobytą na polu bitwy.

Markiz, który potrafił być niezwykle szczodry, obdarzył już Jeanne naszyjnikiem oraz kolczykami z szafirów i diamentów. Klejnoty te wzbudziły prawdziwą zazdrość jej rywalek. Czekając na przybycie powozu, Jeanne powiedziała sobie, że zdążyła się w nich pokazać publicznie już cztery razy i że nazajutrz namówi markiza, by zabrał ją do Fontenaya i kupił jej naszyjnik z innych kamieni. Tymczasem, po drodze do domu, szeptała mu do ucha sugestie, które przyszyły Jeanne do głowy, kiedy oglądała Tableaia Plastiques.

Nareszcie konie zatrzymały się i markiz wysiadł z powozu, pomagając też wysiąść Jeanne i towarzysząc jej na schodki prowadzące do drzwi frontowych, które zostały już otwarte przez lokaja. Gdy Jeanne ruszyła przodem w kierunku zgrabnego holu, markiz powiedział:

- Dobranoc, moja droga!

Młoda kobieta zatrzymała się raptownie, po czym odwróciła, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia. - Nie zostajesz?

- Jestem zmęczony, a jutro wczesnym rankiem wyjeżdżam na wieś.

- Wyjeżdżasz na wieś?

Jeanne powtórzyła słowa niemal bezmyślnie. A ponieważ była nieco oszołomiona ilością wina, które wypila na przyjęciu, nie zdążyła nawet zaprotestować, kiedy markiz pochylił się grzecznościowo nad jej ręką i odwrócił do wyjścia. Zanim jednak zdążył dojść do drzwi, rzuciła się do niego z głośnym okrzykiem, oplatając kochankowi ręce wokół szyi. Usiłował ją powstrzymać, ale usta Jeanne szukały jego ust, szepcząc przy tym czule słówka. Próbowwała oczarować mężczyznę słowami i zmysłowymi ruchami ciała, które lgnęło do niego. Markiz odsunął stanowczo oplatające mu szyję ramiona. - Jestem zmęczony.

Słowa były ostre, głos zimny i zdeterminowany.

Jeanne zawahała się i przegrała. Markiz wyswobodził się, zszedł po schodach i zniknął w powozie, zanim zdążyła wymyślić coś, co by go zatrzymało.

- Fabianie! Fabianie! - krzyknęła, ale było już za późno.

Drzwi powozu zamknęły się i konie ruszyły z miejsca. Jeanne mogła tylko stać i patrzeć, jak markiz odjeżdża, mając przy tym wrażenie, że on zaraz zniknie i że nie zobaczy kochanka nigdy więcej, choć miała nadzieję, że wyobraźnia płata jej figle.

Tymczasem markiz usiadł wygodniej i opierając stopy na przeciwległym siedzeniu zaczął planować, dokąd pojedzie. Wiedział, że jedynym sposobem, by uniknąć najrozmaitszych nieprzyjemności, będzie wyjazd z Paryża.

Markiz przyzwyczajony był do wyznań miłosnych: kobiety zapewniały go wielokrotnie, że kochają go tak, jak dotąd nie kochały nikogo. Słowo „kochać” nie było terminem, który pragnęłyby łączyć z osobami swoich metres, ale one niestety nie umiały się bez tego obejść. Markiz lubił kobiety, uważając je za istoty fascynujące i pociągające, ale cenił płęć piękną wyłącznie pod jednym względem. Przyjaźń i koleżeństwo oraz zainteresowania intelektualne, które w jego przypadku były bardzo rozległe, należały do wartości, jakie dzielił z mężczyznami, od kobiet oczekując jedynie tego, by były piękne i podniecały jego zmysły. Poza tym jednak nie stanowiły one części życia markiza, podobnie jak konie, które wracały do stajni, kiedy ich nie używał.

Markiz nauczył się jeszcze jako zupełnie młody człowiek, że nie należy oczekiwać od żadnego mężczyzny ani od żadnej kobiety więcej, niż mogą oni z siebie dać. Nie uważał się za kogoś wyjątkowego, zdawał sobie jednak w pełni sprawę, że różni się od większości swoich przyjaciół, a nawet ogółu znajomych. Ci spośród nich, którzy mieli obsesję na punkcie kobiet, rzadko posiadali inne poważniejsze zainteresowania, a z reguły nie posiadali ich wcale.

Jednakże markiz uczestniczył w najróżniejszych dziedzinach życia, o czym większość ludzi, z jakimi stykał się na gruncie towarzyskim, nie miała najmniejszego pojęcia. Sam markiz nie pragnął bynajmniej, żeby kręgi towarzyskie były poinformowane o jego zainteresowaniu polityką, niemniej jednak mężowie stanu i politycy niejednokrotnie konsultowali się z nim na zupełnie prywatnej stopie.

Markiz był może jedynym człowiekiem w Paryżu, który orientował się, że Francja wkroczyła na drogę wiodącą prosto do zguby i nie widział sposobu, żeby ją od tego uchronić. Był ogromnie poruszony tym, co czytał na temat zbrojenia się Prus w tajnych raportach, otrzymywanych własnym sumptem, choć oczywiście nikt nie chciał go słuchać. Mimo to, powodowany poczuciem obowiązku, próbował przekazać wszystkie swoje obawy ministrowi obrony, którym był Duc de Graumont.

Ponieważ markiz był zaangażowany w tyle różnych spraw, wygodnie mu było uchodzić za pustego bawidamka nurzającego się w uciechach Paryża. Oznaczało to, że widywano go nieustannie w towarzystwie pięknych kobiet, w tym także najwybitniejszych pań z La Gardę. Ta sytuacja wiązała się również z pewnymi niebezpieczeństwami, a markiz wiedział doskonale, że każdy mądry

generał rozpoznaje moment, kiedy należy się wycofać i przeczekać w spokoju do następnej bitwy.

- Pojadę na wieś - powiedział sobie, kiedy konie, przebywszy Champs Elysees, wjechały do bramy ze sztachetami o złoconych końcach. - Tylko pytanie, dokąd?

I wówczas, jakby pod wpływem natchnienia, markiz przypomniał sobie, że nie odwiedzał od dawna swojego zamku w Basses Pyrennes. Powód był prosty: Pireneje znajdowały się w wielkiej odległości od Paryża, a jego w mieście trzymało przecież mnóstwo spraw. Mimo to uważał zawsze zamek za swój dom rodzinny, ponieważ mieszkał tam jako chłopiec. Toteż teraz, kiedy potrzebował bezpiecznego schronienia, spokojnej przystani po przebyciu burzliwych wód, wiedział od razu, dokąd chce pojechać.

Wszedłszy do holu pomyślał, że choć jest druga nad ranem, Brantome może znajdować się jeszcze w swoim gabinecie, nie tylko dlatego, że sekretarz miał zawsze mnóstwo roboty, więc jako człowiek bardzo sumienny pracował niezmiennie do późnych godzin; Henri Brantome źle sypiał, a kiedy markiz usiłował przemówić mu do rozsądku, odpowiadał:

- Wolę siedzieć nad pracą przy biurku, Monsieur, niż leżeć bezsennie i robić to samo w myślach.

Markiz śmiał się wówczas, ale rozumiał. Teraz zaś, zgodnie z przypuszczeniami, otwierając drzwi gabinetu Brantoma, zastał swego sekretarza za biurkiem. Przed nim leżał stos listów, wyraźnie świeżo napisanych. Na widok markiza Brantome wstał z krzesła, obrzucając go zdumionym spojrzeniem.

- Więc pan jest w domu, Monsieur - skomentował stwierdzając rzecz oczywistą.

- Pomyślałem, że być może zastanę cię jeszcze przy pracy - odparł markiz. - Wolę powiedzieć ci o moich planach osobiście, niż zostawiać ci wiadomości przez służbę.

- Planach?

- Tak. Wyjeżdżam jutro do Chateau Sare. Poleć, żeby dołączono mój prywatny wagon do najszybszego pociągu, jaki znajdziesz. Nie będę cię zabierał ze sobą, nie ma do tego powodu. Nie zamierzam wydawać przyjęć, ani zapraszać gości, jadę po prostu na odpoczynek.

- Na odpoczynek? - powtórzył sekretarz. - To jest coś, czego, o ile dobrze się orientuję, nie robił pan od lat! Markiz roześmiał się.

- Chyba masz rację. Jeśli jednak zacznie mi się nudzić, prześlę ci listę osób, które chciałbym zaprosić i zorganizujesz wszystko tak, by zjawili się zamku jak najszybciej.

- Więc naprawdę wybiera się pan w podróż sam, Monsieur!

To pytanie przypomniało markizowi o Jeanne, o której chwilowo zapomniał.

- A właśnie - zauważył - daj Mademoiselle Jeanne Tourbey czek jak zwykle i poproś ją, by zechciała wrócić do własnego domu, kiedy tylko będzie jej wygodnie.

Henri Brantome zapomniał przez chwilę, że nie powinien nigdy, w żadnym wypadku, okazywać zdziwienia, cokolwiek by markiz zrobił czy powiedział, i wykrzyknął mimo woli:

- A więc pan z nią skończył!

- Tak, skończyłem! - odparł markiz, wyraźnie nie przejmując się faktem, że pytanie sekretarza jest ingerencją

w jego prywatne sprawy. - I powiem jeszcze, jeśli cię to interesuje, Brantome, że dzisiejsze przyjęcie było niesmaczne oraz nudne. Nie wątpię, że jutro będzie o nim mówił cały Paryż, ale, jak wiadomo, poza plotkami Paryż ma niewiele do roboty!

W tonie markiza słyhać było wyraźnie gorycz, co nie uszło uwagi Brantoma.

- Czy pana spotkanie z Księciem było owocne? - spytał.

Markiz potrząsnął przecząco głową.

- Księżę zgadza się ze wszystkim, co mówię, jeśli chodzi o zamiary Prus, jest jednak zarazem przekonany, że - jak zapewniają go generałowie - francuska armia jest nowoczesnie wyposażona i znakomicie przygotowana!

- Przecież Księżę musiał czytać pański raport?

- Twierdzi, że go czytał - odparł markiz. - Ale on w gruncie rzeczy słucha cesarzowej, która postanowiła, że Francja powinna pokazać całej Europie, jaka jest silna i wspaniała, i jaki pełen patriotyzmu jest jej naród.

Po ostatnich słowach markiza zaległa cisza.

- Ale będzie pan nadal próbował przekonać Księcia, jak wygląda prawda?

- Owszem, będę - odpowiedział markiz - tylko Bóg raczy wiedzieć, czy Księżę zechce mnie słuchać!

. Co powiedziawszy, markiz opuścił gabinet sekretarza. Brantome usiadł dopiero wtedy, kiedy kroki jego pracodawcy ucichły w oddali. Myślał z uczuciem bliskim rozpacz, że Francuzi, zatracając się w pogoni za uciechami, jako naród niszczą się sami. Pewnego dnia dostrzegą niewątpliwie, co się wokół nich dzieje, ale wtedy będzie już za późno.

Markiz, któremu lokaj pomagał się rozbierać w milczeniu, snuł bardzo podobne rozważania, kładąc się do łóżka. Zgasił światło i leżał w ciemności w komforcie, który zapewniało mu wspaniałe łoże z baldachimem. Było ono meblem rodzinnym od pokoleń, on sam zresztą przyszedł w nim na świat.

Markiz nie poświęcił nawet jednej myśli temu, co wydarzyło się wcześniej tejże nocy. Jeśli jednak zwróciłby myśl w kierunku Jeanne, mógłby zadać sobie raz jeszcze pytanie, stawiane tylekroć przedtem w podobnych okolicznościach: czego właściwie szuka? Nadal nie umiałby tego sprecyzować, będąc jednocześnie pewien, że jest to nieosiągalne, jak melodia, którą się nie tyle słyszy, ile przeczuwa. Albo jak odległa linia horyzontu, którą się odgaduje w oddali, choć niepodobna jej zobaczyć. Czy wreszcie jak delikatny aromat, który jest tak nieuchwytny, że nie sposób go sobie uzmysłowić.

Koleje losu markiza były dość nietypowe.

Jako bardzo młody człowiek, zawarł on związek małżeński z córką księcia Louis de Bondy. Małżeństwo zostało ułożone przez jego rodziców i było ze wszech miar korzystne. Marquis był bogaty, miał rozległe dobra, a także tytuł arystokratyczny, który wyróżniał się niejednokrotnie w dziejach Francji. Księżniczka, skoligacona z wieloma królewskimi rodami Europy, nie posiadała natomiast wielu dóbr doczesnych. W tych warunkach ustalony związek satysfakcjonował rodziców zarówno panny, jak pana młodego.

Niestety, nowo poślubieni małżonkowie nabrali do siebie spontanicznej i obustronnej antypatii od pierwszej chwili wspólnego życia. Mimo to markiz, który od dzieciństwa miał silny charakter, powiedział sobie, że musi spełnić swój obowiązek i dorobić się dziedzica, by zapewnić ciągłość rodowi Sare. Przekonał się jednak, że nie jest praktycznie w stanie dotknąć księżniczki, nie mówiąc o jej pocałowaniu. Ona ze swojej strony poinformowała markiza przy pierwszej okazji, że po prostu go nie znosi, a zresztą jest zakochana w jednym z sekretarzy własnego ojca.

Młoda para spędziła miodowy miesiąc kłócąc się zaciekle i zajmując osobne sypialnie, a po powrocie do domu markiza w Paryżu oboje zdecydowani byli widywać się możliwie rzadko.

Nie było to trudne w mieście, które ofiarowywało markizowi wszelkie rozrywki, o jakich mógłby zamarzyć mężczyzna. Natomiast księżniczka radowała się posiadaniem nieograniczonej ilości pieniędzy, które mogła wydać na klejnoty i stroje. Nie będąc brzydka, nie miała ona jednak ani urody, ani czaru kobiet, które uważały, że markizowi nie sposób się oprzeć i które powitały go w swych kręgach z otwartymi ramionami. W tym właśnie okresie

ustaliła się jego reputacja, bowiem markiz zachowywał się jak mały chłopiec, któremu dano buszować do woli w sklepie ze słodyczami.

Jeszcze przed ożenkiem, jako młody chłopiec w domu rodzinnym, markiz podlegał w wielkiej mierze władzy swojego ojca; w tym okresie zadawała go w pełni uganianie się konno, udział w wyścigach, polowanie na niedźwiedzie i niezliczona ilość innych rozrywek wiejskich. Następnie spędził dwa lata podróżując po świecie, co jego ojciec uznawał za wielce pouczające. Dla markiza było to fascynujące doświadczenie, które wzbogaciło jego umysł i wyrobiło w młodzieńcu siłę charakteru w znacznie większym stopniu, niż mogłaby się tego spodziewać rodzina.

Po powrocie z wojaży markiz zgodził się na zaplanowane małżeństwo, ponieważ należało to do tradycji, którą uznawał, a przy tym nie było właściwie żadnego powodu, by protestować przeciw związkowi, który stanowił swoisty triumf towarzyski. Przez jakiś czas markiz uczył się swojej roli młodego arystokraty francuskiego z takim zapalem, że niemal zapomniał o bardzo istotnym fakcie: był przecież mężczyzną. Życie u boku księżniczki uświadomiło mu to wyraziście, a rozczarowany w małżeństwie, zaczął naturalnie szukać pociechy gdzie indziej. Tak więc w centrum zainteresowania markiza znalazły się kobiety, temat zupełnie nowy.

Niewykluczone, że markiz wplątałby swoją rodzinę w niejeden kłopot, gdyby nie dwie okoliczności. Po pierwsze, umarł niespodziewanie jego ojciec, co oznaczało, że teraz on sam stał się Marquis de Sare. Następnie zaś żona markiza zginęła w wypadku ulicznym, wybrawszy się gdzieś powozem, co było miłosiernym wyzwoleniem dla niego, choć tragedią dla rodziny księżniczki. Wypadki tego typu nie należały do rzadkości pośród zatłoczonych, krętych uliczek Paryża, które cesarz planował przebudować według projektów barona Haussmana.

Śmierć księżniczki stanowiła jeden więcej dowód, że zmiany są gwałtownie potrzebne i z końcem tegoż roku zostały zaakceptowane plany barona Haussmana, dotyczące budowy nowego Paryża. Stare, sypiące się rudery, powstałe w warunkach totalnego braku higieny, a także kręte, pełne nieznośnych odorów ulice, stanowiące niebezpieczeństwo zarówno dla pojazdów, jak dla pieszych, zniknęły z powierzchni ziemi.

Tymczasem markiz został uwolniony od nieszczęśliwego małżeństwa w wieku dwudziestu dwóch lat, stał się też głową rodziny i panem samego siebie, co okazało się wspaniałą sytuacją. Jako wdowiec mógł się zabawiać z kobietami bez najmniejszych wyrzutów sumienia, nie narażając się na dezaprobatę krewnych. Wykorzystał też w pełni swoją pozycję w tym sensie,

że uniknął długiej i nieszczerzej żałoby, wyruszając w podróż po Afryce, a następnie do Egiptu i Turcji, których nie zwiedził wcześniej.

Powróciwszy do kraju, markiz zaczął żyć w stylu, jakiego jego ojciec nie próbował nawet prowadzić, powiększył również swój i tak już ogromny majątek metodą bardzo inteligentnych zabiegów finansowych - co mocno zdumiało tych, którzy uważali się za jego doradców w tej sferze. Markiz przekonał się, że dla mądrego człowieka zrobienie pieniędzy nie wymaga właściwie żadnego wysiłku i w konsekwencji zwrócił się w stronę polityki, która okazała się dziedziną trudniejszą i znacznie bardziej kapryśną oraz niepewną.

Jednakże nawet najbardziej zajęty człowiek ma prawo do godzin wytchnienia, kiedy może się rozluźnić, a ponieważ drugie cesarstwo było rajem pełnym pięknych kobiet, ciągnęły one do markiza, jak pszczoły do miodu. Dla każdego zamożnego dżentelmena sprawą prestiżową było nie tylko zdobycie możliwie najpiękniejszej z dam, ale także zarzucenie jej klejnotami, żeby mogła pozostawić swoje rywalki w cieniu, jeśli chodzi o la vie de joie.

Sam cesarz, który zresztą ożenił się z miłości, nie ukrywał swego pociągu do innych kobiet, a jedną z jego pierwszych kochanek była „La Castaglione”, bardzo piękna kobieta z ptasim mózdzkiem. Jeśli więc nawet cesarz nie robił tajemnicy ze swoich przygód miłosnych, wyższe sfery towarzyskie mogły tylko pójść za jego przykładem. Książę Napoleon pysznił się swoimi kochankami, a baron Haussman, w chwilach wolnych od pracy nad projektowaniem nowego Paryża, zwykł był jeździć bez żenady powozem z piękną, młodą aktoreczką, Francine. Król Niderlandów, który spędzał więcej czasu w Paryżu, niż w swoim własnym kraju, był zakochany w Madame Musard. Urządzane przez tę damę wieczory, przypominające przyjęcie, z którego markiz powrócił właśnie, znudzony, były nieodmiennie egzotyczne i bardzo kosztowne.

Faza dogadzania sobie i ulegania swoim zachciankom nie trwała u markiza długo. W miarę, jak stawał się coraz bardziej wymagający i krytyczny, narastało w nim szybko niezadowolenie, robił się niecierpliwy oraz, nieuchronnie, coraz bardziej wybredny. Kiedy decydował się wybrać jakąś kobietę na stanowisko swojej oficjalnej kochanki, musiała być tak inna i niespotykana, jak nowa odmiana orchidei czy jedna z tych bliskich doskonałości pereł, które Oscar Massin pokazywał markizowi z dumą, gdy tylko weszła w jego posiadanie. Ale nawet w takim wypadku pozbywał się kochanki, w chwili gdy zaspokoił swą pychę właściciela.

Markiz zdawał sobie sprawę, że pod tym względem różni się od innych mężczyzn. Podobnie jak po ślubie, kiedy przekonał się, że nie jest w stanie

zbliżyć się do swojej żony, tak potem okazało się, iż w momencie, kiedy kochanka go zawiedzie - a tak to sam przed sobą określał - nie potrafi, nawet przez grzeczność, okazać jej jakiegokolwiek formy uczucia. Kurtyna opadła, sztuka dobiegła końca i nie odbędzie się żadne więcej przedstawienie.

Teraz, jakby wszelka myśl o kobietach przestała go interesować, uświadomił sobie z satysfakcją, że Brantome usunie ślady ostatniej kochanki. Rankiem markiz wsiądzie do pociągu, by opuścić Paryż i znaleźć się poza zasięgiem zaborczych ramion Jeanne. Pojedzie do Chateau Sare, gdzie będzie mógł cieszyć się życiem w sposób, w jaki zawsze to robił i poświęcić czas czemuś, na co ostatnio go brakowało, mianowicie na myślenie.

Właściwie chodziło o coś więcej, niż możliwość spokojnego myślenia bo o rodzaj wewnętrznych porządków i czystki; przy tego typu okazjach - pobytu nad morzem czy na wsi - markiz czuł, że wstępują w niego nowe siły. Było w tym coś magicznego, coś niezmiernie istotnego, co było mu witalnie potrzebne. Nie potrafiłby sam wyjaśnić, co to takiego, miał jednak przemożne poczucie, że chodzi o coś nieodłącznie z nim związanego.

Odkrył to po raz pierwszy, kiedy jako zupełnie młody człowiek zwiedzał niewielkie państwo Nepalu, położone u stóp Himalajów. Spojrzał wówczas na pokryte śniegiem, lśniące wierzchołki gór ponad głową i zrozumiał, że musi, mówiąc przenieśnie, wspiąć się na same ich szczyty. Inaczej nie zdoła osiągnąć zadowolenia i wypełnić swego życia.

Potem, w najrozmaitszych chwilach życiowych, kiedy przyszło mu podjąć jakieś arcyważne decyzje, lub gdy los go w tym wyręczał, markiz świadomy był, że przed oczami wyobraźni jawi mu się znów obraz oślepiających w promieniach słońca himalajskich szczytów, jakby został na zawsze wyryty w jego duszy.

W komfortowym wagonie, który zaprojektował osobiście i gdzie obsługiwało go dwóch służących, markiz zamknął oczy, żeby nie patrzeć na uciekający za oknami krajobraz. Nie spał jednak, pogrążony w zadumie. Czuł, że jego myśli ulatują poza Paryż i rozpierzchają się swobodnie po całym świecie. Pierwszy raz od tygodni, a może miesięcy, odnalazł w sobie zadowolenie i pełnię, których mu brakowało. Jednocześnie zrodziło się w markizie poczucie, że, podobnie jak po śmierci żony, teraz także pozbył się wszystkich zalegających na sercu ciężarów i krępujących więzów, osiągając w ten sposób stan ładu i gotowości. Do czego? O tym nie miał na razie najmniejszego pojęcia.

Rozdział piąty

Teresa zeszła ze schodów kuchennych stopień po stopniu, nie zadając sobie nawet trudu, by zachowywać się cicho, ponieważ w pobliżu nie było nikogo, a następnie wyszła przez drzwi prowadzące do ogrodu. Świt ledwie zdążył rozjaśnić niebo; wątpliwe, by ktoś ze służby był już na nogach czy podążał w stronę kuchni na pierwszą poranną filiżankę kawy.

Poprzedniego wieczora wszyscy poszli spać później niż zwykle, ponieważ zupełnie nieoczekiwanie do zamku przyjechał markiz, a jego powrót zrobił co najmniej takie wrażenie jak nagła eksplozja. W ciągu trzech tygodni spędzonych w Chateau Sare Teresa czuła się tak szczęśliwa, że zdołała niemal zapomnieć o panu tego zamku, który był jej pracodawcą. Na początku żywiła pewne obawy, podobnie jak Gennie, która lękała się, że służba może odnieść się do nich nieprzychylnie, okazując wrogość, co byłoby dla obu kobiet upokarzające. Jednakże jadąc ze stacji pośród lasów i pól, mijając nieliczne domy i chaty, Teresa zrozumiała, że znalazła się w jakimś innym, nieznanym dotąd świecie. W oddali, poza zasięgiem wzroku, wznosiły się Pireneje, od których musiały wiać niekiedy zimne wiatry, zwłaszcza w zimie. Na zachodzie, także niewidoczne, szumiało morze. Zdawało jej się, że wyczuwa sól w powietrzu i wyobrażała sobie ogromną przestrzeń oceanu toczącego swe fale od wybrzeży Francji do nowego świata, o którym tak niewiele wiedziała. Wreszcie, jadąc leśną drogą pośród świeżej, wiosennej zieleni, ujrzała po raz pierwszy zamek, tak piękny, tak bajkowy, że wydał jej się niemal wytworem własnej wyobraźni. Patrzyła więc z zapartym tchem przekonana, że nie może być rzeczywisty.

Poznawszy go lepiej, utwierdziła się w przekonaniu, że jest miejscem niezrównanej urody, począwszy od ogrodów w stylu Ludwika XIV, do wspaniałych sal i komnat, zaprojektowanych i urządzonych w tej samej epoce, a zachowanych niemal bez zmian. Zamek Sare, skąd do najbliższego miasta było dobrych parę mil, znajdował się tak daleko od Paryża, że uniknął horrorów rewolucji i zniszczeń oraz spustoszeń w wyniku wojen napoleońskich, ukryty bezpiecznie pośród otaczających go lasów. Odkryć ów klejnot i docenić mogli jedynie ci, którzy byli nim prawdziwie zainteresowani, a Teresę fascynował on z każdym dniem coraz bardziej.

Służba w zamku składała się z ludzi wiekowych, którzy mieszkali i pracowali tu od lat. Oswoiwszy się z myślą, że nowy szef kuchni jest kobietą, a do tego bardzo młodą, zaczęli traktować ją jak dziecko, którym należy się opiekować i które trzeba chronić. Spełniali gorliwie wszystkie jej polecenia i

usiłowali powstrzymać Teresę od pracy, nie dlatego, żeby byli zazdrośni czy uważali ją za intruza, ale ponieważ sądzili, że może być przemęczona. Jednakże Teresa miała w gruncie rzeczy bardzo niewiele do roboty.

Służba stanowiła też jedną wielką rodzinę. Znajdowała się pośród nich starsza kobieta, która gotowała dla mieszkańców zamku od trzydziestu lat i której kucharowanie wielce im odpowiadało. Jej dwaj wnukowie pełnili funkcję kuchcików, obracając wielkie rożna w ogromnej kuchni, wynosząc odpadki i dostarczając węgla oraz drewna na podpałkę. Poza Teresą byli oni jedynymi młodymi ludźmi w zamku. Chłopcy lubili sobie żartować, ale ogólnie rzecz biorąc byli grzeczni i nie ośmieliliby się nigdy nie posłuchać babki. Niedługo po przyjeździe Teresa upiekła dla nich wyśmienite potisseries z masą kremu i owoców i od tej chwili zyskała niewolników, którzy gotowi byli zrobić dla niej wszystko za następne podobne smakołyki.

Niebawem ustalił się też niekłopotliwy i przyjemny tryb życia. Teresa gotowała dla siebie i Gennie, a następnie jadły we dwie w pokoju należącym niegdyś do zarządcy, znajdującym się po przeciwnej stronie wykładanego kamiennymi płytami korytarza, vis-a-vis wielkiej kuchni. Reszta służby jadła starym zwyczajem w samej kuchni, myśląc z ulgą, że ponieważ nie znajdują się w obecności nowej kucharki, nie muszą się mieć stale na baczności.

Zgodnie z obietnicą Monsieur Brantome, Teresa i Gennie dostały do własnego użytku salonik, a sypialnie przydzielone im przez Maitre'a d'Hotel nie znajdowały się w części zamku zarezerwowanej dla służby. Teresa wiedziała, że dał im pokoje gościnne przeznaczone dla osób o niezbyt wysokiej randze towarzyskiej. Wyjaśnił to obu paniom oznajmiając, że do tej pory szef kuchni miał pokój wśród męskiej części służby. Jednakże zdaniem Teresy stary służący musiał wyczuć instynktownie, że nowa kucharka nie należy właściwie do ich klasy. Tak czy owak, wszystko to zostało załatwione bez zbędnych słów i z prawdziwie francuskim taktem, a uprzywilejowana pozycja pań została zaakceptowana przez wszystkich w zamku. Gennie była ogromnie zadowolona z takiego obrotu rzeczy.

- Mamy naprawdę szczęście - zauważyła Teresa. - Dostałyśmy takie śliczne i wygodne pokoje.

- Byłoby o wiele lepiej, Milady, gdyby mogła tu panienka mieszkać pod swoim własnym nazwiskiem!

- Ale nie mogę! - odparła ostro Teresa. - I proszę cię, zapamiętaj, Gennie, że jestem szefem kuchni, mademoiselle Beauvais, a pogńiewamy się naprawdę, jeśli inni nabiorą przez ciebie podejrzeń, że jestem kimś innym niż mówię.

Gennie uważała, że i tak są podejrzane, ale uznała, że nie warto się na ten temat spierać. W gruncie rzeczy była ogromnie zadowolona z warunków, w jakich mieszkały i atencji, z jaką traktowali inni służący Teresę i ją samą.

Pierwszego dnia po przybyciu do zamku Teresa upiekła im na śniadanie rogaliki. Jadły je smarując złocistym masłem pochodzącym od krów markiza oraz miodem z jego pasieki i popijając kawą ze śmietanką przysланą także z należącej do zamku farmy. Następnie Gennie poszła na górę, by rozpakować walizki, a Teresa postanowiła wypuścić się na zwiedzanie okolic. Wyszła na dwór tak jak stała, bez kapelusza i w cienkiej sukni, a słońce grzało na tyle mocno, że nie potrzebowała żadnego okrycia.

Ogrody były zachwycające. Teresa nie rozumiała, jak ktokolwiek poza człowiekiem równie nieczułym jak jej własny ojciec oraz, ewidentnie, również markiz, może przedkładać Paryż nad ich piękno. Fontanny były w niebo strumieniami wody mieniące się tęczo w słonecznym blasku, w stawach pływały złote karpie, a powietrze wokół przesycone było słodką wonią kwitnącego bzu i jaśminu. Kwitły także tulipany, hiacynty i żonkile w wielkiej profuzji, a wszystko to było tak czarowne, że Teresa poczuła znów, jak wtedy, gdy ujrzała zamek po raz pierwszy, że musi znajdować się w baśniowej krainie. Przeszła przez ogród i otworzyła furtkę w starym murze przypuszczając, że znajdzie za nią kwitnący sad i nie zawiodła się wcale. Białe i różowe płatki kwiatów padały na trawę jak śnieg.

W tejże chwili Teresa zatrzymała się jak wryta sądząc, że wzrok płała jej figle. Miała przed sobą spore ogrodzenie, w którym znajdowały się lew i lwica. Teresa zbliżyła się do nich wstrzymując oddech z przejęcia. Zwierzęta leżały koło siebie pod drzewami, a na jej widok lew uniósł głowę, żeby spojrzeć na intruza. Musiał jednak zdecydować, że nie jest to nikt ważny, bo opuścił ją zaraz, opierając na wyciągniętych przednich łapach. Teresa, oszołomiona, przeniosła wzrok dalej i ujrzała następne ogrodzenie, a za nim domyśliła się istnienia jeszcze jednego.

Zwierzęta mogły poruszać się swobodnie w granicach wyznaczonego terenu. Teresa zrozumiała, że ogląda po raz pierwszy w życiu prywatny ogród zoologiczny i serce zabiło jej mocniej. Była zafascynowana, ponieważ kochała zwierzęta. Przeszła dalej i w ogrodzeniu sąsiadującym z lwami odkryła parę zebra. Stała wpatrzona w nie przez długi czas. Zebry okazały się dokładnie takie, jak je sobie zawsze wyobrażała; wygląd tych zwierząt był wręcz niewiarygodny. W następnym, jeszcze bardziej rozległym ogrodzeniu Teresa odkryła kilka rozmaitych antylop i różnych gatunków zwierzyny płowej. Obserwowała, jak poruszają się z niezrównaną gracją pod drzewami, gdy nagle,

ku jej wielkiej radości, w odległym krańcu ogrodzenia, na tle spiętrzonych sztucznie głązów, ukazała się młoda żyrafa. Ze swoją długą szyją i niezdarnymi nogami prezentowała się tak niezwykle, że Teresa klasnęła w ręce i zaśmiała się, zachwycona. W tejże chwili drgnęła gwałtownie, słysząc głos za plecami:

- Śmieje się pani z żyrafy, Mademoiselle!

Teresa odwróciła głowę i ujrzała starego człowieka o siwych włosach, który patrzył na nią wyrazem zdziwienia. - Bonjour, Monsieur!

- Bonjour, Mademoiselle! Myślę, że nie powinna pani znajdować się tutaj, ponieważ jest to teren prywatnej posiadłości.

- Przyjechałam wczoraj - wyjaśniła Teresa. - Jestem nowym szefem kuchni.

Stary człowiek popatrzył na nią tak, jakby podejrzewał ją o kpiny. Teresa zaśmiała się znów, zapewniając go:

- Naprawdę, choć jestem kobietą i wyglądam bardzo młodo, zaangażowano mnie jako szefa kuchni! Proszę, niech mi pan opowie o tych fantastycznych zwierzętach.

W ten sposób została nawiązana znajomość, a następnie przyjaźń. Jacques, bo tak nazywał się stary człowiek, opiekował się menażerią markiza od momentu jej powstania. Opowiedział Teresie, że gdy jego pan był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, przywiózł z podróży dookoła świata trzy zwierzęta. Już pierwsze z nich przykuło uwagę Teresy bez reszty, tak że przestała w ogóle myśleć o następnych.

- Pewien maharadza w Indiach zorganizował dla Monsieur le Marquis polowanie na tygrysy - wyjaśnił Jacques. - Ale upolowawszy pierwszą tygrysicę pan markiz odkrył, że ma ona nie większe od kociaka, mniej więcej tygodniowe ty gry siatko. Monsieur karmił je osobiście kozim mlekiem, a zanim powrócił do domu, tygrysek był już całkiem spory i siedł za panem markizem wszędzie jak pies.

Patrząc na tygrysa, który zajmował ogrodzenie znajdujące się za lwami, Teresa doszła do wniosku, że jest to najwspanialsze zwierzę, jakie zdarzyło jej się kiedykolwiek widzieć. Dostrzegła wyraźnie cętki na jego pysku i błysk oczu, a kiedy ziewnął przeciągle, jakby znudzony obserwacją, miała możliwość docenić długie, ostre i spiczaste zęby stworzone do zabijania.

- Jest fantastyczny! - wykrzyknęła wiedząc, że Jacques czeka, ciekawy jej opinii o przepysznym zwierzęciu.

- Monsieur dał mu właściwe imię - oznajmił Jacques z uśmiechem.

- Jakie? - zaciekawiała się Teresa. - Le Roil

- Ależ naturalnie! - zawołała Teresa, - jakież inne mogłoby być stosowniejsze! Król dżungli i król zwierząt! Bo czyż nie wygląda na króla leżąc

sobie tutaj i myśląc zapewne, że powinniśmy mu się pokłonić, a jeśli tego nie zrobimy, to już on nas do tego zmusi!

- Tylko Monsieur le Marquis potrafi go obłaskawić - stwierdził Jacques. - Mnie zaledwie toleruje, ale nikt nie ośmiela się wchodzić na teren, nad którym panuje niepodzielnie.

Jacques pokazał Teresie inne zwierzęta w menażerii, ale choć była nimi zainteresowana, jej myśli krążyły nieustannie wokół Le Roi.

- Kiedyś mieliśmy ich znacznie więcej - powiedział Jacques z pewnym smutkiem, podążając koło niej. - Ale niektóre postarzały się i umarły, a Monsieur le Marquis nie interesuje się już nimi tak jak dawniej.

Teresa zacisnęła wargi, co zdarzyło jej się pierwszy raz odkąd przybyła do zanku. Wiedziała doskonale, czemu pan markiz przestał się interesować swoimi zwierzętami i swym pięknym domem. Podobnie jak jej ojciec, dał się oczarować, zafascynować i usidlić kobietom, które trzymały go w Paryżu. Tegoż wieczora, udawszy się na spoczynek, Teresa myślała znów o Le Roi. Pewna była, że musi czuć się samotny, ponieważ nie miał towarzystwa i zajmował swoje ogrodzenie w pojedynkę. Jakie to typowe dla markiza, po którym doprawdy trudno by się spodziewać czego innego, że wzbudziwszy w tygrysiatku miłość i przywiązanie opuścił następnie dorosłe zwierzę, podobnie jak opuszczał kobiety, nie poświęcając nawet myśli cierpieniu tygrysa.

Obudziwszy się wcześniej następnego ranka, Teresa wyszła do ogrodu i skierowała się niemal instynktownie do furtki w murze. Lwy spały, leżąc blisko siebie. Ominęła je, podążając prosto do klatki tygrysa.

Teresa nie miała towarzystwa rówieśników do zabaw w czasach, kiedy mieszkała z matką w domu rodzinnym, a czując się samotna, usiłowała zaprzyjaźnić się z danielami w parku, ptakami na drzewach, nawet z królikami. Gdy była malutka, matka czytała jej historie o św. Franciszku z Asyżu, którego otaczały zawsze leśne zwierzęta i lotne ptaki. Opowiadała też córeczce, jak przywoływał je do siebie i przemawiał do nich, a zwierzęta obsiadały świętego kołem w idealnej zgodzie i harmonii, by słuchać. Teresa marzyła, by robić tak samo. Potem czytała o tym, że Cyganie, którzy znają magiczne sposoby postępowania ze zwierzętami, nie zdradzają tego sekretu nikomu spoza swojego plemienia. Niemniej Teresa wydedukowała sama, że każde zwierzę musi się przede wszystkim poczuć bezpieczne, a to z kolei możliwe jest do osiągnięcia jedynie w przypadku, gdy osoba oswajająca odczuwa i wysyła w kierunku zwierzęcia fale miłości.

Teraz, przucupnąwszy przed ogrodzeniem tygrysa, zaczęła do niego przemawiać będąc pewna, że markiz musiał postępować podobnie, kiedy Le Roi

był małym tygrysiem. Na początku zwierzę zdawało się nie reagować na cichy, pieściwy ton głosu Teresy, gdy namawiała tygrysa, by się do niej zbliżył. Jednakże po kilku dniach stało się jasne, że czeka na nią o poranku i wczesnym popołudniem, kiedy Gennie uciniała sobie po lunchu krótką drzemkę. Właśnie wtedy Teresa spieszyła do ogrodu, bo Ze Roi przyciągał ją jak magnes. Pod koniec tygodnia tygrys nie tylko na nią czekał, ale mogła go dotknąć przez żelazne pręty ogrodzenia.

Jacques wydał Teresie surowy zakaz.

- Mademoiselle, nie wolno pani nigdy, pod żadnym pozorem, wejść do klatki Le Roi. Teraz, kiedy jest dorosłym tygrysem, nie można za niego ręczyć i choć nigdy nie tknąłby Monsieur, zdarzyło mu się zaatakować dwukrotnie chłopców, którzy pomagają mi karmić zwierzęta i czyścić ich klatki. Obecnie jestem jedynym człowiekiem, który wchodzi do środka, oczywiście z wyjątkiem pana.

- Jacques umilkł na chwilę, po czym dorzucił: - Ale i ja pilnuję się bardzo, żeby nie odwrócić się nigdy tyłem do Le Roi. Na dobrą sprawę żadnemu tygrysowi nie można naprawdę zaufać.

Teresa nie uwierzyła w słowa Jacquesa. Była pewna, że kiedy Le Roi zrozumie, jak bardzo Teresa go kocha, odpowie jej także miłością i nie zrobi jej nigdy krzywdy.

Teresa nie była też specjalnie zdziwiona, że Gennie nie przejawia najmniejszego zainteresowania menażerią.

- Nie ciekawią mnie zwierzęta - stwierdziła garderobiana - zwłaszcza te groźne. I niech panienka uważa! Chyba nie chce panienka mieć blizn na twarzy i odgryzionych palców!

Teresa roześmiała się.

- Nie ma obawy, Gennie, zresztą będę bardzo ostrożna.

- Nigdy nic nie wiadomo - oznajmiła Gennie ponuro. - Moim zdaniem powinno się zostawić w spokoju lwy i inne bestie tam, gdzie ich miejsce, a nie przywozić w obce dla nich strony.

- Tym argumentem posługują się zawsze przeciwnicy ogrodów zoologicznych - odparła Teresa. - Ale dzikie zwierzęta fascynowały ludzi od zarania dziejów.

Gennie nie była zainteresowana tematem i Teresa zamarzyła o rozmowie z kimś mającym lepsze pojęcie o historii zwierząt chowanych w niewoli. Jacques nie otaczał miłością zwierzyńca, którym się opiekował, wykonywał po prostu swoją pracę. Rozmawiając z nim Teresa zorientowała się, że nie przeczytał żadnej książki, ponieważ nie umiał czytać. Była tak spragniona wiadomości, że udała się do obszernej biblioteki i otworzywszy drewniane okiennice zaczęła

szukać książek, które oświeciłyby ją w tej materii. Biblioteka była fantastyczna. Teresa nie widziała nigdy w życiu tylu książek zebranych w jednym pomieszczeniu z przepięknie zdobionym sufitem. Zorientowała się jednak od razu, że znalezienie poszukiwanych tomów może jej zająć długie miesiące.

- Czy żaden kustosz nie zajmuje się książkami i wszystkimi zgromadzonymi tu skarbami? - spytała Maitre'a d'Hotel.

- Owszem, był tu taki - odparł swoim drżącym głosem, - ale umarł przed dwoma laty, a Monsieur Brantome nie przysłał nikogo nowego. - Zaśmiał się krótko i zakaszłał, po czym dodał: - Zresztą nawet jeśli ktoś nowy by się znalazł, to i tak ucieknie, jak kolejni kucharze, dla których jest tu zbyt samotnie.

- A ja uważam, że tu jest cudownie! - powiedziała Teresa. - Jak można odczuwać samotność pośród tylu skarbów, takich pięknych ogrodów, no i wszystkich tych zwierząt?

Maitre d'Hotel zaśmiał się ponownie.

- Pani, Mademoiselle, różni się od wszystkich, którzy tu kolejno przyjeżdżali i mamy nadzieję, że nie opuści nas pani zbyt szybko.

- Chciałabym tu zostać na zawsze!

Uśmiechnęła się do niego i wyszła przez otwarte drzwi na słońce nie widząc, że stary służący potrząsa głową. Uważał widać, że podobnie jak młody ptak, i ona wcześniej czy później zechce rozpostrzeć skrzydła i odlecieć.

Jednakże Teresę zachwyciło wszystko, co widziała i co mogła robić, a w szczególności fascynował ją Le Roi. Któregoś popołudnia, po dziesięciu dniach pobytu w zamku, otworzyła drzwi w ogrodzeniu tygrysa i z mocno bijącym sercem weszła do środka. Wiedziała, że jest to stosowna pora na tego rodzaju eksperyment, ponieważ zwierzę zostało nakarmione przez Jacques'aw południe i nie będzie w agresywnym nastroju.

Teresa zamknęła za sobą drzwi i stanęła zupełnie nieruchomo, a potem odezwała się do tygrysa tym samym miękkim, przyzywającym tonem, którego używała dotychczas. Zwierzę wstało wolno i miała okazję docenić wspaniałą grę mięśni pod gęstym futrem. Następnie tygrys bez pośpiechu skierował się w jej stronę; w tym momencie mógł na Teresę skoczyć, przewrócić swą ofiarę na ziemię i prawdopodobnie zabić, czego była w pełni świadoma. On jednak podszedł zupełnie blisko i nie przystając zaczął się ocierać łagodnie o jej nogi. Mruczał przy tym gardłowo, dokładnie tak jak kot, i Teresa wiedziała już, że odniosła zwycięstwo.

Markiz dotarł tymczasem do stacji, na której pociąg zatrzymywał się, gdy ktoś jechał do Chdteau Sare. Ten przywilej dotyczył jednak, w myśl poleceń

markiza, zaproszonych gości i jego własnej osoby, a nie służby. Wsiadłszy do swojego prywatnego wagonu, który został doczepiony do ekspresu jadącego na południe, markiz poinformował konduktora, że pragnie wysiąść na swojej stacji przy Chdteau Sare, wywołując tym spore poruszenie.

- Nikt mnie o to od dawna nie prosił, Monsieur le Marauis - powiedział konduktor.

- Wiem i słyszę dezaprobatę w pańskim głosie, ponieważ tak długo nie odwiedzałem domu - odparł markiz z uśmiechem.

- Monsieur, wszyscy powitają pana z radością - stwierdził konduktor i pospieszył, by przekazać polecenie maszyniście.

Pociąg jechał szybko, ale markiz znalazł się na miejscu dopiero po ósmej. Przed opuszczeniem Paryża zakazał Brantome'owi zawiadamiać kogokolwiek o swoim przyjeździe, ponieważ wymagał, żeby służba we wszystkich jego posiadłościach była zawsze w pełni przygotowana na przybycie pana bez uprzedzenia. Markiza drażniła myśl, że podczas jego nieobecności zamki mogą nie być utrzymywane w stanie perfekcji. Nie miał pojęcia, że sekretarz Brantome zamartwia się na wypadek, gdyby niespodziewana wizyta markiza spowodowała jakieś problemy. Jeszcze poprzedniego wieczoru Brantome poprosił swojego pracodawcę:

- Monsieur, proszę pozwolić, żebym przesłał jutro rano wiadomość do zamku, uprzedzając służbę o pana przyjeździe. Zdaje pan sobie z pewnością sprawę, że nie był pan tam od przeszło dwóch lat.

- Spodziewasz się, jak widzę, że wszystko jest w stanie całkowitego zaniedbania, ale nie podzielam twoich obaw - odparł markiz sucho. - Jeśli jednak okaże się, że miałeś rację, rozgniewam się nie na żarty!

W tej sytuacji Brantome był bezsilny i mógł się tylko modlić, aby wszystko dobrze się ułożyło i żeby nowa szefowa kuchni, która zapewniła go o swoim wysokim kunszcie kucharskim, okazała się prawdomówna.

Prawdę powiedziawszy, przyjazd markiza zrobił w zamku nie mniejsze wrażenie niż grom z jasnego nieba. Maitre d'Hotel został zaalarmowany przez pełniącego nocną służbę lokaja, który drzemiał oparty wygodnie w miękkim fotelu w holu, kiedy powóz zatrzymał się przed drzwiami. Maitre d'Hotel włożył pospiesznie obszytą złotą lamówką liberię i prawie bez tchu podążył śladami pana do salonu, by przekonać się z ulgą, że przed wezwaniem go nocny lokaj zdążył zapalić kandelabry, w których światło pokój wyglądał wyjątkowo atrakcyjnie. Co więcej, pod oknem, na małym stoliku w stylu Ludwika XVI, obszerny wazon pełen był świeżych kwiatów. Maitre d'Hotel wiedział doskonale, że zawdzięcza je Teresie.

- W ogrodzie jest zatrzęsienie prześlicznych kwiatów - powiedziała. - Czy myśli pan, że mogę zerwać ich trochę nie tylko do mojego saloniku, ale także do grand salon, który bez świeżych kwiatów dobranych do koloru obić na meblach i kolorytu obrazów Fragonarda robi wrażenie zaniedbanego?

Maitre d'Hotel uśmiechnął się. - Naturalnie Mademoiselle - odparł. - Dawniej Madame la Marquise pilnowała, żeby kwiaty stały wszędzie, w salonie, w bibliotece, w bawialniach, no i w jadalni, gdzie stół był codziennie przyozdabiany do kolacji.

- Musiał pięknie wyglądać!

Teresa bardzo pragnęła zobaczyć, jak prezentował się zamek za życia Madame la Marquise, której portret wisiał w reprezentacyjnym salonie, napełniła więc wazony żonkilami, różowymi kameliami i białym bzem. Poprosiła też ogrodników, którzy od dawna przestali się interesować wnętrzem zamku, żeby dostarczyli jej hiacyntów, które wypełniły hol słodką wonią. Orodnicy, wiekowi jak reszta służby zamkowej, wysłuchali z zachwytem jej pochwał, przynosząc Teresie pierwsze brzoskwinie z cieplarni i pierwsze kiście winogron, z których radowała się jak dziecko.

- Jesteście niezwykle mili! - oświadczyła.

I oto w środek tej sielanki, która była rodzajem jej prywatnego rajku, wkroczył nagle markiz, burząc spokój Teresy.

Spiesząc do kuchni, by przygotować kolację, która go zadowoli - taką przynajmniej miała nadzieję - Teresa starała się zachować zimną krew i pomyśleć rozsądnie, na co mógłby mieć ochotę oczekujący perfekcji dżentelmen, który przyjeżdża do domu późnym wieczorem po odbyciu długiej podróży. Pewna była, że w Paryżu jadał zbyt obfite posiłki i nazbyt ciężkie potrawy, a przede wszystkim nadmiar pasztetów. Nie mogła oczywiście wiedzieć, że poprzedniego wieczora uraczono go w ogromnych ilościach tym właśnie specjałem, a także rosyjskim kawiozem, przepiórkami sprowadzanymi z Afryki, oraz truflami, które dla każdego Francuza stanowiły nieodzowny element wykwintnej uczyty.

Teresa pomyślała, niemal jakby była jasnowidząca, że powodem nagłego powrotu markiza z Paryża do domu musiało być znużenie egzotycznymi orgiami, które tak zachwycały jej ojca. „Bo inaczej dlaczegóż by wracał na wieś?”, powiedziała sobie. Z pewnością nie przynaglił go do tego brak pieniędzy, jak to bywało w przypadku ojca.

Wziąwszy to wszystko pod uwagę, Teresa postanowiła zaniechać prób zadziwienia markiza bardziej skomplikowanymi czy wyszukanymi daniami, których nauczyła ją babka i które przeznaczone były na specjalne okazje.

Zacząła od rosółu, klarownego, złocistego, o tak niebywałym smaku, że każda łyżka stanowiła rozkosz dla podniebienia. Szczęśliwym trafem jeden z gajowych, pragnąc zrobić jej przyjemność, dostarczył do zamku tegoż popołudnia dwa świeżo złowione pstrągi.

- Pomyślałem sobie, Mademoiselle, - powiedział z uszanowaniem - że zechce pani może spróbować naszego pstrąga. My tu uważamy, że on smakuje lepiej od wszystkich innych okolicznych ryb.

Teresa uśmiechnęła się, słysząc dumę w jej głosie i podziękowała gajowemu, planując ugotować ryby dla siebie i Gennie na lunch następnego dnia. Teraz więc przyrzadziła je dla markiza bardzo prosto, w maśle, dorzucając tylko pod sam koniec garść migdałów. Następnie miała do wyboru jagnię, przysłane z farmy w majątku dwa dni wcześniej, za którym przepadał Maitre d'Hotel, lub też kurczęta, które miała spożyć reszta służby na obiad nazajutrz. Teresa wybrała jagnię, przyrządzając je wedle receptury babki z pieprzem i odrobiną czosnku, tak, by było soczyste i różowe w środku, bez dodatkowych sosów. Wiedziała, że gotowe mięso będzie się po prostu rozpląwało w ustach. Nie sądziła, by markiz chciał o tak późnej godzinie jeść ser, który we Francji podawany był zawsze przed deserem, przygotowała natomiast crepe suzette, dodając do niej pomarańczowe curacao i kropelkę koniaku, również według przepisu babki. Deser wyglądał nader apetycznie na srebrnym półmisku z herbem Sare.

W międzyczasie Gennie ugotowała młode kartofle, które miały być podane z jagnięciem, oraz zielony groszek z ogrodu warzywnego, tak młody i drobny, że niemal szkoda go było łuskać ze strąków. Na półmisku obok ułożyła pół tuzina soczystych, bladzielonych szparagów.

- Mam nadzieję, że ta kolacja go zadowoli - powiedziała Teresa, gdy obie z Gennie opuszczały kuchnię. - Nie potrafię zrobić nic lepszego bez uprzedzenia.

Idąc do swojego pokoju żywiła w dalszym ciągu nadzieję, że po pierwsze markizowi zasmakuje kolacja, a po drugie, że nie będzie zbyt wypytywał o nowego szefa kuchni. Nie sądziła, by Maitre d'Hotel miał zamiar informować swojego pana natychmiast po przyjeździe, że w zamku jest nowy kucharz, choć wcale z nim na ten temat nie rozmawiała. Zdążyła się dowiedzieć, że od czasu ostatniej wizyty markiza pojawiło się i odeszło aż sześciu szefów kuchni, a przez dwa ostatnie miesiące nie było po prostu żadnego.

- Mieliśmy nadzieję, że pan nie wróci akurat wtedy do domu - powiedziała jej jedna z kobiet. - Byłby rozgniewany i może uważałby nawet, że to przez nas kolejni kucharze odchodzą z zamku. - Kobieta przerwała na chwilę, dodając urażonym tonem: - A jacy oni byli aroganccy, to wprost nie do pomyślenia!

Jeden z nich powiedział: „I wy to nazywacie życiem? Przecież tu jest zupełnie jak w grobie!”, po czym spakował manatki i wrócił do Paryża.

Teresa roześmiała się w odpowiedzi, ale kobieta stwierdziła z goryczą:

- Typowo męska opinia, i jak to każdy Francuz, myślał tylko o tym, żeby pojechać do stolicy!

Teresa położyła się do łóżka rozmyślając nadal, czy markizowi smakowała kolacja. Spała spokojnie, budząc się ze świadomością, że jeśli chce odwiedzić Le Roi, musi to zrobić bardzo wcześnie, zanim jego pan się obudzi. Teresa była zdecydowana trzymać się z dala od markiza i postanowiła nie opuszczać swojej części zamku, póki on nie wyjedzie.

Oczywiście Teresie trudno będzie obejść się bez jazdy konnej; wybierała się na przejażdżki co dzień, ponieważ stajenny, następny stary służący, wyczuł, że ona o tym marzy i sam wysunął taką propozycję. Zobaczywszy, co potrafi, pozwolił jej dosiadać wszystkich koni w stajni, a Teresa nie tylko jeździła po parku, ale skakała na nich także na terenie wyścigów, który został urządzony dla markiza, gdy był jeszcze bardzo młodym człowiekiem. Ustawione na nim przeszkody były dosyć wysokie, ale ponieważ Teresa nie miała z nimi żadnych kłopotów, stajenny zachęcał ją, żeby zabierała tam kolejno wszystkie konie.

- Sam powinienem to robić codziennie, Mademoiselle - powiedział - ale tej zimy cierpiałem na reumatyzm w nogach i mam okropne bóle, które następują tylko z nadejściem ciepłej pogody.

Teresa była zachwycona, że może jeździć konno, jednak ukoronowaniem dnia była pora, kiedy przebywała z Le Roi. Teraz mogła obejmować go ramionami, a tygrys przewracał się na grzbiet, żeby podrapała go po żebrach, trącając Teresę nosem, gdy przerywała pieszczotę, zupełnie tak samo jak Rover. Pies chodził za nią zresztą wszędzie i był bardzo zazdrosny o tygrysa, a kiedy Teresa wytłumaczyła mu, że nie może wchodzić do klatki, ale musi na nią czekać na zewnątrz, Rover skomlał i skowyczał. Wkrótce jednak przekonał się, że może zająć się czymś niezmiernie ciekawym w czasie, gdy pani jest zajęta, mianowicie badaniem nor króliczych.

- Jestem taka szczęśliwa - powtarzała sobie Teresa niemal każdego wieczora, - ponieważ czuję się bezpieczna.

Strach przed stryjem, o którym nie myślała prawie nigdy, rozwiał się niemal całkowicie. Żałowała jedynie, że nie ma z nią matki, choć podświadomie czuła, że ona wie i raduje się pobytem córki we Francji, w zamku podobnym do tych, jakie należały niegdyś do rodziny Chauffour.

Pierwsze promienie słońca ozłociły na linii horyzontu niebo, z którego znikły właśnie ostatnie gwiazdy, gdy Teresa otworzyła furtkę w ogrodzeniu Le

Roi i wśliznęła się do środka. Tygrys znalazł się przy niej w paru susach, a wtedy przemówiła do niego:

- Bonjour, bonjour, Le Roi. Mam dla ciebie wspaniałą nowinę: twój pan wrócił do domu i wyobrażam sobie, jak się ucieszysz na jego widok.

Teresa podeszła kilka kroków i usiadła na trawie, na niewielkim wzniesieniu pod kwitnącym drzewem. Zaczęła drapać tygrysa za uszami, co uwielbiał, a kiedy przysunął się bliżej, miała wrażenie, że słucha uważnie jej słów, więc mówiła dalej:

- Teraz, kiedy twój pan wrócił, nie będę mogła odwiedzać cię tak często, jak bym chciała, ale będę cię kochała jak zawsze i myślała o tobie często. A jeśli okaże się to bezpieczne, będę przychodziła do ciebie o świcie, tak jak dzisiaj, kiedy wokół jest pusto.

Teresa otoczyła nagle ramionami szyję tygrysa, kładąc głowę na miękkim futrze.

- Kocham cię, Le Roi. - powiedziała. - Obiecuj, że o innie nie zapomnisz i że nie będziesz kochał swojego pana tak bardzo, żebyś przestał kochać mnie.

Przemawiając do wspaniałego zwierzęcia Teresa wierzyła, że tygrys ją rozumie i odwzajemnia miłość, którą ona mu daje. Przytulając Le Roi do siebie jeszcze mocniej, podniosła przypadkiem wzrok. Wewnątrz ogrodzenia, tuż przy furtce, stał nieznajomy mężczyzna z wyrazem niebotycznego zdumienia na twarzy. Był to sam markiz.

Rozdział szósty

Teresa zamarła, siedząc przez chwilę w całkowitym bezruchu.

Wówczas Le Roi podniósł głowę, wstał i podszedł szybko do markiza. Znalazłszy się przy panu, tygrys stanął na tylnych łapach, opierając przednie na ramionach markiza, tak że znaleźli się twarzą w twarz. Przez parę sekund człowiek i zwierzę patrzyli sobie prosto w oczy. Potem tygrys opadł na ziemię i otarł się czule o nogi markiza.

Teresa podniosła się również i zrobiła parę kroków w stronę markiza niepewna i zakłopotana, świadoma, że musi przejść koło niego, jeśli chce wyjść z ogrodzenia przez znajdującą się za nim furtkę. Kiedy podeszła bliżej, markiz odezwał się gniewnie:

- Jak pani się tu dostała? Chyba zdaje sobie pani sprawę, że to zwierzę jest groźne?

Teresa uśmiechnęła się.

- Nie dla mnie, Monsieur. - Kim pani jest?

Dopiero w tej chwili Teresa uświadomiła sobie, że powinna była złożyć ukłon, więc dygnęła, nim odpowiedziała:

- Jestem nowym szefem kuchni, Monsieur.

Brwi markiza uniosły się tak wysoko, że zdawały się niemal dotykać okalającej czoło linii ciemnych włosów.

- Nowym szefem kuchni? - powtórzył, jakby chcąc się upewnić, że dobrze usłyszał. Po krótkiej przerwie dodał: - Wobec tego to pani ugotowała wczorajszą kolację!

- Tak, Monsieur.

Markiz zlustrował ją od stóp do głów, przyglądając się smukłej postaci w prostej sukience z muślinu. Teresa wiedziała, że wygląda jeszcze młodziej niż zwykle, bo wstawszy o świcie, nie traciła czasu na wyszukane fryzury, tylko zaczesła włosy do tyłu i spięła w węzeł na karku. Była również zupełnie pewna, że podobnie jak Monsieur Brantome, markiz zastanawia się, czy nie chodzi o żart wymyślony przez jego przyjaciół. Teresa zrobiła następny krok w stronę furki.

- Chwileczkę! Chcę z panią porozmawiać. Proszę mi powiedzieć, dlaczego ryzykuje pani życie przychodząc do Le Roi!

. - Wydawał mi się samotny, tylko on zajmuje ogrodzenie sam jeden, bez towarzystwa - odparła Teresa bez zastanowienia. - Poza tym miałam wrażenie, że pan go opuścił.

Słyszając własne słowa, Teresa pomyślała, że robi wielki błąd wyrażając tak szczerze swoje zdanie. Jednakże jej reakcja była spontaniczna, nie inaczej odpowiedziałaby własnej matce.

- Jak się pani nazywa?

Pytanie zostało zadane ostrym tonem. Teresa przypuszczała, że ten sposób mówienia jest charakterystyczny dla markiza.

- Teresa... Beauvais.

Zawahała się nieznacznie przy nazwisku. Była wytrącona z równowagi tym, że markiz odkrył ją u Le Roi i o mało nie odpowiedziała Holme.

- Proszę mi więc wyjaśnić, Mademoiselle Beauvais, jak to się dzieje, że w pani wieku potrafi sobie pani poradzić z ujarzmianiem dzikich zwierząt, a już zwłaszcza tygrysa, którego zachowanie najtrudniej przewidzieć.

Teresa chciała odpowiedzieć zgodnie z prawdą, że po prostu darzy go miłością. Ale zaraz uświadomiła sobie, że rozmawia z człowiekiem, który z pewnością nie zrozumie, o co jej chodzi. A myśląc o markizie jako o swoim pracodawcy i o panu Ze Roi przypominała sobie, że przyjechał on z Paryża! Nie wiedziała nawet, że w tejże chwili zeszytniała, a jej oczy zmieniły zupełnie wyraz. Markiz, który był człowiekiem bardzo spostrzegawczym, zorientował się natychmiast, że w spojrzeniu Teresy nie ma już nieśmiałości, z jaką odpowiedziała, kiedy zwrócił się do niej po raz pierwszy, ale wyraźna niechęć. Jednocześnie Teresa nie mogła się oprzeć myśli, że markiz jest szalenie przystojny, reprezentując przy tym oryginalny typ urody. Ze swoimi ciemnymi, zaczesanymi do tyłu włosami i wysokim czołem, z regularnymi rysami i ciemnymi brwiami, w Anglii zostałby natychmiast uznany za cudzoziemca. Teresę zastanowił jednak przede wszystkim przenikliwy wyraz oczu markiza. Przyglądał się dziewczynie, jakby potrafił patrzeć w głąb, jakby umiał rozszyfrować jej kamuflaż i dotrzeć do prawdy. Teresa nie miała jednak ochoty rozmawiać z nim dłużej, niż to było konieczne.

- Ponieważ wstał pan tak wcześnie, Monsieur, muszę wrócić do zamku, żeby przygotować panu śniadanie - oświadczyła.

- Mamy na to mnóstwo czasu - odparł markiz - i nie odpowiedziała mi pani na pytanie. Jakim cudem zdołała pani oswoić do tego stopnia Le Roi? A może pracowała pani wcześniej z dzikimi zwierzętami, na przykład w cyrku?

Pomysł był tak zabawny, że Teresa roześmiała się mimo woli.

- Nie, Monsieur, nie mam na swoim koncie tak romantycznych przeżyć. Co więcej, przed spotkaniem z Le Roi nie widziałam nigdy żywego tygrysa.

- W takim razie - stwierdził markiz - nie rozumiem, jak mogła pani wejść do ogrodu wiedząc, że naraża się pani na niebezpieczeństwo okaleczenia, jeśli nie zabicia.

Widząc, że nie uda jej się uniknąć odpowiedzi, Teresa zmuszona była wyjaśnić:

- Rozmawiałam z Le Roi, mówiłam do tygrysa tak długo, aż nabrałam pewności, że mogę mu zaufać.

- Mówiła pani do niego? Cóż to znaczy? Czy mam rozumieć, że podobnie jak Cyganie zna pani jakieś magiczne zaklęcia, dzięki którym zwierzę pani słucha?

Teresa obrzuciła go szybkim spojrzeniem, zdziwiona, że słyszał o sposobach Cyganów.

- Zawsze pragnęłam się dowiedzieć, na czym polega magia Cyganów. I myślę, że chodzi nie tyle o słowa, które wypowiada się do zwierząt, ile o ton głosu, no i oczywiście o wibracje, o fale, które im posyłamy.

Mówiąc to, Teresa myślała o ptakach, podniosła więc podświadomie oczy, patrząc na drzewa ponad głową.

- A więc uprawiała pani to już wcześniej - stwierdził markiz. – Odkąd Le Roi do mnie należy, nie widziałem nigdy, żeby pozwolił się dotknąć komuś innemu.

W czasie całej tej rozmowy tygrys ocierał się nadal o markiza, który drapał go za uszami, co Le Roi uwielbiał. Teresa popatrzyła na tygrysa i jej oczy zalśniły czułością.

- Jakiż on jest piękny! - powiedziała. - Jak pan mógł znieść rozłąkę z nim przez dwa lata?

Zastanawiała się tylekroć nad tym pytaniem, że teraz zadała je odruchowo. A ponieważ odpowiedź na nie była oczywista, ogarnął ją gniew, który budził się w Teresie zawsze na myśl o Paryżu, więc ze wzrokiem utkwionym nadal w Le Roi dorzuciła:

- Czy kto... kolwiek w Paryżu może być piękniejszy od niego? Czy cokolwiek w tym okropnym, haniebnym miejscu może być równie urocze jak ten zamek?

Pytania zdawały się padać z jej ustach bez udziału woli. Jednakże w następnej chwili Teresa uświadomiła sobie, co powiedziała, a ponieważ nie miała zamiaru niczego wyjaśniać, ani za nic przeproszać, otworzyła furtkę zamkniętą uprzednio przez markiza i wymknąwszy się przez nią pobiegła tak szybko, jak mogła, do drzwi w murze. Dopadła do zamku całkiem bez tchu i

pospieszyła na górę. Gennie, która dopiero co skończyła się ubierać, wiązała właśnie biały fartuch wokół pasa.

- Więc panienska już wstała, Milady! - wykrzyknęła. - Aj a szłam panienkę obudzić. Pomyślałam sobie, że powinnyśmy być gotowe na wypadek, gdyby Monsieur le Marquis miał zwyczaj wstawać wcześniej, choć bardzo w to wątpię.

- Jest już na nogach - odparła Teresa - a ja schodzę do kuchni.

Wyrzuciła z siebie te słowa dość gwałtownie, a widząc, że Gennie patrzy na nią zdziwiona i nie chcąc odpowiadać na żadne pytania, pobiegła w kierunku schodów prowadzących w rejony kuchni.

Poprzedniego wieczora przed pójściem do łóżka Teresa przygotowała wszystko, co potrzebne do upieczenia rogalików, które markiz zechce zapewne zjeść na śniadanie. Ale teraz pomyślała, że skoro wstał tak wcześniej, będzie przypuszczalnie głodny, więc postanowiła go zadziwić podając angielskie śniadanie. Pracowała szybko, ze zręcznością, której nauczyła się od babki, komponując dania, jakie polecała podawać matka, kiedy ojciec był w domu.

Prócz różnych potraw z jaj była też ryba z ryżem i jarzynami, oraz grzyby, które ogrodnik przyniósł właśnie do kuchni, a także kurze udka pozostałe z lunchu poprzedniego dnia i uświetnione specjalnym sosem. Teresa umieściła to wszystko na srebrnych, zdobnych herbem półmiskach do zakąsek, pod którymi na szczęście można było zapalić świece, tak że jedzenie nie stygło. Zdążyła ustawić właśnie ostatni półmisek i zajrzeć do dzbanka z kawą, który stał na gorącym piecu, gdy Maitre a" Hotel przesłał jej wiadomość:

- Monsieur jest gotowy zjeść petit dejeuner.

- Dziś nie będzie ono wcale takie petit - chciała zażartować Teresa, zarazem jednak obawiała się, że markiz może być na nią zły - po pierwsze weszła do ogrodu Le Roi, a po drugie odzywała się do niego impertynencko.

- Dlaczego nie ograniczyłam się do mówienia: Oui, Monsieur i Non, Monsieur! - wyrzucała sobie ponieważ.

Teresa nie rozważała z góry, jak zachowa się przy pierwszym spotkaniu z markizem, ale oczywiście nie zamierzała rozmawiać z nim tak, jak to zrobiła. Jeśli w ogóle o nim myślała, to z odrazą, ponieważ w pojęciu Teresy markiz należał do tej samej kategorii mężczyzn, co jej ojciec. Od dnia przyjazdu pogardzała markizem za to, że opuścił swoje zwierzęta i dom rodzinny, by tracić czas na rozpustne kobiety, nie mówiąc o tym, że wydał zapewne fortunę, obdarowując je futrami i biżuterią.

- Jest odrażający! - powtarzała sobie.

Była tak szczęśliwa mogąc w czasie nieobecności markiza bawić się z Le Roi i dosiadać jego koni, że osoba właściciela zniknęła stopniowo z jej myśli. Jednakże teraz, kiedy przygotowywała dla markiza posiłek, miała ostrą świadomość jego obecności w zamku. Zdążyła się zorientować, że markiz jest człowiekiem o silnej osobowości i nie można w żadnym wypadku zaliczyć go do pustych bawidamków, co chciała wcześniej zrobić.

W tym momencie poczuła ostre ukłucie w sercu na myśl, że ponieważ zachowała się zuchwale, markiz może ją zwolnić.

- Co pocniemy, jeśli on to zrobi? - zadała sobie pytanie. Przyszło jej do głowy, że - czego nigdy by nie przypuszczała - rozstanie z zamkiem byłoby dla niej rozdzierające.

Zabrawszy rogaliki i kawę na śniadanie dla siebie i Gennie, Teresa podążyła w stronę pokoju, gdzie jadały we dwie.

Otworzyła drzwi i przekonała się ze zdziwieniem, że garderobiana rozmawia z jakimś nieznajomym. Gennie podeszła prędko do drzwi, wypychając niemal Teresę na korytarz i informując ją szeptem:

- Nie jemy już tutaj, proszę stąd odejść, panienko. - Ale dlaczego? - spytała Teresa.

- Bo tu jada osobisty lokaj pana markiza. My możemy jeść w małym saloniku, przeznaczonym do pisania listów.

- Nie bardzo rozumiem, o co właściwie chodzi - stwierdziła Teresa.

- Uzgodziłam wszystko z Maitre'em d'Hotel- odparła Gennie. - Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem i zrozumieliśmy się od razu.

Widząc, że Teresa patrzy na nią z powątpiewaniem, Gennie wyjaśniła:

- To nie jest w porządku, żeby panienka siadała do stołu z lokajami i innymi służącymi. A co panienka robi, jeśli on się spoufali?

Teresa pojęła, nie pytając o to nawet, że lokaj markiza musi być młodym człowiekiem. Pozwoliła więc Gennie wziąć tacę i udały się obie do saloniku, gdzie siadywali dawniej goście pragnący napisać list spokojnie i bez przeszkód. Pokój był pięknie urządzone, posiadał też duże, wygodne biurko oraz niewielki okrągły stół, przy którym mogły jadać. Teresa pomyślała, że salonik jest w gruncie rzeczy o wiele atrakcyjniejszy od pokoju, w którym jadały poprzednio.

Kiedy kończyły pić kawę, w drzwiach pojawił się Maitre d'Hotel, mówiąc:

- Monsieur le Marquis pragnie z panią porozmawiać, Mademoiselle Beauvais.

Teresa poczuła, że serce jej zamiera ze strachu.

- Gdzie znaj dę pana markiza? - spytała.

- W jego ulubionym pokoju, który sąsiaduje z biblioteką i gdzie Monsieur przebywa zawsze, kiedy jest sam.

Teresa podążyła więc korytarzem do drugiej części zamku, gdzie mieściła się biblioteka, czując się trochę jak uczennica, która spodziewa się reprimendy. Odkryła już wcześniej ten ulubiony pokój markiza, podczas pierwszego zwiedzania zamku, i uważała, że jest on wyjątkowo przyjemny; piękne biblioteczki na książki i szereg obrazów przedstawiających konie, nadawały mu wybitnie męski charakter. Wszedłszy do pokoju zastała markiza siedzącego za zdobnym biurkiem w stylu Ludwika XIV, ale na jej widok wstał i podszedł do kominka, gdzie, jak zauważyła Teresa z satysfakcją, ustawiono kwiaty, ponieważ było już zbyt ciepło na rozpalanie ognia. Pomyślała, że ogrodnicy musieli dostarczyć je wczesnym rankiem, a do południa we wszystkich pokojach, z których będzie korzystał markiz, staną zapewne wielkie wazony wypełnione kwiatami, o czym marzyła od początku.

Teresa podeszła do markiza mając wrażenie, że przebywa długi dystans, ponieważ czuła na sobie jego uważne spojrzenie. Złożywszy mu ukłon, odezwała się:

- Monsieur, pan po mnie posłał?

- Może pani usiądzie, Mademoiselle Beauvais.

Mówiąc to, wskazał dziewczynie krzesło obite kunsztownie haftowaną materią. Teresa usiadła nerwowo na samym jego brzegu, podnosząc oczy na markiza, który uśmiechnął się niespodziewanie.

- No dobrze - powiedział - więc proszę mi teraz wyznać, o co właściwie chodzi i czy znalazła się pani w zamku w efekcie jakiegoś zakładu, czy też może jest to rodzaj reklamy i cała historia zostanie opisana w gazetach?

Teresa zeszywniała.

- Ależ nic takiego się nie dzieje, Monsieur!

- Czemu wobec tego udaje pani szefa kuchni?

- Jeśli moje potrawy nie zadowolają pana, Monsieur, pozostaje mi oczywiście tylko przeprosić i odejść.

- Wie pani doskonale, że trudno byłoby skrytykować cokolwiek w kolacji podanej mi wczoraj wieczorem - odparł markiz - czy też w tym angielskim śniadaniu, które właśnie skończyłem!

A więc markiz zorientował się, że jest to angielskie śniadanie. Teresa, zdziwiona, spojrzała na niego pytająco.

- Maitre d'Hotel powiedział mi, że przed przyjazdem do Francji przebywała pani ze swoją pomocnicą w Anglii - wyjaśnił markiz.

Teresa milczała. Wiedziała, że służba zacznie nieuchronnie zadawać pytania Gennie, a nie było powodu, żeby mówić nieprawdę.

- Czekam na odpowiedź.

- Nie mam nic do powiedzenia, Monsieur.

- Nie sądzi pani chyba, że to mnie zadowoli! Zaczniemy jeszcze raz od początku. Jeśli zapragnęła pani przyjechać tutaj, by żyć ukryta przed światem w zamku położonym w najdalszym i najbardziej odizolowanym zakątku Francji to musi istnieć po temu ważny powód.

- Powód jest bardzo prosty, Monsieur. Szukałam pracy, a kiedy pokazałam pańskiemu sekretarzowi, Monsieur Brantome, swoje referencje, zaangażował mnie natychmiast.

- Uprzedzając, dokąd zamierza panią wysłać?

- Aleja właśnie takiego miejsca szukałam - odrzekła Teresa. - Lubię życie na wsi, a już z całą pewnością nie chciałam pozostać w Paryżu.

Zakończyła zdanie mimo woli twardszym i ostrzejszym tonem. Po chwili milczenia markiz spytał spokojnie:

- Co takiego zrobił pani Paryż? Musiał czymś zasłużyć na ten ton głosu.

- Spędziłam w Paryżu zaledwie jedną noc.

- W takim razie skąd pani wiedziała, że mój sekretarz szuka szefa kuchni?

- Dama, w której towarzystwie podróżowałam pociągiem z Calais, powiedziała mi, że potrzebuje pan często kucharzy do swoich zaników.

- Zna pani nazwisko tej damy?

- Celeste St. Clair.

Błysk w oku był jedynym potwierdzeniem, że markiz wie, o kim mowa. Dla Teresy stało się jednak jasne, że Celeste St. Clair usiłowała odegrać się w jakiś niezrozumiały sposób na markizie.

- Więc to Celeste St. Clair zasugerowała, żeby poszukała pani pracy u mnie. Czy zna ją pani dobrze? Teresa potrząsnęła głową przecząco.

- Nie, Monsieur. Po prostu podróżowałyśmy obie w tym samym przedziale do Paryża.

- Spędziła pani w moim zamku trzy tygodnie. Z pewnością musi pani uważać, że jest to odludne miejsce.

Markiz wypowiedział to zdanie tak, jakby pragnął, żeby Teresa się z nim zgodziła, ale ona odparła szybko:

- Każda spędzona tutaj minuta była cudowna. Jest to najpiękniejsze miejsce, jakie zdarzyło mi się widzieć! Więc proszę, niech mi pan pozwoli tu zostać, Monsieur.

- Bez precyzowania terminu? - Na zawsze!

Markiz spojrział na nią ze zdumieniem, stwierdzając:

- Chyba nie mówi pani tego poważnie. Jest pani młoda i atrakcyjna. Skąd ta awersja do Paryża? I dlaczego młoda kobieta z pani urodą chciałaby się zagrzebać na prowincji, pośród starych służących, którzy są jedną nogą w grobie?

Markiz zamilkł, oczekując wyraźnie komentarza z jej strony i Teresa myślała szybko, jak powinna mu odpowiedzieć.

- Mówiłam panu, że czuję się tu bardzo szczęśliwa, Monsieur - odrzekła w końcu. - A moja pomocnica podziela te uczucia.

- Pani pies przypuszczalnie także je podziela! Teresa zadbała o to, by Rover został z Gennie, w nadziei, że markiz będzie nieświadomy jego istnienia. Ale w tej że chwili przypomniała sobie, że kiedy wybiegła z ogrodu Le Roi, Rover pokazał się od strony drzew, gdzie usiłował rozkopać jeszcze jedną norę króliczą, po czym pobiegł w ślad za swą panią do furki w murze.

- To bardzo grzeczny piesek - powiedziała szybko.

- Skoro ja mam swoje zwierzęta, Mademoiselle, pan również powinna mieć prawo do swoich!

Teresa popatrzyła na niego zmieszana i markiz odezwa się ponownie:

- Może ma pani rację, jeśli chodzi o Le Roi. Rzeczywiście wydawał się bardzo uradowany z mojego przyjazdu. - Teresa milczała, więc markiz kontynuował: - Robiono mi wyrzuty z różnych powodów, Mademoiselle Beauvais, ale po raz pierwszy ktoś zbeształ mnie za zaniedbywanie tygrysa!

Sądząc, że markiz sobie z niej żartuje, Teresa odparła szybko:

- Jestem przekonana, że zwierzę wychowywane przez kogoś od urodzenia traktuje taką osobę jak rodzica. Człowiek staje się dla niego prawdziwą matką czy ojcem, od którego oczekuje rodzicielskiej miłości i oddania. Miałam sama tego rodzaju doświadczenie ze źrebakiem, którego wychowałam.

- I gdzież jest teraz ten źrebak? - spytał markiz. - W Anglii.

- Opuściła go pani?

- ... Nie miałam... innego wyboru.

Teresa nie zdołała opanować nagłego drżenia głosu namyśl o tym, jak ciężkie było rozstanie z końmi, które były jedynymi jej towarzyszami, kiedy po ostatecznym wyjeździe ojca wiodła ciche i spokojne życie z matką w domu rodzinnym, a zwłaszcza wtedy, gdy matka zachorowała.

- Przypuszczam, choć nikt mi tego nie mówił, że od chwili przyjazdu do zamku jeździ pani również moimi końmi - powiedział markiz.

Teresa podniosła na niego oczy nie zdając sobie nawet sprawy, że patrzy błagalnie.

- Pomagałam tylko utrzymać je w dobrej formie, Monsieur - odparła - i dbałam, żeby brały codziennie wszystkie przeszkody.

- Musiały się pani wydać bardzo wysokie? Teresa potrząsnęła głową.

- Nie, konie przywykły do tej wysokości i myślę, że można by podnieść trochę poprzeczki.

Zupełnie niespodziewanie, markiz wybuchnął śmiechem odrzucając głowę do tyłu. Teresa spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Po prostu trudno mi w to uwierzyć! - powiedział. - Przyjeżdżam do domu po dłuższej nieobecności i dowiaduję się, że młoda kobieta, która - jak sama twierdzi - jest nowym szefem kuchni, zdążyła oswoić mojego dzikiego tygrysa, dosiada moich koni i wprowadziła zapewne w majątku niejedną innowację, o czym przekonam się we właściwym czasie.

Teresa złożyła ręce, zaciskając dłonie.

- Proszę o wybaczenie, Monsieur, jeśli uważa pan to za impertynencję z mojej strony, ale pana nie było i wszyscy sprawiali wrażenie, że czują się zapomniani...

- I naprawdę sądzi pani, że takie życie zadowoli panią na dłużej?

- Jestem tego pewna!

- W takim razie, Mademoiselle, pozostaje mi tylko udzielić pani błogosławieństwa i oznajmić, na wschodnią modłę, że wszystko, co posiadam, należy do pani!

- Czy to znaczy, że mogę nadal jeździć konno?

- Jeśli ma pani na to ochotę.

- I nie zabroni mi pan kontaktów z Le Roi? Markiz roześmiał się.

- Nie będę nawet radził, żeby pani uważała, bo nie ma takiej potrzeby.

- Myślę, że Le Roi mi ufa - odrzekła Teresa z uśmiechem - i jestem ogromnie wdzięczna, Monsieur, iż pan zrobił to samo.

Uznawszy widać, że rozmowa jest zakończona, Teresa wstała, ale markiz powiedział:

- Jeszcze mi pani nie wyjaśniła, dlaczego opuściła pani Anglię.

Widząc, że Teresa milczy, dodał po chwili:

- Dobrze, nie będę nalegał na odpowiedź, a jeśli przybyła pani do zamku, żeby się w nim ukryć, sądzę, że nigdzie nie znajdzie pani bezpieczniejszego schronienia.

Teresa drgnęła gwałtownie słysząc jego słowa, a podniósłszy oczy na markiza zrozumiała, że powiedział to umyślnie, chcąc zobaczyć jej reakcję. Nie było sensu udawać.

- To prawda, szukałam ukrycia - przyznała, - i rzeczywiście czuję się tu bezpiecznie.

- Nie zdołam pani namówić, żeby mi pani zaufała i wyznała, czego się pani boi? - Widząc, że Teresa potrząsa głową, markiz dorzucił: - Albo dlaczego nienawidzi pani Paryża?

Wdzięczna, że markiz nie zmusza jej do wyjawienia powodów, dla których się ukryła, Teresa odpowiedziała:

- Między innymi dlatego, że w pogoni za uciechami życiowymi Francuzi, idąc za przykładem Wenecji, dążą do własnej zguby. Wydają się zupełnie nieświadomi, iż nieprzyjaciel stoi u wrót i że w każdej chwili mogą zostać pogromieni.

Teresa mówiła tak, jak mogłaby odpowiedzieć na pytanie własnej matce. Skończywszy, dostrzegła nagle, że markiz zeszywniał i patrzy na nią zwięzonymi oczami.

- Czemu pani tak mówi? - zapytał ostrym tonem. - Kto pani powiedział, że nieprzyjaciel stoi u wrót?

Teresa zarumieniła się.

- Mieszkałam w Anglii, to prawda - przyznała - ale moja matka dostawała co tydzień francuskie dzienniki. Czytałam je wszystkie, od „Le Jour” do tych najbardziej rewolucyjnych.

- I co pani w nich wyczytała?

Teresa pomyślała, że skoro zaczęła, wypada dokończyć, tym bardziej że markiz wyraźnie pragnął wysłuchać jej opinii.

- Moja mama pewna była dwóch rzeczy. Po pierwsze tego, że Prusy wcześniej czy później zaatakują zbrojnie Francję, zamierzając ją pobić. A po drugie, że niezadowolenie wśród tragicznie opłacanych francuskich robotników doprowadzi w końcu do następnej rewolucji.

W słowach Teresy nie było pokory, brzmiała w nich nawet nuta wyzwania, ponieważ uważała, że markiz, podobnie jak jej własny ojciec, trwoni czas i pieniądze na kobiety, zamiast myśleć o niebezpieczeństwie grożącym krajowi. Posłała mu przy tym spojrzenie oczami pociemniałymi z pogardy. Markiz milczał przez chwilę, zbyt zdumiony, by odpowiedzieć. Następnie zapytał:

- Jak to możliwe, że orientuje się pani w tych sprawach, skoro mieszkała pani w Anglii?

- Wspomniałam już, Monsieur, że czytałyśmy gazety, a choć moja matka nie utrzymywała kontaktów ze swoimi krewnymi we Francji, miała rodzaj wyczucia czy intuicji, właściwie niemal jasnowidzenia na temat kraju, który kochała.

- A pani myśli tak samo?

- Ja wiem tylko, że nienawidzę Paryża, który szczyci się swoimi szaleństwami i ekstrawagancjami, a nie potrafi spojrzeć prawdzie w oczy - odparła Teresa i jakby czując, że powinna skończyć to, co zaczęła, dodała: - Teraz rozumie pan pewnie, dlaczego pragnę pozostać tutaj, gdzie nic nie zbruka piękna, które pochodzi od Boga.

Głos Teresy drżał lekko, kiedy myślała o tym, jak jej ojciec potrafił zbrukać nie tylko to, co było piękne i dobre, ale nawet modlitwy matki. Ku zdziwieniu Teresy markiz usiadł w jej pobliżu i spytał łagodnie:

- Kto panią skrzywdził? Co sprawiło, że nienawidzi pani z taką gwałtownością wszystkiego, co ma związek z Paryżem? Czy winę za to ponosi jakiś mężczyzna?

Teresa zerwała się na równe nogi jak spłoszona łania.

- Nie zamierzam rozmawiać z panem na ten temat, Monsieur. - odpowiedziała. - Jestem pewna, że wypytywanie personelu o tego typu sprawy nie jest wcale stosowne, a poza tym czeka na mnie praca i chciałabym do niej wrócić.

Nie podnosząc oczu, Teresa dygnęła i pospieszyła do drzwi, ale kiedy się przy nich znalazła, markiz odezwał się ostro:

- Chwileczkę, Mademoiselle!

Teresa zatrzymała się niechętnie, z ręką na klamce i spostrzegła, że markiz stoi z utkwionym w nią spojrzeniem.

- Nie skończyliśmy bynajmniej naszej rozmowy - oznajmił. - A ponieważ jestem zainteresowany tematem, pozwolę pani odejść teraz, skoro czeka na panią praca, ale pragnę kontynuować naszą rozmowę później. Czy wyraziłem się jasno?

Teresa wciągnęła gwałtownie powietrze. Miała ochotę sprzeciwić się, powiedzieć markizowi, że jej miejsce jest w kuchni, ale słowa nie chciały Teresie przejść przez gardło. Ostatecznie, zła sama na siebie za uległość, ograniczyła się do potwierdzenia:

- Dobrze, Monsieur, oczywiście przyjdę, kiedy pan mnie wezwie.

Z tymi słowy wyszła z pokoju i dopiero znalazłszy się za drzwiami zaczęła biec po korytarzu i po schodach, aż dotarła do saloniku, gdzie czekali na nią Gennie i Rover.

Po przygotowaniu znakomitego lunchu dla pana zamku, Teresa zjadła własny posiłek z Gennie, a gdy go kończyły, Maitre d'Hotel przekazał następne polecenie od markiza dla Teresy.

- Monsieur de Marquis życzy sobie, żeby stawiała się pani w stajniach, ponieważ zamierza udać się na teren wyścigów.

Zanim Teresa zdążyła się odezwać, Gennie zwróciła się do niej szeptem:

- Proszę mu powiedzieć, że panienka jest niedysponowana. Nie ma prawa wymagać od panienki podobnych rzeczy.

- Aleja chcę jeździć konno - odparła Teresa.

- Przecież nie z markizem! Nie dopuszczę do tego! Musimy stąd wyjechać!

Maitre d'Hotel czekał, więc Teresa powiedziała:

- Proszę przekazać Monsieur le Marquis, że przyjdę do stajni, kiedy tylko się przebiorę.

Ledwie drzwi się zamknęły, Gennie zerwała się na równe nogi, oświadczając:

- Po moim trupie, Milady! Nie będzie panienka miała nic wspólnego z tym człowiekiem! Idę zaraz na górę pakować nasze kufry!

- Nie bądź niemądra! - odparła Teresa - markiz nie jest mną zainteresowany, intryguje go tylko fakt, że coś ukrywam. - Przerwała na chwilę, dodając: - Właściwie po tym, co mu powiedziałam rano, nie byłoby wcale dziwne, gdyby mnie uznał za szpiega!

- Za szpiega? - powtórzyła Gennie.

- Wydało mu się bardzo dziwne, że wiem tyle o Francji i o zamierzeniach Prus, a pamiętasz przecież, jak często mama rozmawiała ze mną na ten temat.

- Wszystko jedno! Tak czy inaczej cała ta sprawa wyraźnie mi się nie podoba - oznajmiła Gennie z przekonaniem. - Cokolwiek by panienka mówiła, to jest Francuz, a wiadomo, że żadnemu Francuzowi nie można ufać!

- Anglikowi również nie można! - dodała ostro Teresa. - Oni wszyscy są tacy sami, Anglicy, Francuzi, Chińczycy, i wiesz dobrze, że wszystkich ich nienawidzę!

Ale Gennie wiedziała swoje. Weszły obie na górę, a kiedy Teresa zaczęła się przebierać w strój do konnej jazdy, stara garderobiana odezwała się znowu:

- Powiem tylko, że albo markiz wyjedzie szybko, albo my się stąd zabierzemy!

- Nie zamierzam cię wcale słuchać! - odparła Teresa.

Zbiegając z wąskich schodów, prowadzących do stajni, pomyślała jednak, że Marquis de Sare zachowuje się nietypowo wobec nowego szefa kuchni. Niemniej postanowiła nie spierać się z nim, o ile tylko okaże się to możliwe.

- Chcę tu zostać! Tak bardzo chcę tu zostać! - powtarzała sobie.

Patrząc na konie markiza, które wyprowadzano kolejno ze stajni na dziedziniec, Teresa wiedziała, że rozstanie z nimi byłoby równie bolesne, jak

rozstanie z jej własnymi końmi w Anglii. W dodatku tutaj trzymało Teresę na uwięzi coś więcej, a mianowicie Le Roi.

Markiz zwrócił się do Teresy przy stajennych, jakby chciał im wyjaśnić, dlaczego życzył sobie, by z nim jechała.

- O ile dobrze zrozumiałem, Mademoiselle - powiedział sucho - dosiadała pani tych koni, dbając o ich dobrą formę w czasie mojej nieobecności. Chcę się upewnić, że potrafi pani jeździć na nich w taki sposób, w jaki powinno się to robić.

- Rozumiem, Monsieur - odparła Teresa tak samo chłodno. - Mam nadzieję, że nie popełnię zbyt wielu błędów w sztuce konnej jazdy.

Nie spojrzawszy nawet na markiza, Teresa skierowała się na teren wyścigów. Markiz ruszył jej śladem, a za nim stajenni, prowadząc inne konie, które miały przejść kolejno tor przeszkód. Rozpocząwszy przebieg, Teresa zapomniała o wszystkim, przepelniona radością, jakiej dostarczała jej jazda na rumaku wspanialszym od wszelkich koni, których kiedykolwiek dosiadała. Pokonała wszystkie przeszkody w pięknym stylu, mając niemal stopę zapasu, a powracając do markiza wiedziała, że spisała się bezbłędnie. Nie prosząc go nawet o aprobatę zsiadła i czekała, aż stary stajenny przyprowadzi jej następnego konia, na którym miała jechać.

Zanim jednak do tego doszło, sam markiz rozpoczął przebieg oraz skoki i choć Teresa powtarzała sobie, że go nienawidzi, musiała zarazem przyznać, że markiz jest on jednym z najlepszych jeźdźców, jakich zdarzyło jej się widzieć, o ile nie najlepszym. Zdawało się, że tworzy całość z rumakiem, choć dosiadał jednego z młodych koni, który nie był tak pewny siebie, jak inne. Obserwując markiza Teresa uświadomiła sobie, że osiągnął w tej dziedzinie mistrzowski poziom, a gdy ukończył przejazd, powstrzymała się z trudem od złożenia mu gratulacji.

Wiedziała jednak, że byłoby to całkowicie niewłaściwe. Zrozumiawszy, że będą jeździć na zmianę, rozpoczęła następny przebieg; zdecydowana była pokazać markizowi, że radzi sobie na koniu równie dobrze jak on. Wszystko to trwało długi czas, a gdy ostatni koń ukończył jazdę, Teresa pomyślała, że tak wspaniałych zwierząt nie znalazłoby się nigdzie we Francji ani w Anglii. Kiedy wracali do stajni, markiz zwrócił się do niej po raz pierwszy, odkąd zaczęli przejazdy, mówiąc:

- Teraz pozostało mi tylko rozbudować stajnie i zamierzam polecić, by rozpoczęto roboty natychmiast!

- Dlaczego chce pan to zrobić?

- Dlatego, że wysłuchawszy dziś rano pani opinii na temat Francji i Prus, a także dlatego, iż w pełni się z panią zgadzam, postanowiłem sprowadzić tutaj wszystkie moje konie trenowane w Chantilly, oraz te, które trzymam w Paryżu.

Teresa spojrzała na niego zaskoczona. . - Wobec tego pan także musi wierzyć, że niebezpieczeństwo jest bliskie?

- Stwierdziła pani, że wróg stoi u wrót.

- To była przenośnia!

- Która niestety jest również realnym obrazem sytuacji. Teresa odetchnęła głębiej.

- Więc pan naprawdę sądzi, że konie będą bezpieczniejsze tutaj?

- Jestem o tym przekonany - odparł markiz. - Zamek znajduje się tak bardzo na uboczu, że zapomniano o nim w czasie rewolucji i pominięty był zarówno przez Napoleona, jak przez angielską armię Wellingtona.

- Miał pan szczęście!

- Wielkie szczęście. Ale wie pani, jak to się mówi? Do trzech razy sztuka. Więc mam nadzieję, że trzeci raz z rzędu zamek Sare będzie miał również szczęście.

- Będę się modliła, żeby tak się stało - powiedziała Teresa cicho.

- W każdym razie nie zamierzam ryzykować - oświadczył markiz. - W związku z czym sprowadzę z Paryża nie tylko konie, ale też inne moje skarby.

- Może się to okazać bardzo rozsądne - rzekła Teresa. - Ale niewykluczone, Monsieur, że jesteśmy niepotrzebnie ; pesymistami.

Markiz odwrócił głowę, żeby popatrzeć na Teresę. Był bardzo blisko, ponieważ konie szły koło siebie.

- Mam dziwne uczucie - jakkolwiek niełatwo przyszłoby mi je sprecyzować - że choć pani słowa potwierdzają moje przypuszczenia, potrzebny mi był bodziec w postaci czyjejś ręki wskazującej właściwy kierunek i głosu, który powiedziałby mi: „teraz!”, kiedy przyjedzie moment by ruszyć do akcji. Otóż pani tego właśnie dokonała, Mademoiselle.

- Cieszę się, że mogłam panu w czymś pomóc - odrzekła Teresa.

Miało to być chłodne i obojętne stwierdzenie, tymczasem wypowiedziała je miękko i niemal bez tchu, a w głosie Teresy zabrzmiała wyraźnie nuta podekscytowania.

Rozdział siódmy

w dzisiejszej gazecie napisano, że paryskie praczki dostają dwa franki dziennie, a szwaczka ma szczęście, jeśli uda jej się zarobić trzy lub pięć - oznajmiła Teresa. - Nie mogę zrozumieć, dlaczego ludzie tacy jak pan, Monsieur, nie mogą jakoś zaradzić tym przerażająco niskim płacom.

Markiz, który widział doskonale jej oskarżycielskie spojrzenie, nie odezwał się, więc Teresa podjęła:

- Pan niewątpliwie wie, że cena tysiąca sześciuset franków za suknię dla cesarzowej czy dla różnych „dam” z Paryża nie jest wcale uważana za wygórowaną.

Teresa zaakcentowała słowo „dam”, a z jej pełnego pogardy tonu nietrudno się było domyśleć, o kim mówi.

- Jednakże - zaproponował markiz właściwym sobie suchym i opanowanym tonem - dzięki temu, że cesarzowa zaczęła kupować jedwab w Lyonie, podwoiła się tam liczba tkaczek, to samo tyczy się koronkarek, a także kobiet, które wyrabiają sztuczne kwiaty.

W czasie gdy Teresa pograżyła się w rozważaniu słów markiza, on sam myślał, że nigdy jeszcze w całym swoim życiu nie ścierał się, czy też może nie dyskutował z kobietą w taki sposób, jak obecnie. Mógłby wieść podobne dysputy z którymś z przyjaciół znających zainteresowania markiza, w trakcie prywatnej rozmowy toczonej we własnym domu lub też w gabinecie jakiegoś polityka. A jednak odpięciu wieczorów, to jest od dnia przybycia do zamku, odbywał z Teresą rozmowy, czy raczej szermierkę słowną i nie myślał nawet o wyjeździe.

Dla Teresy było to niezwykle przeżycie, fascynujące i ekscytujące zarazem. Prawdę powiedziawszy, nigdy jeszcze nie czuła się tak szczęśliwa, jak od chwili przybycia markiza do zamku. Natomiast Gennie była naturalnie przerażona od pierwszego wieczoru, kiedy markiz wezwał Teresę do siebie po kolacji.

- Proszę nie słuchać jego poleceń, Milady! - powiedziała. - Niech panienka idzie prosto do łóżka, a markizowi wyjaśni, że teraz jest za późno na rozmowę i że cokolwiek ma on do powiedzenia może poczekać do jutra.

Teresa roześmiała się.

- Nie chciałby nawet tego słuchać.

Wiedziała dobrze, co Gennie o tym wszystkim myśli; każdego wieczora garderobiana czekała, aż Teresa wróci do sypialni, gdzie pomagała się panience

rozebrać i nie odeszła, nim nie usłyszała zgrzytu przekręcanego w zamku klucza.

- Markiz nie myśli o mnie jako o kobiecie, dla niego jestem szefem kuchni! - protestowała wielokrotnie Teresa.

- Szef kuchni nie chodzi do salonu, żeby toczyć rozmowy ze swoim panem! - upierała się Gennie.

Nie sposób było wytłumaczyć jej, że markiz nie traktuje Teresy ani jako kobiety, ani jako szefa kuchni. Rozmawiali po prostu o sytuacji politycznej w kontekście Francji oraz, rzecz jasna, o zwierzętach markiza.

Dla Teresy była to czysta rozkosz, musiała też przyznać, że markiz różni się diametralnie od człowieka, którego mogła się spodziewać. Cokolwiek robił przedtem w Paryżu, tutaj rozmawiał z Teresą bardzo poważnie, a mówił tak ciekawie, że słuchała go z zapartym tchem. Nigdy, najmniejszym nawet słowem czy gestem nie dał znać, że interesuje się nią jako kobietą. Chwalił kuchnię Teresy i jej umiejętności jeździeckie, zdumiewając się nadal, że zdołała oswoić Le Roi - obecnie tygrys obdarzał ich miłością na równi.

- Właściwie powinienem się czuć zazdrosny - stwierdził markiz patrząc na tygrysa, który dał susa w kierunku Teresy i otarł się o nią w identyczny sposób jak o swego pana.

- Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, że mogłabym przestać go odwiedzać, choć pewnie powinnam tak zrobić teraz, kiedy pan wrócił do domu - powiedziała Teresa, która kochała Le Roi z każdym dniem coraz bardziej i wiedziała, jak ciężko byłoby się z nim rozstać.

- Sądzę, że najlepszym wyjściem byłoby znaleźć żonę dla Le Roi - zauważył markiz - ponieważ wtedy bez wątplenia ignorowałyby nas oboje.

Teresa podniosła na niego oczy, niepewna, czy mówi poważnie.

- Naprawdę myślał pan o tym? - spytała. - Chciałbym porozmawiać z panią kiedyś na ten temat - odpowiedział markiz - ale nie ma pośpiechu.

Jego słowa mogły tylko oznaczać, że nie zamierza wyjechać w najbliższej przyszłości i Teresie serce podskoczyło w piersi. W chwili szczerości zdążyła już przyznać sama przed sobą, że przejażdżki konne w towarzystwie markiza są o niebo wspanialsze od samotnych. Co więcej, rozmowy z nim były tak porywające i tak absorbujące, że gotując kolację liczyła minuty do chwili, gdy markiz przejdzie do salonu i pośle po nią. Gennie mruczała, że Teresa zachowuje się skandalicznie i że nie powinna przebywać z markizem bez przyzwotki, ale ona na to nie zważała: kto będzie wiedział, że rozmawia z nim sam na sam? Markiz zaś nigdy nie dał Teresie do zrozumienia, że uważa ją za młodą damę z towarzystwa, wymagającą opieki.

- Gdybym występowała pod własnym nazwiskiem, sytuacja byłaby zupełnie inna - myślała Teresa.

Tego dnia, po przyjściu dzienników, zorientowała się, że artykuł dotyczący zarobków w Paryżu stanie się kontrowersyjnym tematem, a zarazem bodźcem do następnej potyczki słownej dla markiza i dla niej samej.

Teresa rozmyślała właśnie nad tym, co jeszcze wyczytała w gazetach i jak może wykorzystać te wiadomości, by rzucić następne wyzwanie markizowi, gdy drzwi otworzyły się niespodziewanie i do salonu wszedł Maitre d'Hotel.

- O co chodzi? - spytał markiz.

To zakłócenie spokoju było okolicznością dość niezwykłą, bo gdy markiz zasiadał do rozmowy z Teresą mając karafkę brandy pod ręką, służba nie pojawiała się na ogół w salonie.

- Pardon, Monsieur - powiedział Maitre d'Hotel, - ale jakiś dżentelmen pragnie się widzieć z Mademoiselle.

- Dżentelmen? Teresa zeszywniała.

- Wprowadziłem go do błękitnego saloniku, Mademoiselle. Prosił, żeby przyszła pani tam bezzwłocznie.

Teresa zbladła gwałtownie, pytając drżącym głosem:

- Czy... podał swoje nazwisko?

- Oui, Mademoiselle, powiedział, że nazywa się Milord Denholme.

Teresa wydała cichy okrzyk, a markiz polecił: - Poczekaj za drzwiami.

Maitre d'Hotel wyszedł z salonu zamykając za sobą drzwi.

Teresa zerwała się z fotela.

- Niech mnie pan ukryje! - zawołała gorączkowo - proszę pana na wszystko, niech mnie pan ukryje!

Rozejrzała się przy tym po pokoju, jakby chciała uciec przez jedno z okien do ogrodu.

- Czego ten człowiek chce od pani? - spytał markiz. Teresa puściła jego słowa mimo uszu, zastanawiając się z rozpaczą, gdzie w zamku mogłaby się schować i czy w jakiś sposób obie z Gennie zdołałyby się wymknąć nie zauważone. W następnej chwili zorientowała się jednak, że markiz czeka na odpowiedź.

- Jest moim stryjem... i legalnym opiekunem... szuka mnie, ponieważ jestem bogata... a on potrzebuje moich pieniędzy!

Wyrzuciła z siebie słowa bezładnie, po czym podeszła do okna rozumując, że jeśli wyjdzie z salonu przez drzwi, stryj może ją zobaczyć.

- Proszę usiąść - powiedział markiz spokojnie. - Poradzę sobie z tym panem.

- To niemożliwe! - odparła Teresa w desperacji. - Nic pan nie poradzi! Może pan mnie tylko ukryć... prawo jest po stronie stryja... i muszę go słuchać.

- Proszę mi to zostawić - powtórzył stanowczo markiz.

Mówiąc to zadzwonił małym złotym dzwonkiem, spoczywającym na stoliku obok. Drzwi otworzyły się natychmiast i na progu stanął Maitre d'Hotel.

- Poproś dżentelmena do salonu - polecił markiz.

- Dobrze, Monsieur.

Teresa usiłowała jeszcze protestować.

- Nie! Nie! Nic pan nie zdziała... a on zabierze mnie z powrotem do Anglii - zawołała przekonana, że najlepszym wyjściem będzie uciec z zamku i ukryć się w lesie.

W następnym momencie do salonu wszedł stryj Teresy: Maitre d'Hotel nie zaanonsował go, jakby obce nazwisko było zbyt trudne do wymówienia, a hrabia patrzył prosto na Teresę, która bezwiednie podniosła się z krzesła. Natomiast markiz nie drgnął nawet. Siedział nadal w fotelu z wysokim oparciem całkowicie rozluźniony, gdy tymczasem hrabia, ubrany w podróżny strój, podchodził coraz bliżej do Teresy z wyrazem gniewu na zażywnym obliczu.

- A więc wreszcie cię dopadłem, Tereso - powiedział zatrzymując się przy niej. - Wyprowadziłaś mnie w pole, nie ma co! Jak śmiałaś uciec cichaczem, narażając mnie na wszystkie te wysiłki i trudy podróży?

- Jakim... jakim sposobem stryj mnie znalazł?

Teresa drżała, ale duma kazała jej unieść wysoko głowę, jakby chciała pokazać stryjowi, że nie pozwoli sobą rządzić.

- Zrządzeniem losu dowiedziałem się, dokąd pojechałaś i stało się to zapewne wcześniej, niż przypuszczałaś - odparł hrabia.

- Ale... skąd się stryj dowiedział...?

Teresa grała na zwłokę, w nadziei, że wpadnie na jakiś pomysł, dzięki któremu uda jej się przeciwstawić stryjowi i nie wracać z nim do Anglii.

- Może zdziwisz się, kiedy ci powiem, że wcale nie jesteś taka sprytna, jakbyś mogła przypuszczać - oznajmił hrabia z satysfakcją. - Tak się akurat złożyło, że zapytałem mojego dobrego znajomego, lorda Ludgrove, czy nie ma do odstąpienia psa myśliwskiego, ponieważ moje są już stare. Zresztą tak czy inaczej teraz będę więcej polował i potrzebuję psa - hrabia umilkł na chwilę, po czym podjął: - Ludgrove powiedział mi, że jedyne go psa, jakiego mógł odstąpić, podarował swojej kochance, Francuzce, która mieszkała z nim w Anglii.

Teresa odetchnęła głęboko. Zaczęła wreszcie rozumieć, co się wydarzyło.

- Ponieważ nalegałem na odkupienie psa, na którym mi bardzo zależało, Ludgrove napisał do tej kobiety. Odpowiedziała, że w drodze powrotnej do Francji podarowała psa uroczej młodej dziewczynie, pannie Teresie Beauvais, która pragnęła znaleźć pracę jako szef kuchni i którą posłała do sekretarza markiza de Sare.

- A więc to w ten sposób stryj mnie odnalazł...! - wykrzyknęła Teresa.

- W ten sposób cię odnalazłem - powtórzył hrabia. - A teraz wrócisz ze mną do Anglii, żeby poślubić kuzyna Ruperta, jak to zostało postanowione i już moja głowa, żebyś więcej nie uciekła.

W głosie hrabiego dźwięczał ostry ton, świadczący o tym, jak bardzo jest na nią zły i Teresa poczuła niemal, że na przegubach zaciskają jej się kajdanki i że nie ma innej rady, niż posłuchać stryja. Spróbowała powiedzieć jeszcze raz drżącym głosem:

- Ale... ale ja nie mogę... nie poślubię Ruperta...

I w tym momencie przerwał jej markiz. Mówił po angielsku zaledwie ze śladem obcego akcentu, a jego głos, mocny i pewny, zdawał się wibrować dźwięcznie w pokoju.

- Istotnie, Milordzie, Teresa nie może w żadnym razie poślubić pańskiego syna.

Hrabia odwrócił się, by spojrzeć na markiza, jakby dopiero w tej chwili uświadomił sobie jego obecność. Twarz mu przy tym pociemniała, a pomiędzy brwiami pojawiła się zmarszczka.

- To zupełnie nie pańska sprawa, sir - oświadczył - a ponieważ znajduję moją bratanicę w salonie zamiast w kuchni, gdzie, jak rozumiem, jest przez pana zatrudniona, wyobrażam sobie, że odziedziczyła standardy moralne po ojcu lub też że zdeprawowała ją prostytutka, która podarowała bratanicy psa myśliwskiego otrzymanego od Ludgrove'a!

Słowa i ton hrabiego były niezmiernie obraźliwe i Teresa nabrała pewności, że markiz nie będzie tolerował podobnej zniewagi ani chwili dłużej i rozkaże im obojgu opuścić natychmiast zamek. Ale kiedy hrabia skończył mówić, markiz ograniczył się do uwagi wypowiedzianej suchym, beznamiętnym tonem, wskutek którego zdanie zabrzmiało nie tylko autorytatywnie, ale wręcz onieśmielająco:

- Nie mogę dopuścić, Milordzie, by nawet przez ignorancję znieważał pan moją żonę.

Przez chwilę panowała kompletna cisza. Potem oczy Teresy zrobiły się ogromne, aż zdawały się wypełniać pół twarzy, a hrabia wykrzyknął z niedowierzaniem:

- Pańską żonę? Mam rozumieć, że ożenił się pan z moją bratanicą?

Markiz podniósł się wolno z fotela.

- Żałuję, Milordzie, że pańska długa podróż okazała się bezcelowa - powiedział - ale pewien jestem, że jakiś pociąg odchodzący przed północą dowiezie pana do Paryża.

- Teresa nie może wyjść za mąż bez mojej zgody, ponieważ jestem jej prawnym opiekunem - stwierdził sztywno hrabia, jakby była to pierwsza myśl, która przyszła mu do głowy po szokującej nowinie.

- Milordzie, nie wierzę, żeby chciał pan ze mną walczyć w sądach francuskich, które z pewnością nie okażą się dla pana przychylne, a w dodatku przekona się pan, że proces będzie nużący, ciągnący się w nieskończoność i niezmiernie kosztowny.

Hrabia został pokonany i był tego w pełni świadomy. Próbował zebrać myśli, by dojść swoich praw, ale gdy wciąż jeszcze szukał słów, markiz powiedział:

- Pozwoli pan, że odprowadzę go do powozu. Mówiąc to przeszedł przez salon, a hrabia spojrzął na Teresę, jakby pragnął ją przekląć, ale nie znalazł właściwych słów. Poszedł więc śladem markiza stąpając ciężko, jakby nagle poczuł się ogromnie zmęczony i zrezygnowany. Teresa słyszała ich kroki w holu, ale markiz musiał zlecić odprowadzenie hrabiego do powozu służbie, bo prawie zaraz wrócił do salonu, zamykając za sobą drzwi.

Teresa nie ruszyła się ze swego miejsca, stała drżąca, zaciskając dłonie. Markiz ledwie na nią spojrzął, ale usiadł na zajmowanym uprzednio fotelu i przeszedł na francuski:

- Szkoda, że nie zwierzyłaś mi się ze swojego sekretu! Miałem przez to trudniejsze zadanie, ale chyba twój stryj zrozumiał, że jest bezsilny.

Markiz mówił bardzo spokojnie i Teresa zorientowała się, że wstrzymuje oddech, a ponieważ poczuła nagle, że nogi mająk z waty, usiadła na najbliższym krześle.

- Był pan cudowny...! - rzekła roztrzęsionym głosem. - Tylko teraz musi mi pan pomóc... wskazać, dokąd mogę pójść, bo kiedy stryj odkryje, że powiedział mu pan nieprawdę, wróci tu z pewnością. - Markiz milczał, więc po chwili podjęła: - Potrzebuje rozpaczliwie mojej fortuny, żeby utrzymać posiadłość i znajdującą się na jej terenie Rezydencję.

- Więc twój ojciec był poprzednim hrabią - stwierdził markiz. - Spotkałem go kiedyś w Paryżu.

Teresa zeszytniała, a do jej głosu wkradł się twardy ton.

- Papa... gustował w rozrywkach, jakich dostarcza Paryż... do domu wracał tylko wtedy, kiedy potrzebował nowej partii pieniędzy od mamy... żeby wydać je na kobiety, które tam podejmował!

- To dlatego nienawidzisz Paryża!

- Jakże bym mogła inaczej? - spytała Teresa. - Papa... złamał mamie serce. Ona go kochała i wychodząc za papę nie zdawała sobie sprawy, że on jest zainteresowany... wyłącznie mamy pieniędzmi. - Teresa odetchnęła głęboko, po czym powiedziała z pasją: - Dlaczego miałabym godzić się na małżeństwo z kuzynem Rupertem, którego nawet nigdy nie widziałam, i cierpieć tak, jak cierpiała mama - a wszystko z tej przyczyny, że jestem bogata? Wstręt mnie ogarnia na samą myśl o tym...!

- Nic dziwnego! - zgodził się markiz.

- Pan to rozumie! Naprawdę rozumie! - Naturalnie. Ale twój stryj jest zupełnie zdecydowany nagiąć cię do swojej woli.

- Ma po swojej stronie angielskie prawo - odparła Teresa z goryczą. - A ponieważ pragnie żyć po wielkopańsku, będzie mnie szukał do skutku, kiedy się dowie, że jestem wolna.

W jej wzroku czaił się znów lęk, kiedy pomyślała, że pewnie obie z Gennie powinny opuścić zamek o świcie.

- Świat jest duży - powiedziała jakby do siebie. - Jeśli nie zatrzymam się nigdzie dłużej... jeżeli pojedę na przykład do Afryki... tam mnie nie znajdzie.

- Nie możesz spędzić reszty życia w ukryciu!

- Muszę... przynajmniej dopóki Rupert nie poślubi kogoś innego! A jeśli zabraknie mi pieniędzy, mogę je zawsze zarobić jako szef kuchni.

- Mam znacznie lepszy i skuteczniejszy pomysł takiego rozwiązania sprawy, żeby stryj nigdy więcej cię nie prześladował.

- Naprawdę? Jaki?

Teresa nie miała wielkich nadziei, że markiz znajdzie rzeczywiście skuteczne wyjście z sytuacji. Pewna była natomiast, iż stryj zasięgnie porady prawnika, by się dowiedzieć, czy można w jakiś sposób unieważnić jej rzekome małżeństwo. Stryj prędko odkryje, że markiz powiedział nieprawdę. Niemniej jednak w obróconym na markiza spojrzeniu krył się cień nadziei; spędziwszy szereg wieczorów na rozmowach w jego towarzystwie, Teresa doceniała w pełni mądrość i błyskotliwy umysł markiza. Toteż mimo że sytuacja wydawała jej się beznadziejna, zastanawiała się, czy markiz nie potrafi się z nią uporać.

Ku zdziwieniu Teresy, markiz podniósł się z fotela i wyciągnąwszy do niej rękę pomógł jej także wstać. Przeszli razem przez pokój, a potem markiz

otworzył jedno z wysokich okien balkonowych prowadzących na taras. Wyszli przez nie w milczeniu. Księżyc wznosił się właśnie na niebo, a rozpościerający się przed nimi klasyczny ogród i widniejąca w jego głębi, uśpiona na noc kamienna fontanna, skąpane były w srebrzystym blasku.

Przez chwilę stali oboje w milczeniu, a potem markiz powiedział:

- Myślę, że to wszystko nie jest ci obojętne, że podobnie jak dla mnie, dla ciebie również ten ogród i dom coś znaczy.

- To jest... takie piękne! - odparła Teresa. - Dokądkolwiek pojedę, zachowam to piękno w głębi serca i nie zapomnę go nigdy.

- I będziesz również pamiętała o Le Roi?

- Jakże bym mogła o nim zapomnieć? I może, kiedy wyjadę... może on za mną z tęskni.

- Z pewnością będę za tobą tęsknił - zgodził się markiz - i ja także, więc proponuję, żebyś została z nami.

- O niczym innym nie marzę - powiedziała Teresa niemal z łkaniem, - ale przecież to jest niemożliwe! Stryj Edward będzie walczył zaciekle o moją fortunę... nie zrezygnuje z niej nigdy. Kiedy dojedzie do Paryża, dowie się przypuszczalnie prawdy - że nie jesteśmy małżeństwem - i wówczas po mnie wróci.

Teresa zadrżała na myśl, jak łatwo może do tego dojść. Markiz spojrzał na nią w świetle księżyca i przysunąwszy się trochę bliżej stwierdził:

- Właśnie dlatego uważam, że popełniłabyś wielki błąd, nie zgadzając się na moją propozycję. Możesz być bezpieczna i umknąć zakusom stryja na zawsze.

- Ale jakim sposobem?

- Możesz wyjść za mnie za mąż! Bardzo nie lubię mówić nieprawdy!

Takie rozwiązanie nie przeszło jej nawet przez myśl. Teresa patrzyła na markiza szeroko otwartymi oczami, jakby nie rozumiała do końca jego słów.

- Co... co pan powiedział? Nie... nie rozumiem?

- Twierdzisz, że będziesz tęskniła za ogrodem, za zamkiem i za Le Roi - przypomniał jej markiz. - Może jestem zbyt pewny siebie, ale mam wrażenie, Tereso, że tęskniłabyś również za mną!

- Ależ oczywiście! Tak wspaniale nam się zawsze rozmawia! A kiedy jestem sama, pamiętam dokładnie wszystko, co sobie powiedzieliśmy.

- Tyle mamy jeszcze spraw do rozważenia i jestem pewien, że nie zabraknie ci argumentów w niezliczonych rozmowach na najrozmaitsze tematy, na które możemy się sprzeczać.

- Czy to jest powód... tej propozycji małżeństwa?

- Istnieją też inne powody - odparł markiz - ale twoje małżeństwo jest sprawą nader pilną i nie wolno nam o tym zapomnieć.

- Tylko... ślubowałam, że nigdy nie wyjdę za mąż! Ślubowałam to na grobie matki, a poza tym., nienawidzę mężczyzn!

- A przecież kochasz Le Roi, moje konie i, rzecz jasna, Rovera. Wszyscy oni są płci męskiej.

- To zupełnie co innego...

- Miałem nadzieję, że ja również jestem inny i że nie żywisz już do mnie uczucia nienawiści, którym mnie obdarzałaś na początku.

- Więc wie pan...

- Wiesz - poprawił markiz.

- Wiesz, że cię nienawidziłam? - spytała Teresa ze zdziwieniem.

- Widziałem nienawiść w twoich oczach, a odkąd wiem, dlaczego nie znosisz Paryża i myślisz o nim z pogardą, rozumiem twoje uczucia. Ale miałem nadzieję, że zaczniesz myśleć o mnie inaczej, nie utożsamiając mnie z resztą.

- To prawda... sama powiedziałam, że jest pan... jesteś inny...

- No dobrze, ale jeśli nie żywisz już do mnie nienawiści, to co do mnie czujesz?

Markiz mówił tym samym opanowanym i dość beznamiętnym tonem, którym posługiwał się w rozmowach, wygłaszając swoje racje i Teresa zaczęła szukać odpowiedzi, niemal jakby ją do tego skłonił.

I właśnie w tym momencie doznała olśnienia, widząc nagle własne uczucia w jaskrawym świetle, które zdawało się być częścią księżycowego blasku: zrozumiała, że uczucie jakie żywi do markiza, nie różni się wiele od uczucia, jakim darzy Le Roi.

To była miłość!

Nie zidentyfikowała jej po prostu, ponieważ nigdy przedtem nie czuła czegoś podobnego do mężczyzny. Jakaż była niemądra, nie zdając sobie sprawy, że budzi się każdego ranka podekscytowana na myśl o spotkaniu markiza w ogrodzeniu Ze Roi. Przejazdki konne w jego towarzystwie sprawiały Teresie niebywałą radość, a wieczorne rozmowy były najszcześniejszymi chwilami dnia. Miłość sprawiła, że kiedy go nie widziała, czas mijał wolno, a gdy kolacja miała się ku końcowi, Teresę ogarniało uczucie podniecenia: czekała niecierpliwie wiedząc, że tylko minuty dzieli ją od chwili, kiedy znajdzie się z markizem w salonie.

Nie ulegało wątpliwości, że go kocha!

Tylko nie wiedziała, że to, co czuje, jest miłością, choć uczucie dojmującego szczęścia, które przenikało ją całą, jak gorący blask słońca, wiązało się z nim

nierozłącznie. Teraz po raz pierwszy uświadomiła sobie, że markiz jest mężczyzną! to bardzo pociągającym. Wyczuwała otaczającą go aurę męskości, która zdawała się dążyć ku niej, wzbudzając w Teresie nieśmiałość.

Teresa postąpiła parę kroków do przodu i jakby w poszukiwaniu oparcia położyła rękę na kamiennej balustradzie, patrząc na ogród. Była świadoma, że całe jej ciało pulsuje, przeniknięte dziwnymi doznaniem, które były dla niej czymś całkowicie nowym. Miała ochotę uciec, a jednocześnie chciała zostać.

- Pragnę ci coś opowiedzieć, Tereso - markiz zbliżył się i stał tuż przy niej.

- Tak... słucham.

- Zapewne poinformowano cię, że przez bardzo krótki czas byłem żonaty. Moje małżeństwo okazało się klęską. Na tym niefortunnym doświadczeniu ucierpiała, i to mocno, przede wszystkim moja duma, toteż przysięgłem sobie, że nie ożenię się nigdy więcej, o ile się nie zakocham.

Teresa słuchała nie patrząc na niego wcale; po krótkiej przerwie markiz kontynuował:

- Z biegiem czasu przekonałem się, że miłość, o której marzę, różni się wielce od uciech i zabaw w towarzystwie kobiet, z jakimi przestawałem. Zacząłem powoli myśleć, że nie znajdę nigdy tego, czego szukam i zdecydowany byłem zachować wolność - markiz zamilkł na chwilę. - A jednak pragnąłem tej miłości, która zdawała mi się wymykać. Cały czas czułem w głębi duszy, że mi jej brak, zwłaszcza wtedy, kiedy przebywałem w domu.

Odwróciwszy głowę od Teresy, markiz spojrzał na rozciągający się u ich stóp ogród.

- Tutaj był zawsze mój prawdziwy dom - podjął po chwili, - i postanowiłem, że tu właśnie przywiozę moją nową żonę, którą będę kochał. Marzyłem, że jej osoba wypełni pustkę w tajemnym zakątku mojego serca, który był dla mnie zawsze związany z Sare, i że będziemy żyli spokojnie w zamku ze zwierzętami i naszymi dziećmi. A wszystko to, co uosabiał Paryż, poszłoby natychmiast w zapomnienie.

- Byłbyś... naprawdę byłbyś do tego zdolny? - spytała Teresa.

- To właśnie zamierzam zrobić teraz, kiedy mam u boku odpowiednią osobę.

Zapadła cisza, tak głęboka, że Teresa bała się odetchnąć. A potem markiz przemówił znowu:

- Kiedy cię zobaczyłem pierwszy raz, oplatającą ramionami Le Roi, pojąłem, że jakkolwiek wydaje się to nieprawdopodobne, kobieta, której tak długo szukałem, czeka na mnie w moim własnym domu.

- Niemożliwe... trudno mi w to uwierzyć!

- To prawda.

- I naprawdę wiedziałeś... wiedziałeś już wtedy, że mnie... kochasz?

Teresa zacięła się, niełatwo jej przyszło zadać to pytanie.

- Nie od razu zrozumiałem, że to, co czuję, jest miłością - odparł markiz. - Ale w tle poza tobą i Le Roi, ujrzałem jak na obrazie ośnieżone szczyty Himalajów; był to znak, że dzieje się coś dziwnego i ważnego, czego nie wolno mi zignorować.

Słowa markiza przejęły Teresę głęboko, ale jednocześnie poczuła, że coś jej każe stawić opór nieznanemu dotychczas rozkoszy, która wypełniła duszę dziewczyny.

- Z pewnością nie jestem tą osobą, którą powinieneś poślubić...

- Któż może o tym zdecydować prócz mnie samego? - odparł markiz. - Nie wyobrażasz sobie nawet, Tereso, jak trudno mi było przez te ostatnie dni powstrzymać się od powiedzenia ci, że jesteś bardzo piękna i że tak ogromnie cię pragnę.

Teresa posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Nie dałeś mi nigdy poznać, że zwróciłeś choć raz uwagę na to, jak wyglądam...

- Widziałem nienawiść w twoich oczach - powiedział markiz - słyszałem też potępienie w twym głosie, kiedy oskarżyłaś mnie nie tylko o moje własne przewiny, ale o grzechy całego Paryża. Zrobiłaś ze mnie prawdziwego kozła ofiarnego!

Teresa zaśmiała się drżącym głosem.

- Na początku... nie wiedziałam przecież, że różnisz się tak dalece od innych...

Markiz zwrócił się ku niej.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, co o mnie teraz myślisz - przypomniał, obejmując jednocześnie Teresę i przyciągając do siebie. Poczuli, że przechodzi ją dreszcz i z ustami przy ustach dziewczyny zażądał: - odpowiedz!

- Myślę... myślę, że jesteś cudowny... fascynujący... - wyszeptała Teresa.

Ostatnie słowo zostało zduszone przez jego wargi. Pocałunek uświadomił Teresie, jak bardzo jest zakochana, a uczucie to było o tyle wspanialsze i doskonalsze niż wszelkie jej wcześniejsze wyobrażenia. Kiedy markiz przyciągnął ją jeszcze bliżej i przytulił jeszcze mocniej, a pocałunek stał się bardziej namiętny, bardziej zaborczy, Teresa poczuła, że nie jest już całkowicie sobą, ale częścią ukochanego, który rozwiał wszystkie jej strachy i lęki. Była bezpieczna, należała do niego i oboje zanurzyli się w światłości, która pochodziła prosto od Boga.

Po dłuższym czasie markiz pociągnął Teresę w kierunku drzwi balkonowych, wprowadzając ją do salonu.

- Wyślę cię teraz do łóżka, moja najmilsza - powiedział, - ponieważ muszę sporo jeszcze obmyślić i zorganizować.

- Obmyślić?

Markiz spojrział na nią w świetle świecy myśląc, że niewiarygodne jest, by jakakolwiek kobieta mogła wyglądać tak pięknie i promiennie, z wyrazem uduchowania na twarzy, idącym prosto z serca i duszy. Nie znalazł nigdy czegoś podobnego u żadnej z kobiet, z którymi zabawiał się dotychczas w Paryżu. Zrozumiał teraz, że poszukiwał tego, czego pragnął, w niewłaściwym miejscu. Nadal trudno mu było uwierzyć, że właśnie w zamku, który uważał zawsze za coś znacznie więcej niż kawałek posiadłości, znalazł swoje marzenie - uosobienie piękna, czystości i niewinności. Zdawał sobie sprawę, że nie tylko Teresa zacznie nowe życie jako kobieta i jego żona, ale on sam rozpocznie również nowy rozdział w swoim własnym życiu, różniący się drastycznie od wszystkiego, co dotychczas robił.

Podszedł z nią do kanapy, na której usiedli oboje.

- Chcę, żebyś poszła teraz spać i śniła o mnie, ale nie spiesz się jutro ze wstawaniem. Będę zaraz rozmawiał z miejscowym księdzem, który udzieli nam ślubu w zamkowej kaplicy, i myślę, że powinno się to odbyć koło południa.

- Jesteś zupełnie pewien... że powinienes poślubić właśnie mnie?

- Całkowicie. Oboje tego pragniemy - szczęścia, które nie ma nic wspólnego z pieniędzmi czy pustymi rozrywkami, a wywodzi się jedynie ze związku dwóch osób, męża i żony, należących do siebie nawzajem.

- Zawsze o tym marzyłam... choć bezwiednie. - Markiz uśmiechnął się.

- Będę musiał nauczyć cię tak wiele, moja najdroższa i stanie się to najwspanialszym zadaniem, jakie kiedykolwiek przypadło mi w udziale!

- Mówisz poważnie? Naprawdę tak uważasz?

- Powiedziałem ci, że o ile to tylko możliwe, zawsze mówię prawdę. Przysięgam ci, że kocham cię tak, jak nigdy nikogo nie kochałem. Szukałem cię niezmiernie długo - ledwie mogę uwierzyć, że spotkało mnie to wielkie szczęście i wreszcie cię znalazłem.

Pocałował ją znowu, jakby chciał się upewnić, że Teresa zrozumie, co jej pragnął przekazać, a rozkosz, jaką niosły pocałunki markiza, była dla Teresy stokroć wymowniejsza, niż wszelkie jego słowa.

- Kocham cię... tak cię kocham! - wyszeptła. - Nigdy nie przypuszczałam, że powiem coś podobnego mężczyźnie...

- Chcę, żebyś powtarzała to setki razy, aż przestaniesz myśleć o czymkolwiek innym. Powtarzaj też sobie, że będziemy ogromnie szczęśliwi. Musimy zrobić wszystko, żeby stworzyć doskonałe tło dla naszej miłości.

Widząc, że Teresa patrzy na niego pytająco, markiz wyjaśnił:

- Po pierwsze, jak ci mówiłem, postanowiłem przewieźć tutaj z Paryża moje konie i inne skarby. Mam wrażenie, że powinienem to zrobić szybko, bo inaczej może się okazać, że jest za późno.

Teresa przytuliła się do ukochanego, jakby ogarnął ją strach, a markiz mówił dalej:

- Potem stworzymy tutaj najwspanialszy ogród zoologiczny w całej Francji. Będziemy musieli zapewne sporo podróżować, żeby znaleźć wszystkie te zwierzęta, których zapagniemy, ale myślę, że obojgu nam to sprawi radość.

- Ależ to będzie po prostu najwspanialsza przygoda pod słońcem - oświadczyła Teresa - ponieważ pojedę z tobą. - Markiz pocałował ją w czoło i kontynuował:

- Mam przeczucie, moja najpiękniejsza, że następnie, jeśli wydarzy się to, czego się oboje obawiamy, zostaniemy wciągnięci do pracy nad budową nowej Francji.

- Mówisz o tym, co będzie po wojnie z Prusami? - spytała Teresa drżącym głosem.

- Tak, a jeśli doszłoby jeszcze do rewolucji czy powstania ludowego, czego się również obawiamy, wszystko ulegnie całkowitej zmianie - powiedział cicho markiz. - We Francji nastanie nowy Regime i każdy Francuz będzie musiał przyczynić się do odbudowy kraju, który kocha.

Teresa pomyślała, że markiz wyraża uczucia, które powinien żywić każdy człowiek w stosunku do swojej ojczyzny i spojrzała na niego z uwielbieniem.

- Pozwól, żebym ci pomogła - powiedziała błagalnie, - proszę cię... bardzo chcę ci pomóc.

- Cokolwiek będę miał zamiar przedsięwziąć - odrzekł markiz - potrzebuję twojej pomocy, porady, zachęty oraz, najdroższa, twojej miłości - miłości, która uświadamia nam obojgu, że jedno z nas jest niekompletne bez drugiego.

Teresa westchnęła głośno z wielkiego szczęścia.

- Marzyłam, żebyś tak to właśnie odczuwał! A choć jesteś taki mądry i przewidujący, może będę mogła pomóc ci na swój sposób, jeśli nie inaczej, to przynajmniej tak, że będę o ciebie dbała... i bardzo cię kochała.

Nie zdołała powiedzieć nic więcej, bo w tym momencie markiz ją pocałował. Dopiero, gdy wzrok mu zaczął pałać i zdał sobie sprawę, że rozpałił też płomień w Teresie, puścił ją i wstali oboje z kanapy.

- Idź do łóżka, mój skarbie - powiedział dziwnie rozedrganym głosem. - Chętnie spędziłbym na całowaniu cię całą noc, ale musisz jutro wyglądać przepięknie jako panna młoda - jeszcze piękniej niż teraz, choć jestem pewien, że jest to po prostu niemożliwe!

Teresa miała uczucie, że wzniosła się do nieba i krąży pośród gwiazd, a ponieważ niełatwo jej było wrócić znów na ziemię, pozwoliła się markizowi zaprowadzić bez słowa do drzwi salonu, gdzie pocałował ją znowu, namiętnie i zaborczo, a potem wyszli na korytarz i podeszli do schodów. Tam pocałował ją w rękę, a ponieważ w holu pełnił nocną służbę lokaj, nie powiedzieli już ani słowa, patrząc sobie tylko w oczy w milczeniu. Po chwili Teresa zaczęła wchodzić na schody, a markiz stał na dole odprowadzając ją wzrokiem.

Doszedłszy do pierwszego podestu, Teresa usłyszała głos markiza, który posłał po Maitre'a d'Hotel i wydawał teraz ostrym, zdecydowanym tonem polecenia dotyczące ich ślubu.

. Teresa spała głęboko, a kiedy się obudziła, promienie słońca usiłowały przedostać się do pokoju przez zasłony i Rover lizał japo ręce, jakby chciał swojej pani powiedzieć, że pora wstawać. Wyskoczyła więc z łóżka i podeszła do okna, by odciągnąć zasłony, posyłając przy tym dziękczynną modlitwę ku niebu. Była zakochana! I jeszcze tego dnia odbędzie się jej ślub, o czym marzyła skrycie w głębi serca, choć głośno obiecała sobie, że nigdy do tego nie dojdzie.

- Wychodzę za mąż! - miała ochotę obwieścić całemu światu, niebu, ptakom, kwiatom i, rzecz jasna, Le Roi.

Wspomniawszy tygrysa, pomyślała nagle, że markiz go przypomina. Onieśmielający, niebezpieczny, nieodgadniony dla wszystkich prócz kogoś, kogo pokocha - dla tej osoby byłby czuły, łagodny, opiekuńczy i bardzo, ale to bardzo kochający.

- Jestem zakochana... w tygrysie! - szepnęła Teresa i roześmiała się ze swojego wymysłu.

Po chwili do pokoju weszła Gennie, przynosząc śniadanie dla Teresy i obwieszczając przy tym:

- Nie rozumiem, co się dzieje, Milady, ale Monsieur kazał, żeby panienska spała, póki sama się panienska nie obudzi! Weszłam, bo usłyszałam, że odciąga panienska zasłony, ale jest dziesiąta!

- Rzeczywiście jest już tak późno? - spytała Teresa. - Wobec tego do mojego ślubu zostały tylko dwie godziny, Gennie!

- Do ślubu?

Gennie nie mogła uwierzyć w nowinę, ale zrozumiawszy w końcu, że to prawda, zalała się łzami.

- Niczego więcej nie mogłabym panience sama życzyć! Odkąd tu zamieszkałyśmy, dowiedziałam się, jakim wspaniałym człowiekiem jest Monsieur, zupełnie nie takim, jak sobie wyobrażałyśmy i jak mówiono o nim w Paryżu.

Teresa podejrzewała, że Gennie wdała się w rozmowy z lokajem markiza, który, jak się dowiedziała, zajmował swoją pozycję od dłuższego czasu i żywił do swego pana uczucie uwielbienia.

Tenże lokaj przyniósł Teresie pół godziny później przepiękny koronkowy welon, który był w rodzinie Sare od pokoleń, a wraz z nim aksamitne puzdro, zawierające diamentowy diadem, zrobiony na kształt splecionego z kwiatów wianka, tak rzadkiej urody, że Teresie trudno byłoby wymyślić coś piękniejszego na dzień ślubu. Szczęśliwym trafem, w jednym z jej kufrów znajdowała się biała suknia wieczorowa, którą kupiła jej matka zanim zachorowała, a którą Teresa uznała za zbyt uroczystą, by nosić ją w zamku. Matka musiała mieć jakieś przeczucie, ponieważ powiedziała wówczas:

- Ta suknia jest znacznie elegantsza i znacznie droższa od tego, co kupujemy zazwyczaj, kochanie, ale zobaczywszy ją nabrałam przekonania, że będzie ci potrzebna na jakąś specjalną okazję, więc pozostaje nam tylko poczekać na taką chwilę.

Gdy Teresa weszła do prześlicznej małej kaplicy, zbudowanej w tym samym czasie, co zamek, w której ogrodnicy zgromadzili chyba wszystkie białe kwiaty z ogrodu, pewna była, że matka jest blisko niej. Musiała być uszczęśliwiona, że jej córka wychodzi za człowieka, którego kocha i że w dodatku jest on Francuzem. Niewykluczone, że pewnego dnia odszukają krewnych matki, ale dzisiaj Teresa pragnęła być sama z mężem w domu, który stał się dla nich obojga Zamkiem Miłości.

Po ceremonii ślubu i lekkim lunchu państwo młodzi zostali sami i postanowili wyjść do ogrodu.

- Nikt nie mógłby mieć piękniejszej żony - powiedział markiz wpatrzony w Teresę - i nikt nie mógłby cię kochać tak bardzo jak ja, najdroższa.

- Wszystko jest takie cudowne! - szepnęła Teresa bez tchu. - A jednak... czułam, że kogoś mi brak w czasie ślubu.

- Kogo, kochanie?

- Le Roi. Przecież to on nas połączył. Myślałam sobie dziś rano, że gdybyś mnie nie zobaczył z Le Roi tego pierwszego dnia, mógłbyś się wcale nie

zorientować, że twój nowy szef kuchni jest kobietą, i to zdecydowaną trzymać się od ciebie z daleka.

- Nawet gdybym cię nie zobaczył, byłbym z pewnością świadomy, że przebywasz w zamku - odparł markiz. - Wyczuwam twoją obecność, kiedy nie jesteśmy razem, i sędzę, że ty wyczuwasz moją, a jedynym błędem, jaki popełniłem żeniąc się z tobą, moja słodka, urocza żono, jest to, że teraz zmuszeni będziemy znaleźć nowego kucharza!

Teresa roześmiała się.

- Biedny Monsieur Brantome! Będzie musiał zacząć poszukiwania od nowa! Ale w międzyczasie ofiarowała się gotować dla nas Gennie, która jest bardzo biegła w sztuce kulinarnej - chyba że sama postanowię przygotować ci coś zupełnie specjalnego.

- Nie pozwolę, żebyś mnie opuszczała po to, by udać się do kuchni czy gdziekolwiek indziej! - odpowiedział ze śmiechem markiz. - Chcę, żebyś była przy mnie w każdej minucie i każdej sekundzie dnia i nocy. Światłości mojego życia, jakże mogłem istnieć tak długo bez ciebie?

Markiz objął ją i zaczął całować, aż Teresa poczuła, że ogród wiruje wokół, a oni wznoszą się wysoko do nieba i przenikają do słońca.

- Kochani cię! Kocham cię!

Słowa miłości zdawały się ukrywać w śpiewie ptaków i zapachu kwiatów, a także w nich samych, kiedy stali razem pod kwitnącymi drzewami.

Wreszcie markiz podniósł głowę i Teresa wiedziała, że serce bije mu równie mocno i szybko jak jej samej.

- Mój wspaniały mężu - powiedziała - jest coś, co muszę zrobić.

- Co takiego? - zapytał markiz.

- Muszę pokazać Le Roi moją suknię ślubną, powinien też zobaczyć, jak ty wyglądasz w uroczystym stroju.

Markiz roześmiał się.

- Ależ oczywiście! Może zatęskni wówczas sam za żoną, którą zresztą postanowiłem mu znaleźć.

- Tak, koniecznie, a kiedy będą mieli małe, nauczymy je, żeby nas kochały.

- Nasze zwierzęta będą miały dzieci i my także - stwierdził markiz zachwycając się rumieńcem, który oblał twarz jego żony i nieśmiałym spojrzeniem jej oczu.

- Mam nadzieję, że będziemy ich mieli dużo... - szepnęła Teresa - żeby nasze dzieci nie były nigdy samotne jak ja kiedyś i nie musiały zadowalać się rozmową jedynie ze zwierzętami i ptakami.

- Będę prawdziwie wielkoduszny - odparł markiz - i pozwolę ci mieć tyle synów i córek, ile tylko zapragniesz.

Zaśmiał się przy tym i był to bardzo czuły i kochający śmiech. Ale w jego oczach palił się płomień i spojrzawszy w nie Teresa zapomniała o wszystkim. O wszystkim prócz tego, że jest całkowicie bezpieczna.

Markiz pocałował ją znów, delikatnie i łagodnie, ale uległość i miękkość warg Teresy sprawiły, że pocałunki stały się bardziej namiętne, aż ich ognistość rozpaliła ją także. Teresę wypełniło dziwne pragnienie, by znaleźć się blisko, jak najbliżej markiza, tak by w końcu przestała być sobą i cała zaczęła należeć do niego. Nie rozumiała, jak to się może stać, choć tego pragnęła, a płonący w niej ogień zmienił owo pragnienie w nagłą potrzebę. Nagle markiz pociągnął Teresę z powrotem do salonu.

- Le Roi będzie musiał poczekać - powiedział. - Pragnę cię, moja piękna żono, a ponieważ czekałem na ciebie milion lat, nie potrafię czekać ani chwili dłużej.

Teresa szepnęła coś, podekscytowana, ale umilkła zaraz. Markiz wziął ją na rękę.

- Jesteś moja! – rzekł z triumfem. - Należy do mnie twoje serce i dusza, twój umysł i twoje przepiękne ciało, teraz i po wsze czasy.

Mówiąc to przeszedł przez hol i wniósł japo schodach wiodących do sypialni. Była to paradna sypialnia zajmowana przez każdego kolejnego markiza de Sare od chwili zbudowania zamku. Piękny pokój wypełniony kwiatami stanowił wymarzoną oprawę dla panny młodej. Markiz postawił Teresę na podłodze i zdjął jej diadem, a następnie welon, po czym podszedł do drzwi i zamknął je na klucz. Teresa stała przy wielkim łożu z baldachimem podtrzymywanym przez złoczone amorki, przyciskając ręce do piersi. Markiz odwrócił się i podchodząc do niej spytał:

- Co się stało? Co cię trapi?

Teresa nie mogła przez chwilę wydobyć z siebie głosu, ale podbiegła do markiza i jak zagubione dziecko ukryła mu twarz na ramieniu.

- O co chodzi, mój skarbie?

- Boję się... - odrzekła Teresa tak cicho, że markiz ledwie ją dosłyszał.

- Mnie?

- Nie... niezupełnie, ale... .

- Więc czego się boisz? Powiedz mi.

Teresa miała wyraźne trudności ze znalezieniem właściwych słów, ale w końcu, nadal bardzo cicho, powiedziała:

- Nie bardzo wiem... co robią mężczyzna i kobieta, kiedy się kochają... i co będzie, jeśli się rozczarujesz, kiedy będziemy się kochać... może zechcesz mnie porzucić?

Myślała w tej chwili o swoim ojcu, o czym świadczył wyraźnie strach w jej głosie.

Markiz wziął Teresę ponownie na ręce i położył na łóżku, a potem zdjął obcisły żakiet, jaki każdy Francuz wkłada na ślub i wyciągnął się koło niej, obejmując ramiona żony. Teresa leżała z policzkiem przytulonym do cienkiego materiału koszuli, czując ciepło i siłę ciała markiza i przeszedł ją lekki dreszcz.

- Pomówmy o tym wszystkim, kochanie moje - rzekł markiz. - Odbylibyśmy tę rozmowę przed ślubem, gdyby nie to, że musiałaś zostać moją żoną możliwie szybko.

Przytuliwszy ją, markiz mówił nadal swoim głębokim głosem:

- Kocham cię i, jak cię już zapewniałem, ta miłość nie przypomina w niczym uczuć, jakie żywiłem dla różnych kobiet w przeszłości - markiz przerwał na chwilę, jakby szukając słów, po czym podjął: - a choć pragnę cię namiętnie jako kobiety, jednocześnie szanujecie, czczę i wielbię w sferze duchowej.

Teresa drgnęła lekko, ale nie przerwała milczenia.

- Nauczę cię wszystkiego, co wiedzieć powinnaś o miłości i namiętności, moja urocza mała żono, i będzie to dla mnie fascynujące. A ponieważ nie chciałbym za nic przestraszyć cię czy sprawić ci bólu, będę bardzo ostrożny - dodał całując ją w czoło.

Po krótkiej przerwie markiz odezwał się znowu.

- Ale jeśli chodzi o duchową stronę naszego małżeństwa, będziemy ją budować razem i potrzebna będzie nam do tego pomoc i opieka Boga.

- Naprawdę... naprawdę tak myślisz?

- Jak najbardziej. I jest to coś, czego ani ja, ani żaden inny mężczyzna nie będzie szukał, bo też nie znajdzie, u kobiet z Paryża, do których czujesz nienawiść i pogardę.

Na to Teresa podniosła głowę, patrząc markizowi w oczy.

- Jesteś pewien... zupełnie pewien, że nie znudzisz się mną... i nie wrócisz do nich?

- Jeśli pojedę do Paryża, ty pojedziesz ze mną. Przestały mnie interesować rozrywki, które są rodzajem pułapki zastawianej umyślnie na bogatych mężczyzn, samotnych lub nieszczęśliwych. - Markiz zamilkł na chwilę, podczas gdy Teresa myślała nad tym, co powiedział, po czym dodał spokojnie: - Byliśmy zmuszeni pospieszyć się z małżeństwem z powodu twojego stryja, ale, mój skarbie, mamy przed sobą całe życie. Możemy być na razie tylko

przyjaciółmi, jeśli dzięki temu będziesz się czuła pewniej, a staniesz się naprawdę moją żoną dopiero wtedy, kiedy sama zechcesz.

Teresa spojrzała na niego ze zdziwieniem, ale już w następnej chwili zrozumiała, że nie ma na świecie drugiego tak dobrego, tak wyrozumiałego i niesamolubnego mężczyzny. Mimo że niewinna i niedoświadczona, Teresa była kobietą i rozumiała, że podnieca markiza, a kiedy niósł żonę po schodach na górę, zdawała sobie sprawę, jak bardzo j ej pragnie. A jednak gotów był zapanować nad pożądaniem i myśleć tylko o duchowej stronie małżeństwa, póki ona nie dojrzeje do zmiany.

- Ależ on jest niezrównany!

Miłość do markiza Ogarnęła Teresę jak fala przyływu i impulsywnie, spontanicznie, wypowiedziała to, co w niej wezbrało:

- Kocham cię... kocham cię całą sobą i nie chcę czekać... proszę cię... chcę należeć do ciebie!

Markiz odwrócił się, żeby spojrzeć jej w oczy i głowa Teresy opadła na poduszkę.

- Jesteś zupełnie pewna, że tego chcesz? - spytał cicho, niskim głosem.

- Całkowicie pewna - odparła Teresa. - Ale nic nie wiem.. .pomóż mi, żebym czegoś źle nie zrobiła.

- Kocham również twoją niewiedzę, twoją niewinność i czystość - powiedział markiz trochę ochryple.

A potem pocałował ją delikatnie i czule, i dopiero kiedy odpowiedziała na pieszczotę jego ust, zarzucając mężowi ręce na szyję, pocałunki markiza stały się bardziej zachłanne. Teresie wydało się wówczas, że otwiera się nad nimi niebo, by skąpać kochanków w blasku oślepiającego światła; poczuła, jak przenikają ono na wskroś, wzbudzając rozkosz tak intensywną, że była na poły bólem, na poły uniesieniem. A kiedy markiz zniżył usta do jej szyi i piersi, zawołała:

- Kochaj mnie! Mój cudowny, najwspanialszy mężu... uwielbiam cię! Kochaj mnie, proszę cię, proszę!

A potem była już tylko słodka woń kwiatów, niebiańska muzyka i najwyższa ekstaza - triumf miłości będącej największym darem Boga.